

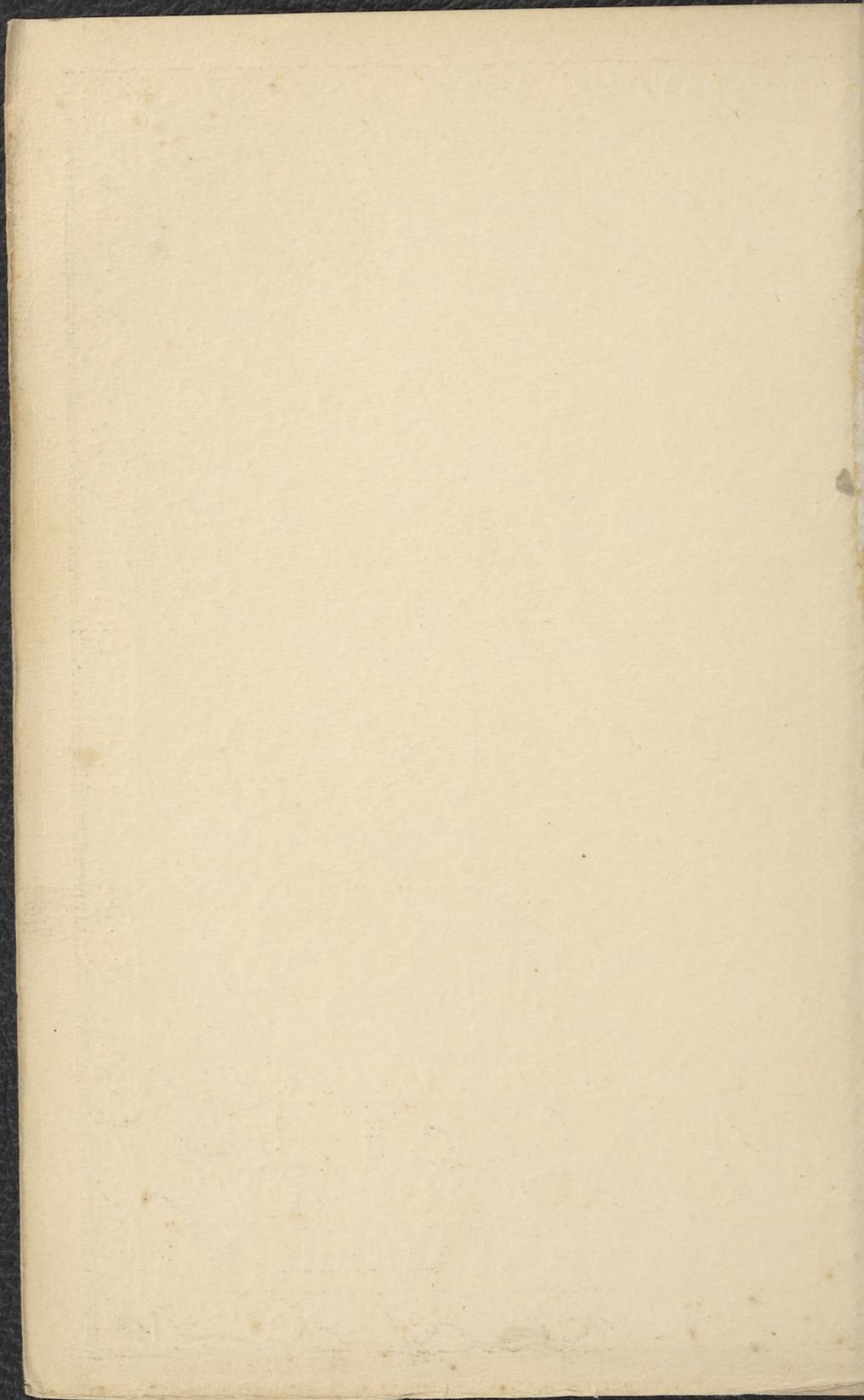
II 1496.144



KAZET

W KROJESTWIENOCY

ST. FILIPKIEWICZ.



W KRÓLESTWIE NOCY

NOWELE GÓRNIKA

W KROJESTWIE NOCY

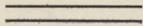
ROWELE DÖRNER

111

KAZET

W KRÓLESTWIE
NOCY

NOWELE GÓRNIKA



LWÓW — 1907.
KSIĘGARNIA POLSKA B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SP.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020642523



11 1476. 144



ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO.

1998 K 1611 /4

*Es zieht um alle Lebensquellen
Der ewige Wille seine Nacht.*

Teodor Körner.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
540 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

SPIS RZECZY.

	Str.
ŚWIĘTA RĘKA	1
PIES	11
W PODZIEMIACH	19
POETA	27
CISZA	43
ŚWIATŁO BOŻE	49
KOLEDZY	59
WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA	81
KUBAN	89
DLA DOBRA LUDU	117
STRACH	141
MIĘDZY ZIEMIĄ A NIEBEM	151

THE INDEX

1	ALBERTA
2	ALBERTA
3	ALBERTA
4	ALBERTA
5	ALBERTA
6	ALBERTA
7	ALBERTA
8	ALBERTA
9	ALBERTA
10	ALBERTA
11	ALBERTA
12	ALBERTA
13	ALBERTA
14	ALBERTA
15	ALBERTA
16	ALBERTA
17	ALBERTA
18	ALBERTA
19	ALBERTA
20	ALBERTA
21	ALBERTA
22	ALBERTA
23	ALBERTA
24	ALBERTA
25	ALBERTA
26	ALBERTA
27	ALBERTA
28	ALBERTA
29	ALBERTA
30	ALBERTA
31	ALBERTA
32	ALBERTA
33	ALBERTA
34	ALBERTA
35	ALBERTA
36	ALBERTA
37	ALBERTA
38	ALBERTA
39	ALBERTA
40	ALBERTA
41	ALBERTA
42	ALBERTA
43	ALBERTA
44	ALBERTA
45	ALBERTA
46	ALBERTA
47	ALBERTA
48	ALBERTA
49	ALBERTA
50	ALBERTA

ŚWIĘTA RĘKA

LEGENDA Z ŻYCIA GÓRNIKÓW

SMETA ROKA

1888

Zajęty rąbaniem twardej skały w ustronnej części kopalni, nie mógł, nie zdołał usłyszeć, co się dzieje po za nim w odległości kilkuset metrów.

Siekl ścianę ostrym końcem kilofa, aż iskry leciały. A miały od czego leciec te iskry, bo takie bary i takie żylaste ramiona żelazem biły, że się i najtwardszy kamień nie ostał przed nimi.

Walenty Ćwik był jednym z najtęższych górników. Dzięki swej niespożytej, herkulesowej sile odwalił w ciągu miesiąca taki szmat c a l i z n y, któremu i dwóch zwykłych ludzi rady by nie dało. Zarobki też miewał największe, ale mu i trzeba było znaczniejszych niż innym z roboty dochodów. W chałupie Ćwik miał siedm gęb do wyżywienia: żona Magda, pięć własnych drobnych dziecków i jeden krewniak sierota, którego za swoje przyjął, także ledwo co od ziemi odrósł.

Brał też chętnie najodleglejsze miejsce w podziemiach, teren najgorszy, skałę najtwardszą, byle tylko zarobić, jak najwięcej. Dziwili się tej niezwykłej obojętności towarzysze, którzy za nic w świecie w „singla“ bez kompani nie byliby pracowali.

— Że wy się też nie boicie Walenty, tak sam jak palec na pustkach robić.

— Czegoż bym się miał bać? Czy to Pana Boga nie ma nademną?

— A jak przyjdzie Skarbnik*) to co?

— Ja się ta żadnego skarbnika nie boję, ino Pana Jezusa i Matki Najświętszej.

Przyjmował robotę w najmniej dostępnych częściach kopalni i wcale mu się nie cniło, choć tylko w towarzystwie wiernego druha kaganka, który syczeniem i pryskaniem oznajmiał mu spóźnioną porę — pracować musiał dzień cały.

Przy rąbaniu śpiewał zwykle pobożne pieśni, donośnym głosem, który z jego szerokiej piersi rozchodził się daleko w tem królestwie nocy i zamierał echem w głębinach i czeluściach kopalni.

Ulubioną jego pieśnią było: „Serdeczna Matko“, tak się dobrze w takt tej melodyi rąbało, tak jakoś przy niej szła robota od ręki.

I teraz śpiewał właśnie przy pracy słowa ostatniej zwrotki, kiedy w odległości kilkuset metrów od jego stanowiska wypadek zaszedł niespodziewany.

W chodniku, którym zawsze powracał od roboty Walenty i który stanowił jedyną drogę do wyjścia „na świat“ z tej opustoszałej części kopalni, upadła nagle powała na przestrzeni kilku metrów, zawałając jednolitą prawie bryłą całe przejście od dołu do góry.

Ściana, przy której pracował Ćwik, nadto była odległa od miejsca katastrofy, więc nie mógł tam dolecieć huk spadającego stropu.

Jedna rzecz tylko zastanowiła Walentego: nagły silny powiew wzruszonego tem załamaniem powietrza, który jakby gwałtowny pęd wiatru spłaszczyl prawie płomień jego kaganka.

Nie myślał jednak nadtem dłużej; szychta miała się

*) Duch kopalni.

ku końcowi, więc pozbierał narzędzia, wdział przestronną kapotę, którą przed robotą wiesział opodal na kołku i ruszył wolnym krokiem w drogę.

Po tak wytężającym fizycznym ruchu, czuł dobry apetyt i sama mu się nasuwała myśl o dużej misie okraszonych ziemniaków, którą tam pewnie Magda teraz dla niego i dzieciów rychtuje.

Przyspieszył kroku nie zwracając nawet uwagi na dziwnie połamane, potworne jakieś cienie, które mu kaganek rzucał za ściany komór.

Nagle stanął jak wryty, zaparł oddech i patrzył przez chwilę wytężając zwrok.

W ciemnym chodniku zamajaczyła postać biała, jakby mu ktoś chciał drogę zastąpić. Przysłonił kaganek dłonią, by rzucić dalszy refleks światła: zjawisko nie zniknęło wcale, więc przeżegnawszy się kilka razy, wolniejszym trochę krokiem szedł naprzód.

Przed wpatrzonemi badawczo w czeluść chodnika oczyma, zaczynała coraz wyraźniejsze przybierać kształty powłóczysta szata białej postaci. Walenty rozpoznał zasypisko — i z lękiem już nie tym, który budzą przelotne wizye, jeno z trwogą, która ścisnęła mu gardło zaczął prawie biedz ku miejscu załamania.

Stanął przed ścianą bryły i od razu zdał sobie sprawę z okropnego swego położenia... wiedział, że dla niego niema z kopalni innego wyjścia.

Ale przez chwilę nadzieja wstąpiła mu w serce, że to może tylko usypisko małe, które on kilku uderzeniami kilofa rozrzucić zdoła. Chwycił oburącz żelazo i z olbrzymim wytężeniem bić zaczął o ścianę. — Uderzeniom kilofa odpowiadał stuk głuchy świadczący, że ściana zawałona, musi być bardzo grubą.

Prężył ramiona, uderzał ostrem narzędziem raz po

raz sapiąc mocno i nie ocierając potu, który mu z pod stożkowatego małego kapelusza ściekał strugami po czole, znacząc swą drogę na twarzy okrytej pyłem rąbanej skały. Zdawało się, że mu w dwójnasób sił przybywa: echo jego potężnych uderzeń odbijało się daleko o ściany komór. Wreszcie uczuł, że musi trochę wypocząć, przytem zaczęło go trawić pragnienie. — O kilka kroków było źródło podziemne, dowlókł się i przyłożywszy suche wargi do cienkiej strugi pił długo, chciwie. Gdy wrócił światło kaganka zaczynało się kurczyć, więc knot rozjaśnił, wlał resztę zapasowej oliwy i na nowo jął się roboty. — Zrzucił kubrak i stanął tylko w koszuli. Z ogromną wprawą, głębokimi wrębami zaczął rozbijać bryłę, dzielić na części, myśląc, że je w ten sposób łatwiej rozsnać potrafi — wszystko napróżno! Odrzucił kilof, sparł się rękami i z nadludzką siłą pchać począł rumowisko twardemi dłońmi. W ten sposób udało mu się poruszyć część gładów ku górze, które popchnęły tylko trochę drobnych odłamów skały, spadających z szelestem ku wrosłym prawie w ziemię stopom górnika. Natężenie to wielkie, wyczerpało do reszty jego siły, ledwie nie omdlał ze znurzenia i głodu, który dokuczać mu zaczął. — Znowu zawlókł się do źródła...

Usiadł potem przy ścianie chodnika i jął rozmyślać nad swoim położeniem.

Wiedział, że tam na górze spostrzegą wśród zapisków brak kreski znaczącej powrót, przy jego nazwisku, wiedział, że go szukać pójdą, ale czy zdołają odwalić tak grubą ścianę nim go głód zamorzy?

Ufał, że wszystko jest w ręku Boga, i ku niemu też zwrócił swe proste nieskażone serce. — Wzrok jego padł wtedy na mały obrazek męki Pańskiej, który

zwyczajem w kopalniach praktykowanym przybity był w małej nieszwy wykutej w ścianie chodnika.

Walenty powlókł się ku obrazowi i padł na kolana, schylając ku ziemi głowę. — Nie umiał sam składać słów modlitwy stosownej w takim momencie, więc pacierz mówić zaczął i bił się w piersi mocno.

Nie myślał wcale o śmierci, czuł się silny, czuł, że głód długo przetrzymać potrafi, a pragnienie miał na szczęście czem ugasić.

Żał mu tylko było Magdy, że tak się strapi okrutnie i tych dzieciaków, co go tak kochały i pewnikiem wielki lament podniosą, że tatuś się zbłąkali.

Usiadł znowu na ziemi przy ścianie, i ani się spostrzegł, jak mu twardy sen przymknął powieki.

Po przebudzeniu nie mógł sobie zdać sprawy: gdzie się znajduje? Wzrok jego padł na kaganek, który słabnącem światłem tlił się jeszcze tylko, wreszcie łypnął raz ostatni krwawym płomieniem i zgasł wydając syk przeciągły.

Otoczyła go ciemność zupełna.

Chciał powstać ale czuł ogromne osłabienie, ułożył się na ziemi na wznak i słuch wyteżył myśląc, że doleci go głos rąbanej skały... Cisza była zupełna... z oddali tylko dochodził, jak szept rozmowy prowadzonej za ścianą, szmer podziemnego strumienia i miarowy szelest sączących się ze stalaktytów kropel.

Leżał tak bez ruchu z rozpostartymi ramionami, jak w odrętwieniu.

Prócz głodu, który mu kurczył wnętrzności, zaczął uczuć dotkliwe zimno, dygotał chwilami, jak w febrze. Zmęczony wyteżającym patrzeniem w czarną, jak kir próżnię, zmrużył ciężące mu, jak ołów powieki i zapadł powtórnie w sen głęboki. I zdało mu się, że

oto już wraca do chałupy, że Magda w białym fartuchu z podwiniętymi rękawami wyszła na przeciw, tak hoża jak jabłko, a krzykliwa, a zdrowa, w boki się podparła i mówi:

— Walku! Walku! a kajze się ty podziwas?

A za babą wylatują z chaty rzędem wszystkie dziecka i Stach najstarszy w jego kapeluszu i Maryśka w chustynie czerwonej i Jasiak i Tomek w koszulicach i ten sierotka Józek, co go jak ojca kocha. I ciągnie go to wszystko za długą kapotę.

— Chodźta tatulu, a żywo do miski.

Wchodzi do izby a tam Maciek drze się w kolebie w niebogłosość, więc ojciec bierze benjaminka na ręce i obnosi po izbie i huśta, a huśta...

Układa Maćka, spieszy do stołu, bo i jemu także głód doskwiera, gdy nagle wszystko pochłania czarna bezdenność otchłani, gdzie nie ma ani promyka nadziei.

Z febrycznym dreszczem, budzi się, otwiera oczy i słucha... Ktoś szepce, ktoś gada wciąż tym samym głosem...

To strumień, to krople z okapów... Coś szumi i szumi bezustannie i ten szum straszny w uszach, spowodowany wycieńczeniem wszystko wreszcie zagłusza; — Walenty zasypia znowu.

...Jest w kościele, w ogromnym ścisłości, taki tłok, że on nie może się nawet przepchać przed ołtarz, gdzie wisi ten Pan Jezus, którego oni górniczy z własnych zakupili składek. A on tak by pragnął klęknąć przed nim i tak bardzo gorąco z całego serca się pomodlić za tę Magdę swoją kochaną, za sieroty biedne...

Znów się obudził... czuł okropne pragnienie, coś go wewnątrz jak ogień piekła. — Chciał się dowlec ku źródłu, ale taki był z sił wyczerpany, że jużby

chyba stamtąd żyw nie wrócił. I wtedy dopiero pierwszy raz pomyślał, że mu tu już chyba zemrzeć przyjdzie, bo snąc taka wola boska. — Więc podniósł się na rękach, zgiął z trudnością kolana, i zwróciwszy się jak sądził w kierunku ściennego ołtarzyka zmówił pacierz i zaczął się na śmierć gotować.

Spowiadał się Panu Bogu Wszchemogącemu ze wszystkich grzechów swoich. Amiał ich sporo. Magdę czasem o byle co zeprał i do bójki był skory, jak się tam kiedy na fajeramcie z kompanami zeszło przy piwku. — Ale pan Jezus dobry, łaskawy przebaczy, i może go choć po dłuższym czyścucu przyjmie do swojej chwały świętej — i o sierotach pamiętać będzie.

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże bądź miłościw! — mówił drżącemi usty, bijąc się w piersi.

I gdy tak schylony klęczał, utkwivszy oczy w tym kierunku czeluści czarnej, gdzie mu się być zdawał obraz męki Pańskiej...

...zobaczył nagle punkt świetlany, jak jutrzniانا gwiazda na niebie, potem jaśniejszy, coraz bardziej zło-cisty, jako ta święta monstrancya w kościele, a z tej jasności wielkiej zaczęła się zwolna ukazywać — Ręka. Ta sama Ręka, na którą tyle razy z czcią i uwielbieniem patrzył w swem życiu, Ręka biała, jak kwiat lilii, Ręka święta, gwoździami przebita, ze śladami krwi najdroższej za grzechy ludzkości przelanej. Ta Ręka podawała mu taki cudowny, taki rumiany bochenek chleba.

Walenty wyciągnął ku niemu obie swe dłonie, wziął chleb i jadł klęcząc i polewając go łzami.

Ciemności znów go otoczyły, ale on już z klęczek

nie wstawał, jeno oparłszy głowę o kamień powtarzał bez ustanku:

— O mój Jezusie drogi! o Jezusieńku miły!

Już nic nie słyszał, z niczego sprawy sobie nie zdawał.

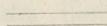
Nie słyszał, jak bili młotami, jak odwalali skałę, jak go nawoływali przez coraz cieńszą ścianę zwaliska.

Jak wreszcie pierwszy, co przez wyrąbany otwór ze światłem skoczył, zawołał ku towarzyszom radośnie:

— Żyje!

Jak wpadli potem tłumnie i porwali go za ręce i ścisnąć zaczęli i ku górze wynieśli, nic nie słyszał.

A kiedy się obudził ze snu długiego i obaczył słońko jasne — i Magdę i cały wianuszek główek dziecinnych, to mu się zdawało, że to Pan Jezus już go powołał do nieba, dając mu tam wszystko, co tak bardzo ukochał.



PIES

PIES



Był od lat kilku inżynierem kierującym kopalnią. Przełożeni mieli dla niego zawsze słowa największego uznania z powodu niezłomnej pracy, nadzwyczajnego rygoru i karności, które wśród jego robotników panowały, gdyż każdy z nich o każdej niemal porze dnia i nocy czuł ciężącą na nim żelazną rękę tyraństwa.

W zabudowaniu szybowem był codziennie prawie przed rozpoczęciem szychty*), by osobiście kontrolować kto się spażnia? Opieszalszych skazywał na karę, coraz sroższą, wreszcie wydalal ze służby. Podczas roboty był na inspekcji kopalni, na każdym miejscu choćby najdalej i najgłębiej; zjawiał się jak z pod ziemi, w chwili, gdy się go najmniej spodziewano, ażeby sprawdzić: czy wszystko odbywa się ściśle według wydanych przez niego poleceń? Najmniejsze przekroczenie wywoływało atak wściekłego gniewu, poczem znów sypały się kary i wydalenia.

Czasem przy końcu szychty spuszczał się jednym z ustronnych szybów do kopalni i ukryty w ciemnym chodniku, śledził niepostrzeżony, który z robotników lub dozorców opuszcza robotę, choćby tylko kilka minut przed końcem szychty. Na ustach jego igrał

*) Dzień roboczy.

wtedy jakiś uśmiech szatański, gdy widział zdumienie w ten sposób na przestępstwie wyłapanych, którym nie tylko urywał połowę zarobku, ale i kary wyznaczał.

A niechno który przyszedł nietrzeźwy do roboty, a niechno który pozwolił sobie na *blaumontag*! — wydalenie czekało go na pewne. Na złagodzenie wyroku szkoda było prośb i zachodu.

— Bierz i wynoś się — mówił głosem stanowczym, oddając winnemu książkę służbową.

— Panie mam żonę i dzieci sześcioro.

— Nie trzeba było mieć!

— Raz jeden zapomniałem się!

— Przebacz! Obchodziliśmy chrzciny!

— Możesz je teraz swobodnie obchodzić na wolnej stopie... marsz!

Ale surowość i bezwzględność sama, nie była powodem, że go tak ogólnie nienawidzono; on był prócz tego niesprawiedliwym. Gdy który z górników wziąwszy robotę akordową pracował sumiennie i należała mu się znaczna za to zapłata, starał się krzywdząc go obniżyć akord i zmniejszyć zarobek.

Nazywano go ogólnie — Ps em.

Ponurego jego oblicza nie rozpozgodził nigdy jaśniejszy promień. Usta okolone czarnym, krótkim zarostem zazwyczaj miał zaciśnięte; w chwilach gniewu wykrzywił je jakimś piekielnym uśmiechem, odsłaniając wtedy rząd dużych białych zębów. Przemawiał głosem szorstkim i opryskliwym. Nie miał przyjaciół, znajomych — nie żył z nikim. Prócz baby starej, odwiecznej, która była podobno jego mamką, a teraz gospodynią i znosiła z anielską cierpliwością wszystkie humory despoty, nikt nie popasał dłużej w obręb jego domowej zagrody.

Był namiętym palaczem, cygara z ust nie wypuszczał; mówiono także, że zamykał się i pił na umor, ale o tem nikt na pewne nie wiedział, a gospodyni milczała, jak grób...

W nowo otworzonym poszukiwawczym szybie „Nadzieja“ odbywał się zjazd na „szlongach“, t. j. w koszach parcianych, zawieszonych u grubej liny konopnej. Właśnie po odbyciu zwykłej inspekcji, która tym razem z powodu pewnej niesubordynacji była nieco gwałtowniejszą, a wynikiem jej miało być znowu kilka surowych kar i wydaleń, wyjeżdżał inżynier z kopalni „na świat“...

Robotnicy żegnali go górniczem: „Szczęść Boże“, na co odpowiadał im zawsze, jakimś nieartykułowanym pomrukiem.

Wsiadł do szlonga i kazał dać sygnał.

Lina zaczęła się w wolnem tempie poruszać... pa-trzył bezmyślnie ku górze. Nagle wstrząsnął się cały. Przetarł oczy, które przysłaniał mu dym z kopącego kaganka, spojrzął i znowu zimny dreszcz go przeszedł: lina była do większej połowy przerwana; całym ciężarem zwisał tylko na kilku skrętach. Nie, to nie było przypadkowe przerwanie liny, to było przecięcie umyślne, równe przecięcie nożem; spostrzegął to najwyraźniej. A więc akt zemsty ze strony tych łotrów! — pomyślał. — Akt znakomicie uplanowany, usuwający się najzupełniej z pod władzy sądowej — z pod wszelkiej kontroli. Gdy się lina urwie, a on zginie: całym powodem śmierci będą zleżałe włókna konopne i morderców żadna nie spotka kara. Z bezsilną, straszną wściekłością krwawił zębami wargi i wciskał paznogie w dłonie.

Szala wznosiła się w miarowym tempie... Nie! nie! to im się tak łatwo nie uda... on przecież mimo tych przeciętych skrętów wyjedzie... Żle się obliczyli głupie chamy! Nadzieja wstąpiła w jego serce, przechylił głowę by zobaczyć czy daleko jeszcze otwór szybu i w tej chwili uczuł, jakby targnięcie szlonym — nowe włókno pękło. Dreszcz zimny przeszedł go wskrós... do góry było jeszcze przeszło sto metrów... wszelka nadzieja znikła... Chciał krzyczeć, by go spuszczone, ale po pierwsze: kto wie czyby go usłyszeli z takiej głębiny, a po drugie: od spodu dzieliło go także przeszło sto metrów; był w samej połowie szybu. Zresztą cóż pomogą jego sygnały, jeśli to zмова; za chwilę pęknie drugie, trzecie włókno liny i.. widział siebie leżącego — tam na dnie szybu z roztrzaskaną czaszką, otoczonego tryumfującymi robotnikami, że się przecież raz tego psa pozbyli. Wiedział, że go nazywają psem... — Dlaczego on właściwie był takim?... Wychowany w domu podrzutków, czuł na sobie to krzywdzące paryasa piętno i za wzgardę, której otoczenie często nie ukrywało przed nim, odpłacał ludziom nienawiścią. Nie znał, co to pieszczoty matki i tkliwość ojca, nie znał nigdy miłości, życie nauczyło go nienawidzić.

A jednak coś tam było na dnie tego kamiennego serca, jakaś iskra tła się słabo, jakieś pragnienie kochania, radości, szczęścia, tak jak drudzy, ale on ją tłumiał natychmiast, gdy żywiej zaczynała płonąć... wtedy to stronił od ludzi, zamykał się i pił na umór.

Znowu uczuł szarpnięcie liny: następne włókno pękło... zostały jeszcze tylko trzy, może cztery. Szala poruszała się coraz wolniej, robiono to najwidoczniej umyślnie, oczekując lada chwila przerwania. Spojrzał

w górę, w otworze szybu zobaczył blask słońca i nagle zakłamała w nim, zawrzała w całym tym organizmie skazanym na zagładę — żądza życia... był to protest instynktu samozachowawczego.

Nie, nie umrze, nie zginie tak marnie, Bóg go ocali!

— Boże, zmiłuj się nademną! — zaczął się modlić z dreszczem przedśmiertnej trwogi.

— „Ojczy mój, który jesteś w niebie święć się imię Twoje, przyjdź“ — przerwał pacierz, który już wyszedł mu z pamięci i drżącymi ustami powtarzał:

— Boże zlituj się, zlituj się nademną!

Szlong poruszał się w tem samym tempie, a jemu zdawało się, że idzie coraz powolniej. Powtarzał ciągle oderwane słowa modlitwy:

— Boże zmiłuj się nademną, a ja ci przyrzekam poprawę, przyrzekam... Klnę się na wszystkie świętości, że stanę się innym. Śladem Chrystusa iść będę... miłość się będę wśród ludzi... stanę się dobrem dzieckiem Twojem, jak nikt na świecie... Przebacz mi Ojczy! Przebacz grzesznikowi, który Ci dziś poprawę przyrzeka... ja wszystkie krzywdy nagrodzę.

Capiaka, Stawarę i innych przyjmę znowu do służby i Dąbrowskiego także, a jego biednej żonie, która codziennie z sześciorgiem dzieci zastępuje mi drogę, nagrodzę cierpienia z własnych funduszy, po co mi składać pieniądze — rozdaję je biednym.

Szeptanym wyrazem, które powtarzał na przemian ze słowami modlitwy, towarzyszył szmer kropel, spływających po cembrzynie szybu... Wilgotna czeluść wyglądała jak ściany grobu.

Przedostatni skręt liny pękł, szląg wisi już tylko na jednym włóknie, zbliżał się moment stanowczy.

Czuł, że lada chwila runie w głębinę. Zaczął tracić przytomność, przestał myśleć i wpatrzony w ostatni skręt liny, który zdawał się wydłużać, powtarzał bezwiednie:

--- Boże, Boże, Boże.

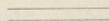
Okno szybu było tuż ponad nim.

W tem: co to? już, już jest koniec?...

Uczuł nagle mocne dźwignięcie szlongiem i równymi nogami wsparł się na zamkniętych drzwiach szybu. W około niego stali w zabudowaniu robotnicy — niemi z trwogi — trupio-bładzi...

Zwolna odzyskiwał przytomność... rozejrzał się, wyprostował, stanął na pewnych nogach w całym majestacie swej siły i władzy i z pianą wściekłości przez zaciśnięte zęby wyrzucił:

— Ha! łotry, ja was nauczę!...



W PODZIEMIACH

W. PODZIEMIACH

Z rzucał z siebie na wskrós przemokniętą odzież kopalnianą. Ciężką miał dziś przeprawę, odbywając obowiązkową inspekcję w najgorszych częściach swego rewiru. Chodniki wąskie, zgniecione, strop tak potrzaskany, jakby lada chwilę miał runąć na głowę; miejscami zaś trzeba się było leżąc przesuwac. Z kolan skórę miał zdartą, łokcie obtłuczone, twarz zczerniałą od kopcia kaganka.

Wszystko to niczem było dla tego organizmu silnego, który już nie jedną taką odbył przeprawę. Jego barki rozrosłe, żylaste ramiona, biodra jak dłutem kute, które pas klamrą spięty uwydatniał, nie lękały się trudów kopalni. Twarz okolona ciemnym zarostem nie była jak zwykle u górników blada: rumieniec zdrowia występował na nią, gdy zmywając kopeć: z Wulkanu, do którego z młotem w dłoni był podobny — w dorodnego zmieniał się mężczyznę.

Jakże błogo robiło mu się w duszy, że wraca do swej rodziny ukochanej, że w otoczeniu żony i dwojga dzieciaków spożyje skromny posiłek, który co prawda, zasłużenie mu się należał!

Kończył się właśnie ubierać, gdy usłyszał głos szynbowego dzwonka.

Nic w tem nadzwyczajnego: sygnał wyjazdu ludzi

z kopalni dzień cały słyszy się w szybie. Ale ten głos był jakiś zupełnie inny: był taki mocny, tak przenikliwy, tak gwałtowny, jak krzyk przestרחu, jak jęk rozpacz; głos ten odbił się echem w jego sercu, które przecucie złowrogie ścisnęło... Miał już odchodzić, spieszno mu było do domu, ale zatrzymał się chwilę. „Szala“ wyjechała z szybu ludźmi nabita i nim spytał o powód tak gwałtownego sygnału rozległ się okrzyk:

— Ogień w kopalni!!

Ogień w kopalni — dla górnika znaczy tyle, co śmierć; to żywioł, którego ludzka siła pokonać nie zdoła! Idzie z szaloną szybkością, jak Demon zniszczenia siejąc zagładę...

Wszystko co w drogę mu wejdzie, prócz skały, w proch obraca i nim w płomień chwyci, już gazem węglowym odurza i zabija.

Ten, który pierwszy zawołał „ogień“ zemdłał! trzech innych wyniesiono z szali bez przytomności.

— Czy w moim rewirze? — spytał górnika, który miał na sobie odzież podartą.

— Nie! w zachodnim!

— Dał kto znać moim ludziom?

— Nie wiemy; wszystko z zachodnich gór ucieka, ścisk w podszybiu taki, że przebojem ledwie dostać się można...

— A więc — pomyślał — nie ma co debatować.

— Proszę o światło! — zawołał.

— Co pan chce robić? — spytał zdziwiony dozorca szybu.

— Zjeżdżam — dać znać moim ludziom!

— Ja z panem! — rzekł jeden z górników, któremu mimo siwych włosów młodzieńczą odwagę z oczu wyczytać było można.

— Wy stary?! Nie dorównacie mi w chodzie! idźcie lepiej uspokoić żonę, że zaraz wrócę!

— Szczęść Boże!

— Szczęść Boże!

Biegł w lekkiej tylko bluzie, nawet czapki ze sobą nie wziął.

Sygnaly szły tak alarmujące, że trzeba było co prędzej wskoczyć do klatki. Tymczasem w budynku szybowym zaczynało się coraz ludniej. Wieść o katastrofie uderzyła we wszystkich jak piorun i jak piorun wstrząsnęła cichemi osadami górników. Wiedziano, że bez ofiar się nie obejdzie, bo ogień wybuchł w porze roboczej. Omdlałych niesiono na powietrze, rozcierano, cucono. Niektórzy zaraz dawali znaki życia, u więcej zaczadzonych wszelkie środki pozostawały bez wrażenia, tak, że ich za umarłych wziąć było można. — Ścisk koło szybu stawał się coraz większy, kobiety, żony i córki robotników zajętych w kopalni, z okropnym krzykiem i lamentem starały się gwałtem wcisnąć do szybu. Nie puszczano ich, bo tamowały drogę niesionym i wychodzącym. Każdą szalę z kopalni wyjeżdżającą witano okrzykiem, tłum cały chciał widzieć, kto żyje, kto wyjechał cało?

Ocaleni rzucali się w objęcia swoich, a ci co na próżno czekali, strasznej oddawali się rozpacz. Trupów wynoszono coraz więcej: odbywały się sceny rozdzierające serce...

Klatka zjazdowa z podwójną szybkością zniżała się do podszybia. Zdała dochodził podziemny głuchy gwar ludzi w podszybiu zebranych. Była to właściwie jedna, ciemna, zbita masa głów. Lampki pogaszono, ażeby nie przeszkadzały w ścisku: jeden tylko płomień latarni podszybia rzucał mdłe światło na blade górni-

ków twarzy, na których więcej może smutek niż przestach był widoczny. Wiedziano, że ogień w kopalni, to w każdym razie utrata zarobku, pozbawienie środków utrzymania rodziny przez czas dłuższy. Tłum się rozsunał, ujrawszy inżyniera.

— Jest kto z mego rewiru? — zapytał.

— My wszyscy z zachodnich!

— Panie inżynierze! my ledwie sami z życiem uciekli, do wschodniego daleko! Słów końcowych nie słyszał, bo przesunawszy się z trudem wązkim szpalerem, który dla niego zrobiono, zaczął iść szybko, biedz prawie ku wschodowi kopalni.

Za minut 15 powinien tam zdążyć, przez czas tak krótki ogień nie może się jeszcze tak bardzo rozszerzyć, ażeby dostęp do szybu był zaparty. Nie o ogień tu zresztą chodziło tylko o gaz węglowy, który każdej chwili mógł zająć poziom cały, a wtedy — wszystko przepadło. Wiedział o tem i dla tego pędził, co mu sił starczyło! Gdyby tylko główny chodnik przebył, potem boczny na lewo, potem komorę, kilka drabin i jest u swoich i od śmierci ich ocali.

— Boże dopomóż!

Dokoła niego była cisza grobowa... słyszał uderzenia o podłogę kropel sączących się z powały.

Trudno było przypuścić, że o kilkaset metrów ogień szaleje, że z zaciekłością szatańską niszczy podpory, rusztowania, olbrzymie wiązania belek, owoc żmudnej i tyloletniej pracy rąk ludzkich i jak Moloch ofiar chciwy płynie w czeluściach czarnych chodników, ziejąc zabójczym oddechem: naprzód i naprzód póki wszystkiego z powietrza nie wyżsje tlenu, póki ostatniej nie spopieli belki, póki nareszcie w ściany skał martwych zamknięty, własnym się dymem nie

zdławi... W tem światło lampki zaczęło się zmniejszać i równocześnie myśl okropna, myśl jaką skazaniec mieć musi, gdy obok siebie ujrzy narzędzie śmierci — przeszła mu głowę. Zbliżał się do chodnika, łączącego rewir zachodni z wschodnim

. lampa przygasa, więc gaz węglowy już te obszary kopalń zajmować zaczyna. Podniósł wyżej światło, które jaśniej błysnęło i zaczął biedz jeszcze prędzej...

Ale czuł, że nie długo, a musi stanąć, wypocząć, bo mu płuca i serce pękają. Oparł się o ścianę chodnika, trzymał światło tuż przy piersi i wtedy już spostrzegł, że zaczyna słabnąć, że to osłabienie nie tylko samym szybkim chodem jest spowodowane... więc gaz już może jest w całym powietrzu? Włosy stanęły mu dębem, a równocześnie uczuł żal okropny niewysłowiony, żal za życiem, do którego ten zdrowy organizm rwał się całym zasobem sił młodości, żal taki, że go ludzkie serce znieść już prawie nie może. Więc ma umrzeć tu, sam, bez ratunku, pomocy, bez pożegnania swoich najdroższych?! Nie, to być nie może! Pan Bóg tego nie zechce. Wszak on spełniając swój obowiązek święty, biegł ratować tych biedaków, którzy tyle osierocą rodzin, więc dojść musi — wszystkie wyteży siły i dojdzie. Krople sączące się z powały, upadły mu na skronie, roztarł je dłonią i orzeźwił się trochę... ...Znowu otucha wstąpiła mu do serca. Zaczął iść, ale już krokiem chwiejnym przystając co chwila, odwracając się czy nie zobaczy kogo po za sobą, bo echo jego własnych kroków robiło wrażenie, jakby ktoś się przybliżał. Jeszcze tylko pięć minut drogi, może mniej, może jużby go usłyszeli, gdyby zawołał głośniej, bo dalej iść nie potrafi, tak jest osła-

biony... Potarł znów ręką czoło i uczył krople zimnego potu... Chciał zawołać ...o pomoc... ale głos zamarł mu w gardle.

Płomień lampki chwiał się i z żółtego zmieniał się w błękitny. Znów chciał iść za chwilę dalej — ale już nie mógł: czuł, że musi usiąść choć momencik i wiedział zarazem, że gdy to uczyni, to zginął. Zaczepił lampkę o guzik ubrania i złożony ręce zaczął się modlić i czuł równocześnie, że jest już nieprzytomny — było mu dobrze przy tej modlitwie. Zdawało mu się, że stoi w windzie i dziękuje Bogu za ocalenie szczęśliwe: więc uklęknął i pomodlił się, tak... będzie lepiej... Kolana same zgięły się pod nim, coraz niżej... niżej... głowa opadła mu na piersi... światło zgasło.

.....
Zdawało mu się, że strop splekany z ogromnej, aż do nieba sięgającej komory runął mu na głowę. Otworzył oczy... pierwsze słowa, które usłyszał były:

— Boże mój! on żyje, żyje — dzieci! tatko żyje!

Nie mógł zdać sobie sprawy, co się z nim dzieje? Wiedział, że jedną jego rękę trzyma żona, do ust cisnie i gorącemi oblewa łzami, a do drugiej tuli się dwie główki jasne... Powoli, powoli zaczynał przypominać sobie wszystko...

Więc go ocalono! więc ludzi jego ktoś ostrzegł, kiedy go omdłego przynieśli... Nie miał siły pytać o rozmiary katastrofy. Przytulił do swoich piersi te trzy drogie głowy i nie wiedział, czy się więcej cieszy tem słońcem złotem, które na łożu mu pada, czy tem, że go Bóg ocalił? Ale snąc cieszył się bardzo, bo łzy spływały mu po twarzy.

POETA

POETA

Już na szkolnej ławie nazywali go marzycielem i poetą. Pisywał wiersze, które okazywały talent i zyskały mu nawet pochwały profesorów.

Po skończeniu gimnazjum byłby się może poświęcił zawodowi literackiemu, do czego miał ogromną ochotę, ale rodzice chcieli widzieć go na posadzie pewnej, urzędniczej i dlatego kazano mu ukończyć studia akademickie, by mógł w ten sposób zdobyć egzystencję zabezpieczoną, z prawem do emerytury, bez troski o jutro. Wybrał zawód górniczy, gdyż ten właśnie pociągał go najwięcej urokiem swej poezyi. Ulubieńcem jego był Körner; z zapałem wczytywał się w utwory poety-górnika, żywiąc skrytą nadzieję, że i on kiedyś stanie się drugim Körnerem.

Nauce przedmiotów fachowych poświęcał tyle tylko czasu ile go było potrzeba, ażeby przejść z dobrym postępem przez egzamina, by uzyskać stopień inżyniera. O wiele gorliwiej zajmował się natomiast stroną piękną życia górników, a więc przekładem obcych pieśni górniczych na język ojczysty, tudzież zbieraniem baśni, podań i legend, które starał się wydobyć od niezbyt skorych do gadulstwa starych górników — by wydać kiedyś te rzeczy ciekawe, szerszemu światu nieznanne, w opracowaniu poetyckiem.

Jako pierwszy etap służbowy przeznaczono mu kopalnię, której kierownikiem był człowiek ze sprężystości i energii znany, weteran w górniczym zawodzie, radca, nazywany przez podwładnych „starym“. Stary mimo białej, jak mleko, choć bujnej jeszcze czupryny, nie zasługiwał zupełnie na tytuł, którym go ochrzczono, bo ruchy miał i siłę prawie młodzieńczą. Męczące zjeżdżanie do kopalni, wspinanie się po stromych drabinach, lub pełzanie prawie z przegiętym w pałąk grzbietem przez ścieśnione czeluście chodników i szybów, uważał codziennie za swój obowiązek. Był wszędzie, widział wszystko, kontrolował robotę każdą, nic baczności jego nie uszło. Górnicy też na każdym kroku czuli oko tego, który był ich władcą, ale i opiekunem zarazem.

Radca przywitał młodego inżyniera serdecznie z otwartością i szczerością, będącą jego naturą. Stawiającemu pierwsze kroki w zawodzie górniczym nie dał zupełnie uczuć wyższości swego stanowiska, traktował go od razu, jak kolegę.

— Cieszę się bardzo — mówił po przywitaniu — że dostaję młodego pomocnika, który mi się już do prawdy należy. Mimo, że nie chcę się przyznać do tego, że się bronię jak mogę, przypominają się już przecież czasem — latka... Taki sukurs sił młodych przyda mi się teraz ogromnie, zajęcia mamy wiele. Będziemy pracowali razem, a wspólnymi siłami pójdzie to jakoś lepiej. Kopalnia rozszerza się pomyślnie, ale pokłady są wąskie, więc robota połączona z niebezpieczeństwem. — Niechże pan od jutra zacznie poznać się z rozległą siecią chodników i komór i niech mi pan wkrótce zda z tych oględzin — relację.

Kiedy po kilku dniach radca odbywał zwyczajną

inspekcję kopalni, zwiedzając wszystkie niemal ważniejsze miejsca, gdzie była robota, w jednej z odległych komór, zaliczającej się do tak zwanych „pustek“ dla tego, że pokład był tu już wyczerpany zupełnie, ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzał — dwa światła.

— Kto to mógł być? i po co? Gdy usłyszano jego kroki, przyciszona rozmowa ustała. Przychwyceni na niej w miejscu, gdzie jak sądzili, nikt ich znaleźć nie może, zerwali się na równe nogi. Był to inżynier i Szymon, także „Bajarzem“ zwany, stary robotnik, już do pracy żelazem nie zdolny, którego dlatego, że miał liczną rodzinę, a do wysłużenia brakowało mu jeszcze lat kilku, przeznaczył radca do dozoru „szychtowych“ robotników, zajętych przy wywozie rumowiska z kopalni. Szymon był znanym wśród górników gadułą, bajarzem, czemś w rodzaju Sabały. Nikt tak, jak on, nie umiał opowiadać historyi, o duchach podziemnych strzegących skarbów i zwiastujących śmierć górnikowi, o karlikach brodatych złych i dobrych; złych wyprawiających różne psoty przy robocie i dobrych, których można wezwać do pomocy przy pracy choćby najcięższej, gdy się im w zamian na wieczność całą, duszę zaprzeda. — O światłach wskazujących zbłąkanym drogę i o wielu innych jeszcze rzeczach, których zwyczajnym rozumem i „ludzkom kalkulacyom“, jak mówił, wytłómaczyć sobie nie można.

Radca nie lubił Szymona, nie dla jego bajań, bo te uważał za nieszkodliwe, tylko dlatego, że prawdopodobnie w celu podniecenia słabnącej z wiekiem fantazyi zalewał czasem pałkę i nieraz ze znacznym jeszcze refleksem nocnej libacyi zgłaszał się do roboty. Cierpiał go jednak i choć karcił często, patrzył na

wszystko przez palce, bo wiedział, że Szymon ma do wyżywienia sześcioro nieletnich dzieci.

— Szymon tu?! — zawołał surowym głosem — a tam kto dozoruje roboty?! — nikt?!

— Oni proszę pana radcy — bąkał usprawiedliwiając się Szymon — pracują tak samo ochotnie, czy nastawnik przy nich...

— Jest czy go niema, bo taki dozór, a żaden, to wszystko jedno! — Kto wam pozwolił się wydalać?

— Wyszedłem z panem inżynierem — rzekł górnik, dając znać wzrokiem, że usłuchał tylko rozkazu.

— Niechże mi to będzie ostatni raz, bo zapowiadam wam, że dłużej na Szymona opieszalność względów mieć nie będę. — Pamiętajcie to sobie dobrze, a teraz dalej do swojej roboty.

Inżynier zirytowany tem spotkaniem, chował podczas tej rozmowy niepostrzeżenie podręczny notatnik, w którym spisywał baśnie opowiedane przez Szymona.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł do radcy po chwili — to ja wezwałem ze sobą Szymona. Słyszałem, że jest wśród tutejszych górników drugim Sabałą i chciałem co rychlej spisać te jego opowiadania, bo takie legendy i baśnie to przecież skarb, nieoceniony skarb dla poezyi!

— Ale można to było zrobić w innej porze, gdy on i pan jest wolny. Wskutek tego, że go pan wziął podczas pracy, zmarnował część „szychty“, a i cały zastęp robotników, próżnował bez dozoru.

— Proszę się nie gniewać...

— Nie gniewam się, przeciwnie, chcę z panem kilka słów szczerze i otwarcie pomówić. Usiądźmy ot na tej samej ławce... Do zawodu górniczego wstąpił pan z zamiłowania — prawda?

— O tak! — porwany niezrównanym, nieprześcignio-

nym urokiem górniczego stanu, postanowiłem życie mu poświęcić.

— Słyszałem, że pan podobno także pisze, że pan poeta.

— Przyznaję się do tego szczerze.

— To zły zawód obrał pan sobie, bo to nie dla górnika.

— Jakto?! — czyż może być życie bardziej poezyi pełne, niż życie górnika! — Ta głęb ziemi pod tajemniczą, ludzkemu oku niedostępną osłoną niekończącej się nigdy, wiecznej nocy, te światła kaganków migotliwe jak błędne ogniki, świecące, jak oczy ukrytych w załomach skał Gnomów, te szmery strumieni niewidzialnych po za ścianami skał, do cichej rozmowy duchów podobne, te echa wielokrotnie o sklepienia olbrzymich komór odbijające się i ten cichy nieustanny szelest spadających ze stalaktytów kropel, jakby płacz matki ziemi, która tajone łzy wylewa nad ludzką biedą i niedolą! — To wszystko przecież najczystsza poezya, której nic dorównać nie potrafi, która porywa, zachwyca, upaja!

— Ale nam w zawodzie górniczym poetów nie trzeba, nam potrzeba ludzi pracy.

— Można jedno z drugim pogodzić.

— Nie, nie można, bo albo jedno, albo drugie niewiele będzie warte.

Poeta uczuł się tem urażony i rzekł z goryczą:

— Szczęśliwy, kto się urodził filistrem. Nigdy u ramion nie uczuł skrzydeł i całe swoje życie pełzać tylko potrafi.

Radca poczerwieniał mocno, usta mu się trząść zaczęły, ale starał się mówić spokojnie.

— Więc pan sądzisz, że trzeba przyjść koniecznie już na świat w skorupie przyszłego filistra, ażeby się

stać człowiekiem pracy? Zdaje się panu, że nikt z nas nie przeżył w młodości chwil górnych, że nikt nie rwał się do lotu z zapałem młodego orłęcia, które spróbować pragnie siły swych skrzydeł. I my przeżyliśmy także wiek *marzycieli*, tylko, że to były trochę inne, niż teraz marzenia i inne czasy i tylko, że nam zostały wspomnienia jasne, drogie, święte, — których wy chyba mieć nie będziecie! — Pan myślisz, że mnie było łatwo po takim życiu, pełnem burz i złotych błyskawic nadziei, włożyć się do systematycznej, wytrwałej, ciągłej pracy? — Ale dało się, bo przy dobrych chęciach, da się wszystko zrobić, wszystko pokonać, nawet samego siebie.

Mówił z werwą, zapałem... dawna nietykana struna drogich wspomnień odezwała się tonem serdecznym, nie zdawał się wcale uważać, czy go ktoś słucha... Słowa wyrzucane z siłą z piersi huczały pod sklepieniem komory i zdawały się być głosem wyroczni jakiegoś niewidzialnego bóstwa. Każde z nich po przejściu tej górnej drogi wpadało w bezmierne otchłanie wiecznej nocy, zatapiając się zwolna w jej czarnych toniach.

Poecie przyszło to porównanie do głowy, zaczął snuć dalej nić nowych pomysłów i dla tego przestał prawie uważać na słowa „starego“.

— Tak, tak, mój młody kolego — ciągnął dalej radca, wciąż jak gdyby mówił do siebie — zużyliśmy wiele, może za wiele czasu na marzenia. Pora teraz przejść nad nimi do porządku dziennego. Trzeba się wziąć do pracy, ale nie do tej byle jakiej, nie do tej: „aby zbyć“, jeno do takiej twardej, żelaznej, gorliwej, nieustannej pracy. — A z zapałem, a z ochotą, tak niech się każdy rwie do swego pługą, jakeśmy się niegdyś rwali do

lotu, bo nas to tylko może zaprowadzić — do celu! Nie mrzonki, nie poezya! Niech górnik będzie tylko dobrym górnikiem, niech się zawodowi swemu poświęci całym sercem i duszą, a w samym wykonywaniu obowiązków, w samej jego pracy, w samym życiu górnika, ot tem codziennem, tem szarem na pozór, będzie większa i potężniejsza poezya niż w rymach i bezcielesnych marzeniach, snutyh „po pustkach“ kopalni w porze przeznaczonej, do pracy. Taka poezya, wierz mi pan, ani dla Boga ani dla ojczyzny. — Pieśniarzy nie zabraknie nam nigdy, ale brak ludzi, ludzi pracy ciągle uczuwać nam się daje!...

Skończył i milczał przez chwilę; potem rzekł głosem zupełnie innym, w którym brzmiał ton rozkazu:

— Proszę pana, bardzo pana proszę, byś jako bezpośredni kierownik kopalni, spełniał ciężące na nim obowiązki skrupulatnie i sumiennie, bo ta czynność wcale nie jest łatwą i rzeczy powierzchownie brać nie można. Poezyę niech pan odłoży *ad acta*; to balast przy wykonywaniu pańskiej służby zupełnie zbyteczny.

Inżynier czuł się słowami przełożonego i ich ostatnim tonem mocno urażony. Zagryzł wargi i nie odpowiedział nic. Na myśl przyszły mu słowa Odyńca, które powtórzył w duchu:

I gniew mię bierze i żal mię wzrusza
llekroć patrzeć potrzeba,
Jak się anielskiej piękności dusza
Poniża w pracy dla chleba.

Szli w milczeniu ku szybowi, do wyjazdu z kopalni...

Przeminał pewien okres czasu, w którym poeta codzien prawie wracał z kopalni przynosząc nowy sonet. Z tych sonetów zamierzał złożyć cykl duży pod zbiorowym tytułem: „W głębinach ziemi“.

Czynności inżyniera zdał na podwładnego mu stygara a sam niewiele troszczył się o to, co się w miejscach roboczych dzieje.

Radca zdawał się nie widzieć tego wszystkiego. Przez dłuższy czas żadnych nie robił mu uwag.

Raz, gdy poeta wrócił z kopalni i właśnie siadł przy biurku, ażeby opisać w rymach odniesione świeżo wrażenia, radca otworzył drzwi od swej kancelaryi i spytał głosem szorstkim:

— Pan był dzisiaj w kopalni?

— Właśnie wróciłem.

— Czy szyb „Sybilla“ zabezpieczony?

— Tak.

— Poręcze na moście w „Jasyrze“ przybite?

— Tak.

— Powąła w „Otchłani“ opukana i podparta?

— Tak.

— Tak? wszystko tak?! — rzekł patrząc mu z wyrazem gniewu w oczach. Targał wasy i co chwilę odrzucał siwą czuprynę, chodząc tam i napowrót.

— A ja panu powiadam: nie! nie! nie! — zawołał nie tając oburzenia. — Wszystko, coś pan tu potwierdził, jest nieprawda!

— Poleciłem stygarowi, by się tem zajął.

— A stygar naśladować pana: polecił znów komu innemu, i tak dalej. Przypilnowaniem wykonania roboty nie było komu się zająć.

— Przecież nic się jeszcze nie stało.

— Tak, nic się jeszcze nie stało! — powtórzył z ironią. — Pan czekać będzie z zarządzeniami, aż się coś stanie, prawda? A czy sprężyny u klatek zjazdowych wybróbowane?

— Poleciłem stygarowi, ażeby próbę wykonał.

— Pan polecił; a czy stygar pobiera za pana płacę? Nie! pan ją bierzesz! pana opłaca kraj z grosza, który jako podatek ściągają biednej i najbiedniejszej ludności i za to pan jesteś obowiązany, rozumie pan: obowiązany, służyć krajowi, to znaczy, spełniać swoją powinność. Stygar ma inne zajęcia i jeżeli zastępuje pana, nie robi tego, co do niego należy.

— Wszędzie sam przecież być nie mogę... Czasu mi na to nie starczy.

— Wiem, że panu nie starczy czasu, wiem także, na co pan ten czas obracasz? Oto jest *corpus delicti* znaleziony w podszybiu, gdzie go pan zapewne tworzyć musiał. Sonet p. t. „Na szali“. Cieszę się, że jestem szczęśliwym znalazcą i że taki klejnot dla literatury nie został stracony.

Rzucił przed nim na stół świstek papieru i wyszedł trzaskając drzwiami.

— Brutal!... człowiek bez śladu poczucia piękna!... bez iskry arcyzmu. To los służyć z takimi... myślał poeta, posyłając za odchodzącym wzrok pełen wzgardy.

— Tak, tak... medytował trąc ręką czoło wyniosłe — znowu powtórzyć muszę te złote słowa:

I gniew mię bierze i żal mię wzrusza
Ilekróż patrzeć potrzeba
Jak się anielskiej piękności dusza
Poniża w pracy dla chleba.

Wobec jednak tej konieczności twardej, na której snąć wszystkie piękne dusze na ziemskim padole są skazane, zaczął się uspokajać powoli. Wziął do ręki rzucony świstek papieru, na którym niewyraźnym pismem skreślił w kopalni sonet i zaczął przepisywać:

NA SZALI.

Na szali w szybu ciemnego głębiny
Leciałem chyżo, jak strącony z góry,
Migały w oczach ścian mokre kontury
W cembrzynę biły klatki śliskie szyny.

Wtem... straszne samo wspomnienie godziny
Owej... okropnej dla ducha tortury!
Jak pajęczyny prysły z drutów sznury:
Szala zawisła w powietrzu bez liny.

Trzask sprężyn — szczękły ratunkowe noże.
Krew mi zastygła... W piersi zaparł tchnienie
Lęk... w gardle czułem uderzenia serca.

Czy ten nóż ostry, krwi chciwy morderca,
Ten nóż, mój zbawca, moje ocalenie,
Utrzyma ciężar? Boże! Boże! Boże!

Kończył właśnie pisać, gdy usłyszał pukanie do
drzwi. Wszedł stygar...

— Cóż mi pan powie? — spytał poeta, z niechęcią
zwracając myśl do zwykłych zajęć.

— Przychodzę z raportem panie inżynierze.

— Nie świetnie się pan spisałeś, dostałem od „sta-
rego“ burę za pana.

— Brakło mi czasu panie inżynierze wszystkiego
dopatrzyć.

— Jest co nowego?

— W „Otchłani“ strop spękany ogromnie po
strzelce, — trzeba by zabezpieczyć deskami, ale to
dłuższa robota. Tymczasem kazałem zagrodzić wejścia,
by nikt nie chodził tamtędy.

— Dobrze, jutro na miejscu sam wszystko zbadam.

Odprowadził stygara... i siedział przez chwilę zamy-
ślony. Ostre słowa „starego“ relacya stygara, spękany

w komorze „Otcłani“, grożący upadkiem strop, który trzeba było koniecznie, który powinien być kazać bezwzględnie pod osobistą kontrolą zabezpieczyć, by nie narażać na niebezpieczeństwo ludzkiego życia, wszystko to wzbudziło w nim coś w rodzaju wyrzutu... skruchy.

— „Stary“ ma trochę słuszności — myślał — odtąd zmienię sposób postępowania: „trzeba uderzyć w czynów stal“ — powtórzył za Krasińskim.

Na drugi dzień zjechał do kopalni i udał się prosto do komory „Otcłani“. Zdaleka już mógł dojrzeć strop splekany. Szczeliny, które musiały być początkowo wcale niedostrzegalne teraz zaczęły się coraz widoczniej odznaczać.

— Ależto istotnie niebezpieczeństwo ogromne! — zawołał. Jedna ze szczelin była tak wielką, że śmierć zdawała się zaglądać z niej prosto w oczy. Odłam skały mógł runąć lada moment i zabić na miejscu każdego.

Staął i patrzył...

W tej chwili zaczął mu się snuć po głowie, pomysł nowy, pomysł wspaniały do sonetu... Postanowił korzystać z natchnienia i usiadłszy opodal na skale wy dobył inżynierski notatnik i pisał:

W KOPALNI.

Wśród nocy wiecznej, jak w grobowej cieśni,
Na zrębie zbitej kilołami ściany
Siedzę w ponurą pieśń ciszy wsłuchany
W tony żałobnej tej podziemnej pieśni.

Wilgotny chodnik z rudo-szarej pleśni
W świetle kaganka, jak we krwi skąpany...
Sam jestem... może na śmierć tu skazany:
Gdzie bracia moi?... gdzie moi rówieśni?...

Światło przygasa... w dali coś się mroczy,
Coś szepce, wzdycha, kołacze, szeleszcze,
Snać strumień w skały głąb ukryty płynie.

Tam... co to?... zimne przechodzą mię dreszcze...
Ujrzałem nagle w skalistej szczelinie
Wpatrzone we mnie straszne Śmierci oczy...

Siedział długo zadumany, potem wstał i szedł wolnym krokiem myśląc o wydaniu zbioru sonetów z życia górników. Był pewny, że ten cykl zrobi wrażenie w literackim świecie. Zapomniał przez chwilę zupełnie o zabezpieczeniu powały w „Otchłani“ i dopiero już skręcając chodnikiem do wyjazdu ocknął się z marzeń i zdał sobie sprawę: po co właściwie zeszedł „na dół“.

Trzeba koniecznie wyszukać cieśli i kazać im natychmiast strop zakryć deskami. Tu niema chwili do stracenia. Szybkim krokiem podążył w kierunku, gdzie spodziewał się znaleźć cieśli, ale tam ich nie było. Stracił czas długi na szukaniu, nim od któregoś z górników dowiedział się, że cieśle są w drugiej odległej stronie kopalni cembrzyną nowego szybu zajęci.

— Ha, więc trudno. Z konieczności odłożyć trzeba wszystko do jutra — pomyślał — i szedł do wyjazdu.

Gdy się przybliżał ku podszybiu usłyszał gwar jakiś niezwykły. Wkrótce ujrzał górników idących spieszenie w stronę, z której powracał.

— Dokąd? — spytał — co się stało?

— Mówią, że jednego zabiło — odezwali się.

— Kogo? gdzie?

— W „Otchłani“ pono, — strop spadł i przywalił Szymona Bajarza.

— Kłamstwo! Byłem tam niedawno! — zawołał drżąc jak w febrze.

— Ale to teraz, w tej chwili się stało! Tam idą wszyscy. „Stary“ także pogonił.

Pot zimny wystąpił mu na czoło, oddech zaparł się w piersi... Spieszył co sił starczyło powtarzając ciągle:

— Jezus! Jezus, Marya!

Przed oczyma stanął mu Szymon zabity! Tyle, tyle biednych osieroconych dzieci! i to przez niego, przez niego, przez niego!

— Nie, toby była za sroga, za wielka, dla mnie kara Boża! mówił pocieszając się nadzieją, że wiadomość jest może zmyślona.

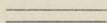
Już przybliżał się do „Oтчłani“, już ujrzał zdala światła i grupę ludzi.

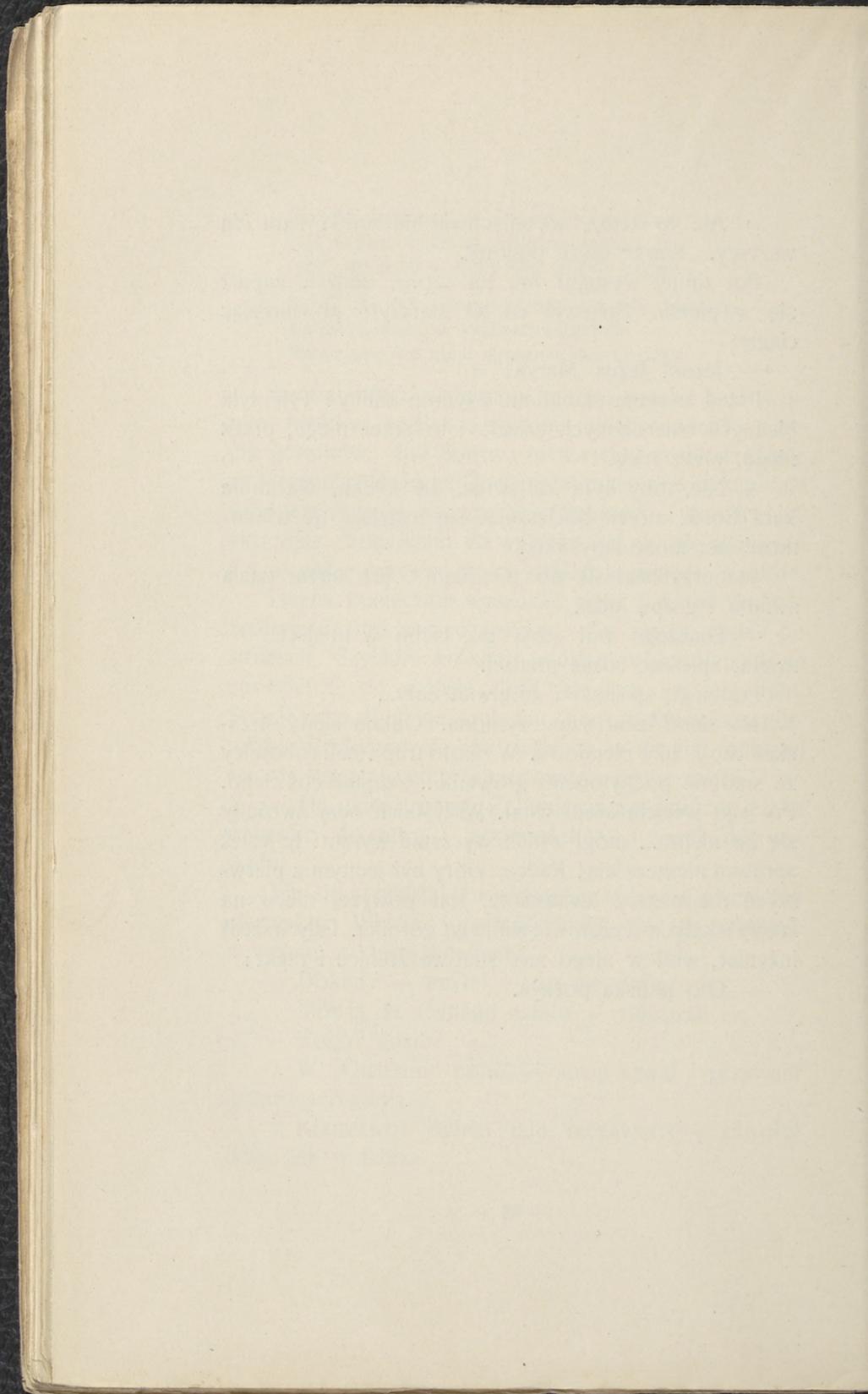
— Dlaczego oni stoją tak cicho w miejscu? — myślał spiesząc coraz prędzej.

Podbiegł, spojrzął i zdrętwiał cały...

Na ziemi leżał trup Szymona. Odłam skały strzaskał mu klatkę piersiową. W około trupa stali robotnicy ze smutnie pochylonemi głowami... Szeptali coś cicho. Po jego wejściu szepc ustał. Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu... mógł z nich wyczytać wyrzut: ty jesteś sprawcą nieszczęścia! Radca, który był jednym z pierwszych na miejscu katastrofy, stał powyżej nieco na zrębie skały u wezłowania zabitego górnika. Gdy wszedł inżynier, wbił w niego swe stalowe źrenice i rzekł:

— Oto pańska poezya.





CISZA

AS213

Zdawałoby się, że tam w tej podziemnej głębinie, oddzielonej warstwą kilkuset metrów grubą od świata, od dnia, od tej globu powierzchni, na której z hukiem, szumem, łoskotem krząta się nieustannie ludzkie mrowisko, to walcząc o chleb, o byt, o jutro, to rzucając się w szalony wir rozkoszy i użycia — zdawałoby się, że tam musi być cisza zupełna, spokój niezmacony.

Z małym kagankiem w ręku idzie górnik wolnym krokiem, schylony ku ziemi. Z pod twardego kapelusza, okrytego syjącym się ze stropów pyłem, po którym krople wody, spadłe z wilgotnej powały, znaczą swą drogę, wyglądają kosmyki włosów. Ten sam proch szary okrył je siwizną, ten sam proch osiadł na jego brwiach, nadających wyraz srogości i grozy siwym oczom, choć w nich jest tylko wielki smutek i tęsknota. Barki ma pochylone ku ziemi. Ach, nie starość to zgięła w pałąk te plecy potężne, jeno praca w wąskich i niskich chodnikach, gdzie skwar podziemny dokucza, gdzie powietrze sączy się cienką strugą z wentylatorów, gdzie pył węglowy i kopeć spalonej oliwy osiada grubą powłoką, której nikt zdjąć już nie zdoła — na płucach górnika. Ciężka, ciężka dola! A toć i żniwiarz także pracuje w pocie czoła, w skwarze słonecznym,

w porze, gdy okropna południca ludzi trupem ściele — mówią mu, jeśli się śmie poskarżyć na swój los.

Ale żniwiarz patrzy w światło boże, ale ten żniwiarz ma szerokie dale, ma łany zboża, falujące złotem i jasny błękit nieba ma na nad sobą, i wiatr, gdy wionie od borów i łąk, niesie ożywcze dla piersi balsamy, a tu podziemia tylko, ciemności i grób.

Za idącym, w ślad jego ktoś drugi stąpać się zdaje, tak miarowo powtarza echo kroki górnika. Oto się zbliża do ogromnej, jak kościół, komory. Blade tylko odbłyśki światła czerwienią załomy ścian ledwie do połowy wysokości, a szczyt sam jest pogrążony w mroku zupełnym.

Cały las drzew podpira strop świątyni, którą już od dawien dawna opuściła praca, ustępując miejsca pustce i ona to tak się tu wszechwładnie rozsiała, że odebrała komorze dawne miano, zostawiając jej już na wieki nazwę: pustki. Strop dźwiga na sobie warstwę ziemi kilkaset metrów grubą, więc nie dziw, że nawet drzewa olbrzymy, które niegdyś były chlubą puszczy, znieść nie mogły ogromnego nacisku i jak wiotkie badyle ugięły się pod ciężarem powały.

W takiej to „pustce“ na odłamie skały usiadł górnik i wsparł na dłoni porwane troską czoło. Taka chwila niezmaconego spokoju, absolutnej ciszy, jest czasem lekiem dla zbolącej duszy. Zdawało mu się, że się cały w tej ciszy rozplynie, że ona jak ocean nieskończona, głęboka, bezdenna, pochłonie jego smutek i żal, że go zatopi w swej toni ciemnej, że mu da to, czego tak pragnął gorąco, choć na chwilę, na jedną krótką chwilę — zapomnienie. Ale zaledwie przycichnął odgłos jego kroków, dał się słyszeć jakiś szmer podziemny, nie milknący nigdy: to strumień, ukryty w skale,

płynie z nieznanego źródła nieznaną drogą, płynie bez ustanku, jak krew w żyłach ziemi, dając świadectwo jej życia.

Oswojone z odgłosem fal podziemnych, ucho, rozpoznawać teraz zaczyna miarowe uderzenie kropel, które ze stropowych stalaktyków sączą się zwolna, niosąc z sobą siłę twórczą, dla budowy stalagmitów. Chwilami słyszeć się daje trzask przygłuszony: to pękają belki stropowe, pod naciskiem kolosa ziemi. Cisza ta tylko pozorną; wszędzie znać ruch, pracę, życie ziemi. Górnik zatopił wzrok w ciemną próżnię i ot, tam, w oddali, przy żywszym odbłyску lampki ujrzał zwrócone ku sobie oczka drobne, jak dwie perełki, które ośmielone jego spokojną pozycją, zaczęły się zwolna i ostrożnie ku stopom przybliżać: to mysz wygłodzona szukała okruszyn. Sięgnął do torebki i wysypał jej resztki chleba, które chciwie porwała i umknęła.

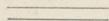
Sądził, że uciekł od świata, od życia, a ono mu się w podziemiach nieustannie przypominało. Kaganek nawet zdawał się żyć, skwiercząc, jak dusza męczona w piekielnym ogniu, gdy na chwiejący się płomień upadła z siłą kropla wilgoci ze stropu.

Górnik przysłonił uszy rękami i zamknął oczy. Lecz i wtedy słyszał najwyraźniej tętno swego serca i fale krwi, która biła mu w skroniach, szumiała w żyłach, napływała gwałtownie w mózg. Wracał ból i żal i smutek, przytłumiony na chwilę zmianą zjawisk zewnętrznych, wracał z podwójną siłą, aby go pochwycić w żelazne ramiona i w tej ciszy, pozornej tylko, dawał mu żywą pamięć wszystkiego, co przeżył.

Szumiało źródło tajne w jego sercu, padały krople żrącej rozpacz w jego duszę, pękały słabe podpory nadziei, niezdolne utrzymać nadmiernego ucisku nie-

szczęścia! Niema ciszy: niema ukojenia: niema schronienia dla zbolełej duszy. Jedyne dla niej wyzwolenie — śmierć.

Górnik zerwał się z miejsca i szybkim krokiem zbliżył się do baryery, gdzie okiem ślepcy patrzyła na niego czarna czeluścią głęboka otchłań podziemnego szybu.



ŚWIATŁO BOŻE

NOWELE.

4

EXORCISTAE

Górnik Mitawa pracował przy „bormaszynce“ na dwudziestym poziomie w głębokości około 800 metrów. W czasie krótkich dni jesiennych i zimowych z powodu, że przed świtem „na szychcie“ wychodził z domu, a już o zmierzchu z niej wracał, Mitawa tylko w niedzielę i święta oglądał światło Boże. Cały ranek spędzał w kościele, z rodziną, modlił się na sumie gorliwie, ale i podczas pacierzy odrywał się często myślą od słów, które powtarzały jego wargi i wlepiął oczy w tęczowe witraże gotyckich okien, przez które sączyło się skąpo tłumionym grubą szybą promieniem światło dnia. Mitawa ukochał to światło. Było mu ono nad wszystkie dary Boże droższe na świecie. Wieczorem w niedzielę, kiedy inni już oddawna siedzieli w pełnych zaduchy i dymu szynkowniach, on o zachodzie słońca stawał przed swoją chatą na wzgórzu, z którego miał widok szeroki i nie zeszedł ze swojego stanowiska, póki ostatni, złocisty promień błąkał się jeszcze na zapadającym w mrok nieboskłonie.

— Tatulo już żegnają słońko, mówiły dzieci, ob-
stąpiwszy go wiankiem dokoła.

Mitawa żegnał się z niem istotnie, jak z bratem,
jak z przyjacielem, jak z osobą bardzo sercu drogą.

Pożegnania tego w piękne słowa sformułować nie umiał, powtarzał tylko w duchu:

— Bądź zdrowe słońce złote, światło ty Boże, już ciebie oczy moje przez tydzień cały oglądać nie będą; już się nie ucieszą twoim widokiem, ty pociecho, ty osłodo życia, ty skarbie najdroższy. Żegnaj mi kochane, promieniste, cudne, cudne słońce!

Z początku tygodnia było jeszcze pół biedy, jeszcze znosił jako tako brak dziennego światła.

— Kiej musi tak być, to musi; przecie nie wszyscy ludzie mogą pracować na świecie, bo ktoś jego dary z głębi ziemi wydobyć powinien, bo na chleb dla swoich trza zarobić — tłumaczył sobie.

Ale już z końcem tygodnia, to go taka czasem brała tęsknota za tem światłem Bożem, że go to gryzło, jak choroba jaka, że rady sobie dać nie mógł.

Praca przy maszynkach do wiercenia dziur strzelniczych w takiej, jak Mitawa pracował głębokości, była bardzo ciężka, bo dokuczało gorąco i duszność podziemna. Z odwiniętymi rękawami, w koszuli zupełnie na piersiach rozpiętej stawał do roboty, a mimo to nieraz pot kroplisty zlewał mu całe ciało. Przysypany pyłem maszyny świdrowej, zczerniały od kopcia, zlany potem rzęsistym, był bardziej do potępieńca z Erebu niż do człowieka podobny. Nie przedstawiał też sobie inaczej piekła, jak w formie takiego ciemnego, długiego, chodnika, na którego końcu jarzące się krwawem światłem lampki górnicze w otoczeniu złocistych pierścieni, na tle mgły powstałych, zdawały się być oczami szatana.

— Jeśli nie piekło, to przynajmniej czyściec przechodzę za życia — myślał nieraz Mitawa.

Jakże zazdrościł wtedy tym wszystkim, co choćby,

jak ciężko, choćby w krwawym pocie czoła pracują „na powierzchni ziemi“.

— Już co światło Boże, to światło, i tego nic ci człowieku nie zastąpi: ani zarobek lepszy, ani znośniejsza dola, nic, nic na świecie!

Czasem wśród roboty stawał i zamyślał się głęboko.

Ot teraz właśnie sąsiad jego, co ma szmat pola, idzie za sochą czy za broną przy siewie oziminy, a drugi wiezie wołami drzewo z boru, a trzeci wyjechał końmi na inny zarobek. Ptactwo nad nimi śpiewa, derkacze, bekasy, kszyki z błot się unoszą, a ot tam wśród szuwarów i wierzb pochyłych lśni się powierzchnia stawu jak zwierciadło ziemi, w którym słońce całe swe złote odbija oblicze. Złote słońce, jak ono im teraz świeci prosto w oczy, aż je przymrużać, aż przysłaniać trzeba. Po co to? po co? Niech wpada do duszy prosto, niech się w niem kąpie cała, w tem ukochanem Bożem świetle.

Mitawa miewał czasem takie jasne świetlane wizye. Kiedy usiadł w kopalni na ławie w kątku, chwilowo w porze śniadania przymykał często oczy i widział wtedy fale zbóż kołysanych lekkim tchnieniem wiatru, który odsłaniał z pod schylonych kłosów purpurowe maki i modre bławaty; widział łąki kwieciste ciągnące się w dal szeroką, a na nich jak ruchome plamki pasące się bydło i owce; widział bór rysujący się smugą długą na kraju nieba: rude buki, ciemne dęby i świerki zielone. — A wszystko to zawsze oblane potokiem jasnego słonecznego światła.

— Hej! być tam teraz na tym pięknym świecie i pełną piersią oddychać i żyć, żyć, a nie umierać.

Kiedy był jeszcze chłopakiem małym i usłyszał od

księdza, że szczęśliwość wieczna w niebie, to ma być oglądanie oblicza Boga i świętych pańskich i Aniołów w złocistem, jak monstracya światła — nie mógł tego zrozumieć. A teraz on to wszystko pojął dobrze, teraz zrozumiał, że większej szczęśliwości od światła Bożego, Stwórcy wybranym duszom dać nie może!

Nieraz, gdy go taka okrutna napadła tęsknota, chciał porzucić swą pracę i na prostego iść wyrobnika byle tylko żyć odtąd „na świecie“. Ale Mitawa miał liczną rodzinę, miał jako górnik tyle lat służby, która go uprawniała do prowizyi. Godziż się to wszystko porzucić dla jakiejś tam głupiej fanaberyi, którą rozumni jego koledzy zawodowi nazywali tę nieprzepartą tęsknotę za słońcem?...

Było to jak zwykle w sobotę.

Około południa już go tak wzięła tęsknota rozbierać, że mu ani rusz dziś nie chciała iść praca. Zaczął ją od słów ulubionej swojej modlitwy:

Kiedy ranne wstają zorze
Tobie ziemia, Tobie morze
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki.

Nie widzi on nigdy tej wschodzącej zorzy przy swojej pracy i już jej pewnie nigdy widzieć nie będzie i nigdy się nią tak jak drudzy do syta nie nacieszy i nigdy tak, jak ów ptak niebieski skrzydła rosą poranną okryte — duszy swej, napojonej łzami w tem światle zorzy wstającej, nie skąpie — chyba, chyba, gdy go już Pan Bóg do wiecznej chwały swojej powoła.

Mitawa usiadł na ławce, kilof rzucił pod nogi i dumał.

Tak tam dziś na świecie cudnie być musi... Kiedy

wychodził z domu, na niebie świeciły rzęście gwiazdy, księżyc po nowiu był czystutki bez żadnej mgły powłoki, więc teraz z pewnością jest tam bez chmurki pogoda. Aż mu serce żywiej zabiło. Ot tak, teraz wziąć dzieciaki za rękę i żonę i pójść w pole.

Wszędzie ludu pełno, a gwarzą, a śpiewają, a cieszą się resztkami „babiego lata“, co to snuje srebrne pajęczyny, te niteczki Matki Boskiej i niesie je z wiatrem i rozwiewa, jak włosy anielskie.

— Hej! miły Boże, ot tak teraz odetchnąć szeroko pełną piersią, tym wonniejszym nad wszystko zapachem świeżego powietrza, przepojonego blaskiem i ciepłem słonecznym.

Podniósł głowę i spojrzął w głąb chodnika, gdzie wśród dusznych oparów majaczyło światło kaganka.

Nie, on nie zostanie tu dłużej! Dusza rwie się do światła, do życia, a tu taka ciężkość, jak zmora osiadła na piersiach, a tu śmierć i grób.

Niech mu co chcą mówią, niech go karzą za to, że przedwcześnie opuścił szychcę, niech mu potracą z zarobku; on pójdzie, pójdzie, pójdzie!

Dziś nie wytrzyma tu dłużej. Zmyśli jaką wymówkę, powie, że jest chory, a pójdzie. Zresztą on się naprawdę zdrów nie czuje; ręce i nogi mu drżą bez powodu, głowę ma ciężką, jak ołów, szum w uszach, a na piersiach duszność taką, że co chwilę musi zaczerpnąć oddechu.

Mitawa wdział wierzchnie ubranie i złożywszy kielofy do torby, szedł ku podszybiu. Mimo, że chciał co prędzej wyjechać, szedł krokiem wolnym, bo czuł się jakiś osłabiony i senny.

Do wyjazdu robotników z kopalni służył w szybie tak zwany: „farkunst“. Jest to rodzaj dwóch półek

w jednym oddziale szybowym, umocowanych na grubych szynach żelaznych. Szyny te porusza olbrzymia maszyna parowa w ten sposób, że kiedy jedna półka idzie w dół, druga podnosi się do góry. Półki te, a raczej podya umocowane są na trawersach w odległości kilkometrowej, więc wyjazd w górę odbywa się w ten sposób, że kiedy jedno podyum obok drugiego się znajduje, trzeba przejść szybko z jednego na drugie, poczem następuje wzniesienie maszyną, aż do następnej półki. Przeszycie musi odbywać się prędko, bo zbliżenie półki do półki trwa tylko sekund kilka.

Mitawa zawahał się przez chwilę, czy ma wyjechać, ale powiew świeży, który wpadł czeluścią i widok ruchomego farkunstu tak nań podziałał, tak go wzięło odrazu, że na bok rzucił wszystkie refleksye.

Wstąpił na pierwsze podyum i rozpoczął wędrowkę, która miała potrwać przeszło pół godziny. Zaledwie jednak kilka razy ze stopnia na stopień przestąpił, czuł, że coś się z nim dzieje, że on naprawdę zdrów nie jest. Podczas przejść namyślał się długo, był niezdeterminowany, niepewną ręką chwycił za rękojeść klamry, głównej podpory w czasie przesiadania, namyślał się, wahał się tak długo, że już do przejścia na drugie podyum za mało zostawało mu czasu, wskutek czego sam swój wyjazd opóźniał. A jemu tak się już rwało do tego serce, żeby raz nareszcie znaleźć się „na świecie“.

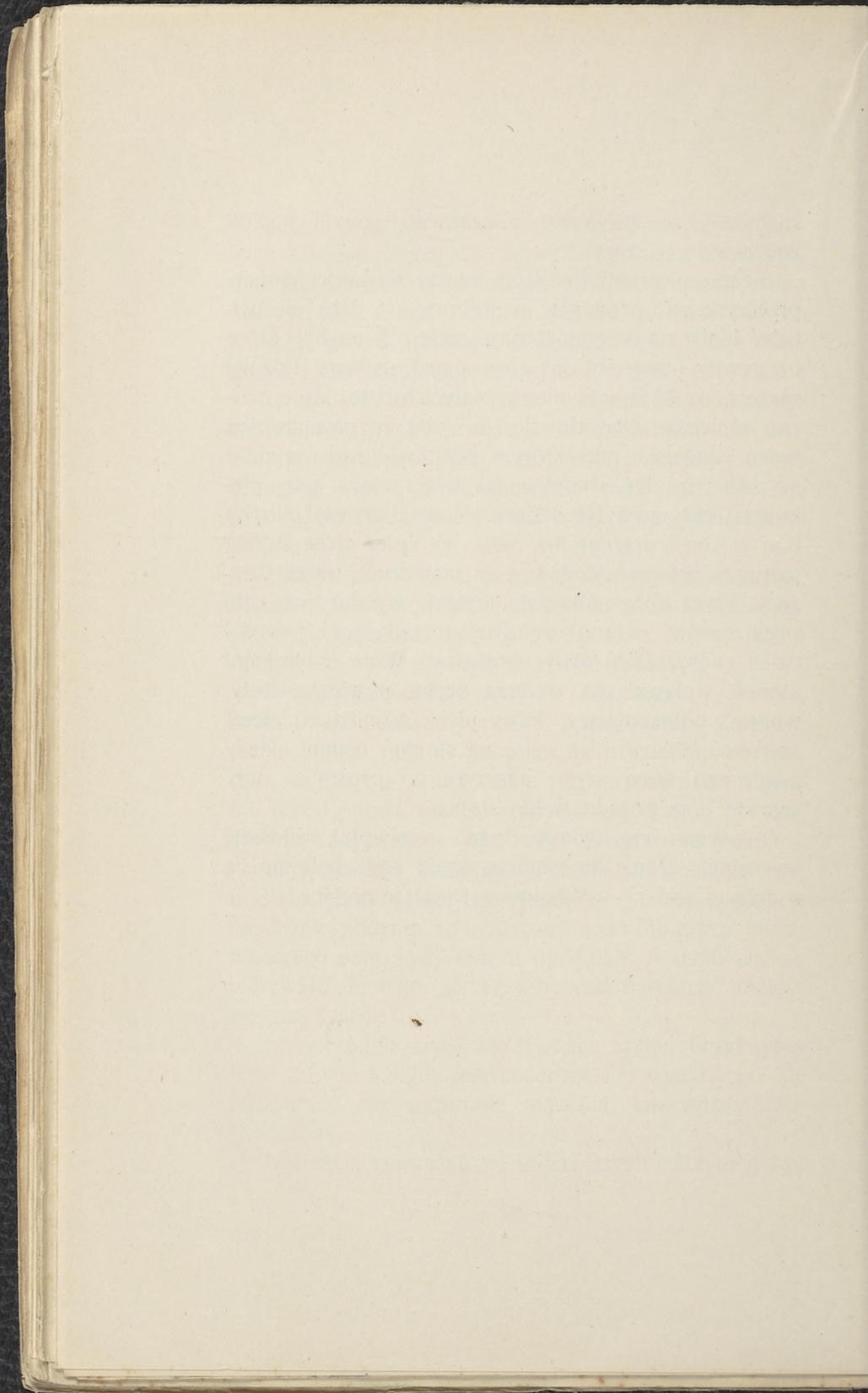
Śledził pilnie znaki na ścianach szybu, liczył przebyte stopnie i nigdy jeszcze droga nie wydała mu się tak bardzo, tak ogromnie męczącą, tak wprost nieskończoną.

Nareszcie zauważył, że ściany szybu zaczynają być

suchsze i że ich kolor z czarnego powoli powoli zmienia się w szary.

Szary, ołowiany ton ścian zaczął się coraz bardziej przeczyszczać, przetapiać w srebrny, co dało się widzieć lepiej na wilgotniejszych częściach szybu, które błyszczały i świeciły, jak rosa przed świtem. Później zaczęły się okazywać plamy białe, złociste, jasne, coraz jaśniejsze. Zdawało się, że ktoś rozpala z wolna ogień bengalski, przy którym światło kaganka wydało się żółte, brudne, wstrętne, jak twarz trupa przy pięknie i pełnym życia obliczu. Mitawa wyteżył wzrok i w tej chwili drasnął mu oczy, jak ostra złota strzała pierwszy promień słońca, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Przez duże okna zabudowania wpadał już całą orgią tonów, całą ulewą swej niepokalanej jasności dzień cudny, dzień biały, pogodny. Wraz z blaskami słońca wpływał do wnętrza szybu powiew świeży, wonny, pokrzepiający, który pierś górnikowi rozpiekał szeroko. Mitawa miał wejść na stopień ostatni, kiedy z górnego okna szybu uderzyła go prosto w oczy ognista łuna południowego słońca.

— Witam cię, światło Boże! — zawołał radośnie, wyciągając dłonie ku klamrze, która wysliznęła mu się z drżącej ręki i — Mitawa — runął w głębinę.



KOLEDZY

ROLDON

Gdyby ktoś umyślnie chciał szukać, nie znalazłby z pewnością na całej kuli ziemskiej dwóch bardziej niepodobnych, więcej różniących się od siebie usposobień jak Dirrera i Szarskiego. Jeżeli pierwszy był Hefajstosem, drugi wyglądał jak Apollo, jeżeli tamten był wodą, ten miał ogień w żyłach, jeżeli Dirrer był szatanem, Szarski aniołem. Każde z tych porównań uchodzić mogło za skrajne, ale nikt z kolegów znając ich, twierdzić nie był w stanie, że Pan Bóg tych dwóch ulepił z tej samej gliny.

Dirrer miał naturę skrytą, podejrzliwą, chytrą; lis przyczajony wyglądał mu z oczów, które jednak, gdy go ktoś drasnął do żywego, miały błysk zły, taki, jakim patrzają czasem dzikie zwierzęta na swego pogromcę.

Szarski, to usposobienie szczere, otwarte, co w myśli, zaraz i na języku, zapalał się łatwo, zaperzał przy lada drobnostce, wybuchał od razu, bo zapanować nad sobą nigdy nie był w stanie, ale lubili go wszyscy dla jego złotego serca. — Ostatni grosz, ostatni kęs chleba byłby chętnie Szarski oddał dla kolegi. Sympatya ta ogólna miała i w tem także swój wyraz, że Szarskiego wybierano do wszystkich komitetów i wydziałów, gdy natomiast na Dirrera nikt uwagi nawet nie zwracał. On zdawał się niedbać o to wcale... Od wyboru do

komitetów balowych zabezpieczał go zupełnie jego wygląd upośledzony mocno pod względem powabów, mogących działać na płeć piękną. Utykał trochę na lewą nogę, choć starał się zawsze bardzo maskować ten błąd organiczny; nie mógł jednak chodzić w masce na twarzy, która przypominała buldoga, a trochę orangutana, do czego się przyczyniał także rzadki i cienki zarost, rosący dziko na brodzie i pod brodą. Dirrer zresztą nie miał prawie czasu zajmować się czynnościami wydziałowego. W dzień: wykłady, sala rysunkowa, laboratorium, gabinety, wieczorem siedział w akademickiej kawiarni i wertował pilnie wszystkie dzienniki.

Ale razu pewnego zauważył któryś z kolegów, że Dirrer nie zawsze ma oczy zwrócone na gazety, że często, aż nadto często wybiega jego badawcze spojrzenie ku tej stronie, gdzie po za ladą kasową siadywała zazwyczaj kasyerka i kelnerka zarazem — Liza. — W Lizie kochali się wszyscy potrochę. Był to ładny typ Niemki, blondynki jasnej, o cerze przejrzysto-białej z leciuchnym, zaledwie dostrzegalnym rumieńcem, o oczach z bladego szafiru, pełnych melancholii i słodkich rozkosznych tajemnic.

Nowina ta gruchnęła pomiędzy kolegami sprawiając niemałą sensację. — Przyniósł ją pierwszy Ścibor, nazywany ogólnie także Wścibskim, co doskonale ilustrowało jego babską trochę naturę.

Ścibor wpadł do czytelnicy, zacierając z radością ręce:

— Słuchajcie chłopcy! jest nowina! — zawołał — pyszności! — jak was kocham.

— Cóżże znów wymyszkował ciekawego i mądrego — spytał Garszyński vulgo Powaga.

— Ciekawego z pewnością, a że on mądry, dał dowód.

— Słuchajcie i dziwujcie się: Hefajstos znalazł sobie Afrodytę, Dirrer, Wilhelm Dirrer — ma romans z Lizą.

— Co? ta małpa afrykańska?! — zawołał Szarski.

— Bajki, — historia, facecya! — oponował stanowczo Powaga.

— Nie bajki, nie, sam zauważyłem jak mówiła do niego półgłosem, widocznie obawiając się, by kto nie podsłuchał:

— *Herr Wilu, lieber Herr Wilu.*

— Słyszałeś, naprawdę słyszałeś? spytał już poirytowany Szarski.

— Ba, nie tylko słyszałem, ale skonstatowałem, że Liza ma jakieś kulczyki, pierścioneczki i broszkę — z pewnością od niego.

— Czegoż się dziwić? wtrącił Powaga, — Dirrer ma monetę, więc też wziął srokę na błyskotki.

— Ale ona nie jest sroka i stanowczo czegoś lepszego warta niż, żeby się tak młodo dać wziąć tej małpie za pieniądze. Ja ją z tego błota muszę wyciągnąć — argumentował zapalając się Szarski.

— Zwaryowałeś Janie! chyba się kochasz — mitygował go Powaga.

— Kocham się czy nie kocham, mniejsza o to przyznaję, że mi się dziewczyna podoba, ale gdyby nawet tego nie było, to jej nie pozwolę upaść tak nisko. Miłość co innego, dla niej choćby w piekło, ale nie dla pieniędzy; nie pozwolę, nie pozwolę! — powtarzał bijąc w stół pięścią. — Był czerwony jak upiór, krew mu uderzyła na policzki, jakby go zalać chciała. Wiedzieliśmy, że w takich razach nie warto było z nim polemizować, bo do zrobienia burdy zaraz był gotów. — Usposobienie to tak gwałtowne, które potęgowało się, gdy trochę więcej tylko wypił, było jego

prawdziwym nieszczęściem. Nieraz podczas komersu, gdy wskutek wymiany zdań przyszło do sprzeczki, Szarski wpadał w taką furję, że musieliśmy go nie tylko mitygować, ale czasem przerywać zupełnie dyskurs, a nawet rozchodzić się, by nie dopuścić do skandalu. Trafiało się to wprawdzie bardzo rzadko, ale się trafiało.

Szarski tak mocno wziął sobie do serca nawracanie Lizy, że Dirrer idąc raz ku kawiarni w porze, gdy najmniej bywało w niej gości, t. j. między godziną drugą, a trzecią w nocy, ujrzał na tle spuszczonej w oknie kremowej firanki sylwetki zbliżonych ku sobie głów. — Nie trudno mu było rozpoznać w nich Lizę i Jana, na którego od dawna miał pewne podejrzenie. Przyczołgał się cicho do drzwi i otworzył je nagle właśnie w chwili, gdy piękna Liza przyciskała do szerokiej piersi Szarskiego swą złotą główkę, którą on z zapalem całował, ciesząc się zapewne niemało, że szczerą miłość odniosła nad interesem tryumf zupełny. — Dirrer stanął we drzwiach jak duch Banka. — Spłoszona Liza z głośnem: ach! odskoczyła w bok wyciągając ku Dirrerowi ręce, jakby chciała prosić o litość.

— Poczóż ta komedya Lizo? zawołał Szarski — bądź szczerą, powiedz mu, że mnie kochasz. On się za szczerłość gniewać nie będzie.

— Tak, po co komedya, powiedz, że kochasz innego... znowu... rzekł ciszej Dirrer. — Ja się za szczerłość gniewać nie będę.

Był bardzo blady, krokiem chwiejnym przystąpił do bufetu i kazał sobie podać *cognac*.

— W twoje ręce kolego! — zawołał, pijąc do Jana.

Szarski zupełnie rozbrojony takim zakończeniem sprawy, która mogła wziąć obrót tragiczny, rzucił się

ściskać Dirrera, przyjmującego dosyć biernie te objawy serdecznych uczuć kolegi.

Liza także spodziewając się awantury, mile łagodnym postępowaniem zdradzonego zdziwiona, mówiła patrząc mu słodko w oczy:

— *Du bist doch gut Wilu!* — my będziemy przyjaciółmi zawsze przez całe życie!

Koledzy wszyscy również nie mogli wyjść z podziwu, gdy się dowiedziano o takim rozwikłaniu sprawy.

— Widzicie, jakieście go posądzali niesłusznie — mówił Powaga — Hełajst: zły, chytry na pozór, a przecież dał taki dowód zaparcia się, że do tego żaden z nas z pewnością nie byłby zdolny.

— A ja wam powiadam, wtrącił Wścibski, że ten lis coś knuje. Skąd by szatan tak łatwo dostał anielskich skrzydeł? Już on mu się za to kiedyś sowicie wywdzięczy. Już on mu za to urządzi prędzej czy później taki „kawał“, że go popamięta na długo!

Tymczasem jednak Dirrer z Szarskim, byli ciągle na stopie koleżeńskej. Zdradzony i zawiedziony w swej pierwszej miłości zdawał się uczuć więcej niż przedtem sympaty do swego rywala.

Na zebraniach przy piwie szukał sobie Dirrer zawsze miejsca obok Szarkiego i siedział także tuż przy nim na owym pamiętnym dla wszystkich komersie.

Wzięli w nim udział koledzy różnej narodowości. Gdy humory już były podniecone, dyskurs zeszedł na drogę śliską i niebezpieczną, w sferę polityki i stronnictw. Szarski zapalił się ogromnie. Czerwony był, jak piwonia; płowa czupryna, którą tarł ustawicznie, zjeżyła mu się nad czołem. Co chwilę bił w stół pięścią starając się w ten sposób mocniej jeszcze utwierdzić swoje argumenty i zaznaczyć swe przekonania.

Mitygowali go wszyscy, ale wszelkie napomnienia były bez skutku. — Szarski, jak ogień, do którego wlewają oliwy, wybuchał coraz więcej, coraz gwałtowniej. — Nagle, gdy klasyfikowano ludzi różnych obozów i gdy polemizujący z Szarskim Niemiec wydał sąd trochę za ostry o tych, co należeli do stronnictwa politycznego Szarskiego, Szarski zerwał się z miejsca — była to jedna chwila jak uderzenie piorunu — i zwrócony ku Dirrerowi zawołał:

— Kto powiedział: podły?! On? On?!

— Szarek! Bój się Boga! co robisz! — krzyknął Gaszyński — przyskakując ku niemu, ale już było za późno.

Kufel piwa mignął się tylko w powietrzu i trafił polemizującego z Szarskim przeciwnika w samą skroń. Raniony zachwiał się i padł na ziemię trupem na miejscu.

Szarski wpadł w taką rozpacz, że bliski był szału.

Z trudnością wyrwano mu nóż, którym chciał się przebić.

Mimo okoliczności łagodzących, skazany został na dwa miesiące więzienia.

Wszyscy współczuli z nim ogromnie, jeden tylko Dirrer zachowywał się obojętnie. Gdy mówiono o tej sprawie i zarzucano mu, że Szarskiego w owym momencie nie wstrzymał, miał uśmiech sarkastyczny i tłumaczył się, że jest w obec niego fizycznie za słaby.

Od owego strasznego momentu ignorował Szarskiego zupełnie, jakby go nie znał; nie zwracał na niego wcale uwagi.

Widząc, że koledzy patrzą na niego z ukosa, odosobnił się zupełnie i cały dzień był tylko pracą i nauką zajęty.

Dirrer skończył znakomicie studia i natychmiast otrzymał świetną posadę. Szarski zgnębiony, upadły na duchu, do pracy niezdolny, siedział dzień cały w kawiarni przy Lizie i w trzy lata później dopiero ukończył wydział górniczy, zabierając wraz z sobą z akademii i Lizę także, z którą się ożenił.

* * *

Szarski był najpewniejszy, że po ukończeniu akademii górniczej otrzyma wkrótce posadę. Spodziewał się, że rekomendacją lepszą od świadectw będzie jego postać atletyczna, budząca zaufanie, że pracy ciężkiej, do której oprócz nauki w zarządzie górniczym potrzeba także siły i zdrowia, z łatwością podołać będzie w stanie. Ta niezachwiana niczem ufność w przyszłość była powodem, że los swój połączył z losem Lizy, która wzniciając świetną karierą zazdrość u wszystkich zawodowych koleżanek wyszła za mąż niemal, jak ów kopcuszek z bajki, pełna różowych nadziei, że lada moment zostanie „panią inżynierową“.

Ale Szarski zapomniał o jednej rzeczy. Historia okropnego dramatu, którego był sprawcą, rozeszła się szeroko po świecie całym, czyniąc mu smutną sławę. Szarski od owego dnia pamiętnego miał na swem czole piętno zabójcy. Nie pytano wcale, w jakich warunkach się to stało, okoliczności łagodzące nic nikogo nie obchodziły, wiadano tylko, że był zabójcą i że wskutek popełnionej zbrodni został na więzienie skazany.

Gdzie tylko Szarski wniósł podanie o posadę, wszędzie spotykała go odmowa. Tam były miejsca już zajęte, ówdzie znów zarezerwowane od dawna dla innych. Dostawał odpowiedzi wymijające, nigdzie nie podano

mu właściwego powodu, którego mógł się tylko domyślać. Przypuszczając, że w odleglejszych stronach smutne dzieje jego tragicznego wypadku może będą nieznanne, szukał za granicą stanowiska dla siebie. I udało mu się otrzymać przyjęcie tymczasowe w jednej z rozległych kopalń. Już mu się lepsza doła zaczęła uśmiechać, już myślał, że skończył się nareszcie czas jego tułactwa i gonitwy za chlebem, gdy dnia pewnego, dyrektor kopalni zawezwał go do siebie:

— Proszę pana — rzekł trzymając list w rękach i patrząc Szarskiemu badawczo w oczy — dostałem wiadomość anonimową tylko, ale w każdym razie sprawdzić ją trzeba. W tym liście identyfikują pana z owym Szarskim, który w ciągu studyów na akademii popełnił zbrodnię, zabił kolegę. Czy to pan nim byłeś?

Szarski milczał... pochylił głowę ku ziemi i czekał na nowy cios, który ma weń uderzyć.

— Pan byłeś karany więzieniem?

— Tak — odrzekł cicho.

— W obec tego pojmuję pan, że dłużej na stanowisku urzędnika nie możesz być w naszym zakładzie. Ani ze względu na kolegów, ani ze względu na robotników podwładnych.

Szarski miał czas oswoić się z odmową. Inni właściciele i kierownicy kopalń szukali pozorów, ten przynajmniej był szczerym. Szarski domyślał się także, skąd list anonimowy pochodził. — Wiedział, że to wszystko się dzieje za sprawą tego samego, który w owej chwili uniesienia rzucił mu w ucho nie wypowiedziane wcale słowo: „podły“ i doprowadził do zbrodni; wiedział, że to dzieło tego szatana w ludzkim ciele, który za odebranie mu Lizy poprzysiągł Szarskiemu zemstę dozgonną.

Tymczasem gorzko mu nieraz żałować przyszło, że w tym właśnie kierunku zwrócił uczucie swego młodzieńczego serca. Liza okazała się samicą więcej niż przeciętną, zawiedziona w nadziei zostania inżynierową, wkrótce zaczęła mu przerabiać dom na piekło, które wtedy dopiero, gdy przyszły na świat dzieci, dwóch chłopców jędrnych, zdrowych, jak krople wody do ojca podobnych, dosięgło zenitu, o jakim Dante nie marzył, stało się wprost piekłem nie do zniesienia. — Liza zarzucała mężowi przy każdej nadarzającej się sposobności, a tych nigdy nie brakło, że z jego winy popadła w takie nieszczęście, że to on jej los tak okropny zgotował. — Gdyby się nie był wmięszął między nią i Wilhelma, byłaby dawno „inżynierową“ w dostatkach, bogatą i mogła żyć spokojnie, bez troski o jutro — szczęśliwa, nie w takiej nędzy i biedzie!

W słowach tych była gruba przesada. Szarski mimo, że stałej posady otrzymać nie mógł, przyjmował dorywczo pierwsze lepsze miejsce, gdzie się zdarzyło, choćby prostego tylko robotnika i pracą ciągłą i wytrwałą zarabiał tyle, że to na skromne utrzymanie rodziny wystarczyć mogło zupełnie. Ale Liza nie tego pragnęła, takie życie nadto było dalekie od spełnienia jej marzeń, od dogodzenia jej ambicyi. Dzień i noc wyrzutami dręczyła biednego Jana tocząc, jak czerw coraz mocniej tak silny niegdyś pień dębu. — Praca nie męczyła go wcale, bo mógł każdej podołać, ale te docinki, te szpileczki ostre, głęboko w samo serce codzień wbijane, jadem ciągłej nienawiści zatrute, które tylko zła kobieta z takim wyrafinowaniem znanstwem sprawianej tortury w słowa swe sączyć potrafi te trawiły jego organizm i osłabiały energię do życia. — Bolało go to najwięcej, że Liza nie kochała dzieci, tych dwóch

lubych ślicznych chłopaczków, Jaśka i Stacha: jego rozkosz, jego szczęście całe. Nie lubiła ich może dla tego także, że byli tak ogromnie do ojca podobni. Dzieci jakby to odczuwały, instynktem garnęły się więcej do ojca.

Tak stały rzeczy, kiedy rozeszła się wiadomość, że Dirrer został dyrektorem ogromnej kopalni, w której miało zajęcie kilkudziesięciu urzędników. Liza pierwsza przysłała do Jana z tą wieścią, zaprawiając ją dla trudniejszego połknięcia znaczniejszą niż zwykle dozą żółci.

— Wilhelm już został dyrektorem! Widzisz, widzisz... a ty? mówiła z wyrzutem — czem ty jesteś?

Szarski z miną skazańca czekającego na odczytanie wyroku, którego treść jest mu wiadomą, oparł szpakowatą już mocno głowę na rękę i patrzył w próżnię.

— Dirrer będzie miał teraz, jak mówią: dwanaście tysięcy dochodu! Dwanaście tysięcy *Herrgott!* to na królewskie życie, wystarczyć by mogło!

— A czy ty wiesz, że on się nie ożenił jeszcze? Czy ty wiesz co to znaczy? Że on mnie jedną tylko kochał pierwszą gorącą miłością i pamięci tej jednej jedynej w życiu miłości dotychczas pozostał wierny... I gdyby nie ty...

Szarski, jak zwykle nie odpowiadał, ale Liza podrażniona dziś więcej niż zazwyczaj tem milczeniem, zaczęła drobnym krokiem chodzić tam i napowrót po izbie.

— Nie! tak dłużej być nie może, ja już tego życia nędznego z dnia na dzień, bez jutra, mam dosyć. Lada robotnik raz stałe przyjęty jest lepiej zabezpieczony na przyszłość niż ty. Chcesz, czy niechcesz, zgadzasz się czy nie, ja idę sama do Dirrera prosić o posadę dla ciebie. Wszyscy wiedzą, że on przez podże-

ganie ciebie, wtedy, gdy byłeś w tej twojej szalonej furii, wtrącił cię w nieszczęście. Był to z pewnością akt zemsty za to, żeś mnie uwiódł, czego mu zresztą dziś za złe zupełnie nie biorę. Ale on z ciebie zrobił zbrodniarza, więc on winien ci także podać rękę pomocną. — No, odpowiadaj, cóż ty na to?

— Nic — rzekł Szarski smutnie — myślę tylko, że jeżeli Dirrer, o czem się przekonałem, podstawił mi wszędzie nogę, rozgłaszając, że'm prosty zbrodniarz, to przedewszystkiem sam mnie przyjąć nie ze chce.

— A ja ci mówię, że zechce! — rzuciła Liza wyniośle — on mi tego odmówić nie będzie w stanie.

Szarski zachował się w obec tej wiadomości zupełnie obojętnie. W udanie się misyi z góry nie wierzył. Chętnie byłby przyjął posadę i od samego dyabła, gdyby mógł przez nią uzyskać spokój t. j. byt zapewniony bez troski o przyszłość, czuł, że go to życie bez jutra gnębi, łamie i wkrótce zupełnie siły mu starga.

* * *

Liza wróciła ze swej misyi ogromnie zadowolona. Dirrer ją przyjął nadspodziewanie dobrze, ach, jak ją przyjął! Jak się szczerze ucieszył, ile jej komplementów nagadał. — Mówił, że nigdy się nie spodziewał, by ona po tylu przejściach tak jeszcze dobrze, tak młodo wyglądała...

-- Mogła pani mieć los inny — zakończył patrząc na nią z łagodnym wyrzutem, jakby chciał jej przypomnieć pamiętną przeszłość i to także, że ona winę całego swego nieszczęścia ponosi.

Liza nie ze wszystkiego zwierzyła się mężowi. Oznajmiła mu w krótkości, że Dirrer przyjął ją dobrze, co

zresztą i tak można było poznać z promieniejącej jej twarzy. Nie mogła się jednak powstrzymać od entuzjastycznych pochwał dla pomieszkania dyrektora.

— Ma pałac, jak udzielny książę! Lokaje, karety. W kancelaryi jego na całej podłodze leży dywan gruby na pół dłoni, puszysty, miękki, stąpa się po nim tak cicho, tak jakoś tajemniczo, że aż dreszcz ją przejmował, gdy się zbliżyła do dyrektora.

Jan musiał wpieryw tej długiej wysłuchać tyrady nim się dowiedział czy mu Dirrer obiecał dać posadę.

— Ależ naturalnie, powiedział tylko, byś się zgłosił, a chociaż wszystkie miejsca są zajęte, on przecież coś stosownego dla ciebie wyszuka. Przyjmuje między *je-dynastą, a pierwszą* przed południem. Trzeba się zgłaszać wcześniej, bo tam zazwyczaj docisnąć się nie można...

Szarski stawił się w oznaczonej godzinie, ale długo czekał nim go wpuszczono.

W końcu przyszła kolej na niego. Odzwierny otworzył mu cicho ogromne podwoje przysłonięte ciężką jedwabną portyera, wiodące do pracowni dyrektora. Był to raczej salon niż kancelarya. Ścianę pokrywały kosztowne tapety, powałę stiuki i artystyczne malowidła. — W rogu pokoju stało duże hebanowe biurko pełne cacek praktycznych, pięknych i kosztownych. Od całego otoczenia odbijał sam dyrektor, który na dużym wybitym safianem fotelu siedział w prostej robotniczej bluzie, skórzanej, wilgotnej brudnej, noszącej wyraźnie ślady, że dyrektor przed chwilą wyjść musiał z kopalni. Tak też było w istocie. I dzień jeden nie minął, ażeby on sam nie zjeżdżał na wizytację robót w kopalni. Czynił to zazwyczaj bez asystencyi, bez służącego nawet, który by mu oświecał drogę. Brał ka-

ganek i szedł nigdy nie mówiąc dokąd idzie, i kiedy powróci. Często gasił światło, chował się za zrab skały i tak niepostrzeżony przez nikogo śledził, co się w kopalni dzieje.

Gdy spostrzegł najmniejszą nieprawidłowość, karał ogromnie ostro, najczęściej wydalaniem ze służby. — Robotnicy drżeli przed nim, jak przed szatanem, nigdy nie mogli być pewni: czy on ich nie śledzi, nie podpatruje, bo zjawiał się czasem w miejscach, gdzie się go najmniej spodziewano. Był surowym — to mało — był tyranem, bez litości, bez miłosierdzia, bez najmniejszego względu dla słabości ludzkich. Chcąc zadowolić akcyonaryuszów, którzy naturalnie ślepe do niego mieli zaufanie, obniżał zarobki robotników, szczędził na ich wygodzie i bezpieczeństwie, byle tylko co roku wykazywać w dochodach nadwyżkę, co wcale tak bezinteresownem nie było, gdyż i jemu wskutek tej nadwyżki rosła także *tantiema*.

Podwładni na każdym kroku czuli ucisk despoty, który oprócz żelaznej ręki miał także serce ze stali.

Szarski stanął przy drzwiach, nie śmiąc zbliżyć się, a tem mniej wyciągnąć ręki.

— A! pan tu? — zawołał Dirrer — odkładając po chwili pióro, którem coś pisał szybko. Jak się pan miewa? — przyszedł przecież... aż tu do mnie — rzekł z naciskiem — no, czemże mu mogę służyć?

— Chciałem prosić o nadaniu mi posady przy kopalni.

— Wiem, była tu już u mnie w tej sprawie Liza — przepraszam: „pani Liza“, która, doprawdy bardzo, bardzo jeszcze jest ładna. Miejsca zajęte prawda, ale ja to zrobię dla niego... pan przecież dawny kolega....

— He, he... co? — dawne czasy — roześmiał się sucho.

— Tylko, że to stanowisko, które panu powierzam,

nie jest łatwe, tam ciężkie warunki eksploatacji... nowa gałąź kopalni. Ale pan przecież silny, muskularny, pan powinien temu zadaniu z łatwością podołać. Płaca niewielka, jednak do życia skromnego wystarczy.

— Mamy dzieci — panie dyrektorze.

— A! są? ładne? dziewczęta? co? — pewnie każde wykapaną matką.

— Chłopcy... mówią, że do mnie podobne.

— To źle, będą może miały i pański temperament. Ale, a propos tego pańskiego temperamentu — mówił dalej tonem przeciągłym — zmienił się? złagodniał z wiekiem? Co? Tak sędzę, tak przypuszczać należy, bo jeśliby się kiedy okazało, że nie to...

Nie dokończył, ale Szarski domyślił się reszty. Załatwiwszy urzędowe formalności rozpoczął bezzwłocznie służbę. — Rewir, który otrzymał, był istotnie nie do pozazdroszczenia. Szyby głębokie, chodniki wąskie i niskie. Ze ścian sączyła się ustawicznie woda, wentylacja była utrudnioną i niedostateczną, kaganki paliły się krwawym płomieniem wydzielając obficie kopeć. Duszność zwiększała jeszcze wysoka w podziemiach temperatura spowodowana głębokością kopalni.

Szarski wychodził codziennie z kopalni, tak zmieniony, że dzieci na jego widok chowały się czasem przerażone. Kapelusz i włosy miał zlepione nieraz jedną skorupą błota. Twarz i ręce czarne od kopcia, suknie tak przemoczone, że przewieszane do wyschnięcia tworzyły pod sobą wielką kałużę wody... A jednak mimo pracy w tak ciężkich warunkach Szarski los swój znosił bez szemrania. Miał posadę stałą, byt i przyszłość zapewnioną, skończyła się nareszcie ta włóczęga, ta cyganerya wstrętna, w czasie której sterał przedwcześnie zdrowie i kawał życia zmarnował.

Niech już będzie, jak chce, — myślał — byle zabezpieczyć los rodzinie i mieć za co dzieci wychować.

Martwiła go natomiast ogromnie rzecz inna. Z dniem każdym zdawał sobie sprawę dokładniej z tego co się w sercu Lizy dzieje, mimo, że nie mówili o tem wcale.

Kiedy powracał z kopalni do domu, zastawał często dzieci same. — Stach i Janek siedzieli przytuleni do siebie płacząc i skarżąc się, że mama wyszła już dawno i nie wróciła jeszcze.

Nie trudno było Szarskiemu dowiedzieć się, gdzie chodziła? Liza zresztą nie tała przed mężem, że dyrektor wzywał ją, ażeby mu to i owo pomogła przy gospodarstwie, z którym, jako kawaler sam sobie rady dać nie może.

Aż stało się to co było do przewidzenia. Szarski raz po powrocie z kopalni zastał, jak zwykle, dzieci pod opieką sługi, która mu podała list ręką żony pisany. Spodziewał się katastrofy, a jednak czuł ból, ogromny ból w piersiach, gdy przeczytał te słowa:

„Odchodzę tam, gdzie dawno za popędem serca pójść była powinna. Dość długo nacierpiałam się, znosząc z tobą złą dolę, do której nie byłam stworzoną i należy mi się za to trochę szczęścia w tem życiu“.

Szarski nie miał już dla Lizy żywszego uczucia. Poznał ją, tę duszę jałową, to serce próżne, niezdolne do najmniejszej ofiary z samolubnych zachcianek, serce, które do żywszego bicia poruszyć tylko mogła nadzieja zaspokojenia wiecznie nowych wrażeń chciwej żądzы użycia.

Ale uczuł przecież żal z powodu krzywdy, której doznał. Wszak on tyle wycierpiał i tak pracował dla niej. A najmocniej krwawiło mu się serce, gdy patrzył

na te maleństwa, którym zabraknie — matki, złej —
prawda, ale zawsze — matki.

Trzeba się jednak pogodzić z losem.

Lizie drogi do szczęścia zagradzać nie myślał. Dla opieki nad dziećmi w czasie jego nieobecności wziął kobietę starszą, wdowę po górniku i oddał się całej ciężkiej swej pracy mając cel jeden tylko na oku, ażeby dzieci wychować, wykształcić i doprowadzić szczęśliwie, aż do tej chwili, kiedy będą mogły stanąć o własnych siłach.

Idąc do szybu widywał nieraz Lizę wystrojoną, jadącą powozem dyrektora; czuł, że mu krew uderza do głowy i szybko skręcał w boczne ulice, by jej na drodze swej nie spotkać.

* * *

Szarski wychodził dziś z kopalni cokolwiek wcześniej niż zazwyczaj. Był niespokojny.

Staszek bez powodu nagle zasłabł, zostawił dziecko w gorączce, z rozpaloną głową. Posłał po lekarza, z którym przed zjazdem do kopalni widzieć się nie mógł, chciał więc co prędzej dowiedzieć się teraz o stanie choroby dziecka. Gdy wszedł do podszybia, spostrzegł od razu, że pilnujący wyjazdu dozorca szybowy miał minę ogromnie zastraszoną.

— Szala wolna? zapytał. Dozorca zamiast odpowiedzi zaczął coś mrużyć niewyraźnie, dając równocześnie przeczący znak głową.

— Ale wolna, wolna — odezwał się w tej chwili głos z szybu. Szarski poznał Dirrera i drgnął cały; raz jeden wychodził wcześniej niż zwykle i musiał właśnie spotkać dyrektora. — Dirrer stał wewnątrz windy ze zgaszonym kagankiem.

— Pan już wyjeżdża z kopalni? spytał głosem, w którym znać było tłumiony gniew i sporą dozę złowróbnego sarkazmu.

— Dziecko mi mocno chore — panie dyrektorze.

— Taak — rzekł Dirrer przeciągle, wymówka się znajdzie, proszę jednak, by to było po raz ostatni. Tam są roboty ważne, których bez nadzoru zostawiać nie można.

— Panie dyrektorze, to nie wymówka, to prawda — rzekł Szarski z bolesnem drżeniem w głosie.

— Niech i tak będzie, wierzę — proszę wejść, jest dosyć miejsca.

Szarski wszedł do szali i stanął naprzeciw Dirrera stawiając na podłodze kaganek płonący słabem światłem, na które spadały co chwilę z wilgotnego szybu krople wydając syk przeciągły.

Wyjeżdżali windą przeznaczoną także do wywozu wózków kopalnianych, więc nie zaopatrzoną wcale w siatkę drucianą.

Ogromna postać Szarskiego sięgała prawie do dachu windy, gdy niepokaźna figura Dirrera, wsuniętego w kąt windy, wydawała się mniejszą niż zwykle. Do przebycia mieli kilkaset metrów, więc jazda musiała potrwać kilka minut.

„Szybowy“ dał sygnał — ruszyli...

Szarski czując się bardzo boleśnie dotknięty posądzeniem, że choroby dziecka użył tylko, jako pretekstu do wczesnego wydalenia się z kopalni, zaczął się tłumaczyć opisując objawy słabości dziecka. I uczył nagle, że go coś ścisza za gardło, i że musi to powiedzieć, choćby go takie wypowiedzenie prawdy nie wiem wiele kosztować miało.

— Wszak one teraz panie dyrektorze... one teraz nie mają matki...

Dirrer milczał i zdawał się obojętnie patrzeć w próżnię, na ustach miał wzdorliwy uśmiech.

Wtedy w Szarskim odezwała się dawna natura. Uczuł, że mu krew zaczyna falą mocną, coraz mocniejszą z serca bić do głowy — zalewa całą czaszkę, szumi w uszach. — Ktoś niewidzialny mówił mu najwyraźniej:

— Patrz! oto ci się sposobność nadarza, której nie będziesz miał już w życiu. Oto jesteś sam na sam z tym, który cię doprowadził do zbrodni, złamał, unieszczęśliwił, a teraz matkę twych dzieci pociągnął w przepaść hańby. Patrz! los, Nemezis, która nad wszystkimi czuwa, daje ci teraz sposobność do wypłaty, za to coś wycierpiał niesłusznie. Oto chwila nadeszła. On zmienił cię w zbrodniarza, piętno zabójcy masz na swoim czole, ludzie tobą wzdorlili, niechże przynajmniej wiesz: za co? Oto ten zbrodniarz stoi przed tobą, ten szatan, tyran, despota taki słaby, nikły, skulony. On posiadał władzę, którą tylko chytrą swoją zdobyć potrafił, a ty, ty czem jesteś w obec niego? Sługą marnym tylko!

Oto chwila odwetu nadeszła i czegoż, czegoż się masz namyślać? — Jedno silne popchnięcie z windy i ot tam leży Dirrer na dnie tej komory z całą swą władzą i potęgą tyrana, zgłodzony ze świata, gdzie tyle zrobił złego, raz na zawsze, z czaszką rozbitą w czerepy. Pchnij, bez namysłu, a jednym zamachem uwolnisz tyłu co cierpią przez niego — i nikt, nikt wiedzieć nie będzie! — Mógł się przechylić, mógł wypaść i nie zostanie *ani śladu*.

...Szala leciała, jak ptak chyżo ku górze kołysząc się miarowo na drutach liny. Rozluźnione w miejscach śrubami skręconych sztaby żelazne dzwoniły bijąc

o cembrzynę szybu. Wskutek nacisku powietrza płomień kaganka chwiał się, płaszczył, rzucając na ściany długie przelotne cienie, które zdawały się mieć ruch i życie. Wszystko to tworzyło razem ponurą, jakąś dziką w szalonym tempie symfonię, która na zmysły Szarskiego działała podniecająco, popychając go brutalnie, gwałtownie, bez opamiętania — do zbrodni. Fala krwi biła coraz mocniej, same ramiona zaczynały się prężyć... Już był gotów do czynu. — Podniósł oczy na Dirrera i widział to, czuł, że ten wie, co się w jego głębi dzieje... W tym momencie, gdy już, już czynu był bliski, ujrzał w oczach swej przyszłej ofiary, taki żal, tak ogromną skrucę, tak wielką błagalną beznadziejną prośbę o litość, że się powstrzymał. — Było to spojrzenie psa skulonego, który żebrze łaski, by go nie zabić. Szarski opuścił ramiona, czuł, że słabnąć zaczyna, że go ta litość chwyta za miękkie zawsze serce. Głos jakiś, ten głos dobry, głos opiekuńczego stróża anioła zaczął mu szeptać słowa opamiętania:

„Czy on istotnie, aż tyle zawinił, czy to nie ty sam jesteś przyczyną swego nieszczęścia? Ty i ten twój temperament gwałtowny, burzliwy, nieokiełznany. Dlaczegoż niewinnego zabijać? Czyż nieprzyjaciół naszych choćby najcięższych zgładzać nam wolno ze świata?

I w tej chwili także, jak gdyby w spółności z tą myślą dobrą i jasną zaczęły padać na śliskie ściany szybu z błękitnego nieba srebrne promienie dnia, jasne, coraz jaśniejsze, aż wreszcie sygnał maszynowy dał znak, że szala wyjeżdża do góry.

Szarski drżącymi rękami ocierał pot zimny z czoła, był ocalony. Dirrer opuścił pierwszy windę. Szedł chwiejnym krokiem... Był bardzo blady.

Dyrektor udał się do kancelaryi inspekcyjnej. Szarski

wszedł do izby robotniczej, ażeby ochłonać z okropnego wzruszenia po strasznej walce.

Na środku ściany w izbie robotniczej był krzyż przybity, przed którym płonęła wieczna lampa. Wyjazd robotników z kopalni miał się zacząć dopiero za godzinę, więc w izbie nie było nikogo. — Szarski ukląkł na stopniach przed krzyżem, pochylił głowę ku ziemi i cała walka okropna, cała ta burza straszna, która mu piersi rozsadzić chciała, spłynęła teraz w łzach cichych, kojących. W modlitwie bezsłownej, w modlitwie kornej kajał się w prochu przed Bogiem, dziękując mu za ocalenie.

W tej chwili drzwi się nagle otworzyły, wszedł dozorca szybu i rzekł:

— Pan dyrektor prosi.

Szarski podążył szybko ocierając starannie ślady łez.

Dyrektor zmierzył go od stóp do głowy, tym wzrokiem, przed którym drżeli podwładni. Prawą ręką kręcił swój skąpy zarost formując go w szpiczastą brodę, która przy tem spojrzeniu nadawała mu wygląd Mefista.

— Panie Szarski — mówił cedząc powoli słowa — pan... pan... nie wiele się zmienił... ja pana natychmiast i na zawsze zwalniam od służby.

WIGILIA
BOŻEGO NARODZENIA

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

WICILIA
BOZGO-NARODZENIA

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

Ten sam dzwonek, który każdego ranka zwołuje donośnym, rozległym, przenikliwym głosem z szybowej wieży do rozpoczęcia pracy, dziś wydaje ton zupełnie inny, jakiś uroczysty, świąteczny. Bo oto, gdy dźwięczne jego słowo przez drobne okienka chatki górnik'a wpadnie do wnętrza, już nie sam tylko ojciec rodziny porywa za kilof i kaganek i spieszy posłuszny wezwaniu do podziemi, do pracy codziennej, ale z nim razem idzie dziś także jeden jedyny raz w roku całym jego rodzina na te niezwykle roraty na mszę do kopalni. Ze wzgórza, na którym się mieści zabudowanie szybu widać na ciemnym tle nocy kaganki górników, jakby rój gwiazdek migoczących ustawicznie i szybkim ruchem dążących ku szybowi, który z dużymi oknami oświetlonemi rzęsiście wygląda jak szopka w dzień wigilijny. W zabudowaniu szybowem rojno, gwarno, wesoło; wśród chust wieśniaczych krasych, kaftanów i kapot długich przestronnych widać także zgrabne salopki i czapeczki futrzane, z pod których wygląda białe wydelikaczone liczko i jasne kędziorki misternie uczesanych włosów, bo i rodziny inżynierów i kierowników kopalni biorą także udział w dzisiejszem nabożeństwie.

Długi szereg lampek oliwnych umieszczonych po

obydwu stronach chodnika zdaje się być na tle ciemnej wąskiej czeluści sznurkiem paciorek złotych nанизanych nitką niewidzialną. Niezwykły to widok dla górnika; wczoraj jeszcze szedł do pracy tą samą ulicą ciemną przy jednym tylko kaganku migotliwym, skwierczącym wiecznie, jakby w nim była zaklęta dusza pokutnika, przy jednym słabym, chwiejnym płomyku, co na czarne załomy skał rzucał potworne cienie jego postaci; wczoraj jeszcze wsłuchiwał się tylko w odgłos własnych kroków, który stłumionem, tępem echem tłukł się o ścianę rozległych komór, wczoraj jeszcze idąc tą drogą nie mógł się oprzeć smutnym myślom o żonie swojej o dzieciach, których aż pięcioro zostawił doma na górze... a dziś, jakże to wszystko dziś inaczej wygląda!

Chodnikiem rześcicie oświetlonym idzie dziś Marcin Woźniak nie sam jeno z całą swoją familijom. Tuż za mężem kroczy baba w odświętnej chustce choć to w kopalni powalać się można, obok niej Maryna, Kaśka i Jędrek, co się trzyma jeszcze spódnicy matczynej, a Franek i Stach starsi szkolarze idą już śmielsi bliżej ojca.

— Póďtecież sporzej! póďtecież! — woła do zastrażonych trochę Marcin. Nie bójcie się, dziś wszystkim tu być wolno. Gdyby nawet iść nie chcieli to i tak ciżba by ich wypchała naprzód. Kogo bo tam nie ma dziś pod ziemią? I stygarzy i majstry i dozorczy i wszyscy panowie urzędnicy z żonami. Takie ładne białe panie w narzuconych na suknie koszulkach płóciennych rozmawiają, śmieją się, żartują, aż się ta wesołość wszystkim udziela i gwar powstaje i rozhovor taki, jakby to nie było kilkaset metrów pod ziemią jeno na bożym świecie pod niebem błękitnem, jasnem.

Z poza odchylonej kapoty robotnika mignęły nagle filuterne oczka, dwa chabry żywsze barwą od tych, które u tatuli czas wybielił, a zobaczywszy tyle państwa, tyle urzędników, schowały się co rychlej w dawną kryjówkę ściskając mocniej ojcowską rękę. Uroczysta to chwila dla niego, ważna, a może o przyszłym zawodzie rozstrzygająca, bo oto dziś po raz pierwszy pokażą mu rodzice ten świat drugi, ten kraj ciemny, nieznany, który on już zbudował sobie bujną dziecięcą fantazję, gdzie go coś ciągnie i odpycha zarazem i lękiem przejmuje. Ciągnie by obaczyć te miejsca, gdzie tatulo pół życia dla nich przepędza, a strachem go przejmuje myśl o tych brodatych duchach z opowieści, których tyle słyszał z ust rodzica. Drobnymi rączkami ściska mocno ojcowskie kolana i coś chce pytać i prosić o wyjaśnienie, ale mu przerwano krótko:

— Jędrak nie marudź, bo ostaniesz.

I już stoi cichutko jak trusia, ani mru-mru, ani słóweczka. Boże mój, on miałby zostać i nie zobaczyć dziś kopalni, do której od chwili gdy zaczął sobie здаwać sprawę z życia, aż dusza się rwie i nie ujrzeć tej szopki, cudnej co ją tatulo pod ziemią w chwilach wolnych od pracy wraz z innymi żeleźnikami*) tak kunsztownie w kamiennej skale wykuli i ulepili? Nie, nigdy, on by tej zgryzoty nie przeżył!...

Pochód zatrzymuje się nagle w chodniku i każdy prawie tłumi w piersiach okrzyk podziwu. To kaplica wykuta w skale taka ogromna, wysoka jak kościół sklepiony. Na samym środku zwiesza się pajak olbrzymi, dzieło górników, a po bokach cztery mniejsze.

*) Tak nazywają górników prasujących kilofem (żelazem).

Od świec jarzących dzień jasny nastał w kaplicy. Marcin z rodziną toruje sobie drogę w natłoku, ażeby dzieciom pokazać ołtarz przez górników w skale wykuty, przystrojony na dzień dzisiejszy. Jędrak aż gębę z podziwu otworzył.

— Moiście wy! — zawołał — dyć tu tak ślicznie świetlisto, że i na świecie jaśniej być nie może!

Oczom jego, które od blasku świec jarzących w pozawieszanych u stropu kryształowych pająkach, aż przysłonić musiał przedstawił się kościół sklepiony tak niemal duży, jak u fary. Tylko, że tam u fary ściany białe, a tu czarne kamienne, tylko że tam tak cudnie przez okna kolorowe wpada promień złoty, prosto z niebiosów, a tu tak głęboko, tak daleko jest do nieba. Przeciska się w tłumie śladem ojca bliżej ołtarza. Taki biały złocony, gęsto kwiatami ubrany, że i na górze ładniejszy być nie może. Kaplica przepełniona, ławki zajęły rodziny urzędników i starszyzna, a cały lud górniczy w ciemnych kapotach i kitlach, długim użyciem zrudziałych kłęcz w około, bije się w piersi i chyli poorane czoła ku ziemi. Ruch się robi wśród tłumów, bo w tej chwili białutki, jak gołąbek ksiądz, kapelan górniczy zbliża się do ołtarza. Dzwonek uderza, msza się rozpoczyna... Nastrój świąteczny, cisza uroczysta, niezdradzająca chyba tylko westchnieniem z piersi z bolałej i szmerem modlitwy, że tu w głębinach ziemi tyle serc żywo bije, tyle dusz korzy się przed Majestatem Boga. Woźniak uderza pięścią w pierś szeroką, aż w niej coś dudni ni to w skrzyni, Marcinowa wciąż w modlitwie żarliwej zwraca oczy ku górze, Maryna i Kaśka klepią Zdrowaśki, a Stach i Franek tak się zagapili na ten strasznie wielgi pająk, że do krzty zapomnieli o pacierzach.

Po ewangelii przemówił kapłan drżącym ze wzruszenia głosem do tych serc prostaczych. Jędrak nie rozumiał wszystkich słów kazania, ale spoglądał na twarze obecnych i odgadywał, odczuwał to, czego jeszcze pojąć nie mógł. Wiedział, że była tam mowa o smutnej doli górnika, o jego pracy ciężkiej bez słonecznego światła i ożywczych ciepła promieni, o tem wielkiem i ciągłym niebezpieczeństwie na które górnik jest narażony, bo o każdej chwili i o każdej porze na śmierć przygotowany być musi.

— Niech więc dusze wasze staną się tak czyste i niepokalane jak te kwiaty Aniołów: lilie białe — mówił kapłan — niech każdy wyzbędzie się pychy, zawiści, złości i wszystkich tych grzechów, które brzemieniem ciężkiem przygniatają wasze sumienie. Padnijcie przed tronem Najwyższego, bijcie się w piersi z pokorą i skruchą, a Bóg dobry wejrzy na twoją dolę biedny górnika i kiedy za wolą Jego przyjdzie na ciebie ostatnia godzina powoła cię do swojej chwały świętej.

Jędrak widział, że ojciec głowę pochylił tak nisko, aż czupryną szpakowatą proch po ziemi zamiatał, widział także, że po długiej bruździe na twarzy sączyła mu się łza duża, że matula wtuliwszy głowę w chuscinę okropnie z płaczu się trzęsła, więc i on także wcisnął piąstkę w oko i zaczął je z wilgoci ocierać...

Chwilami zdaje się, że to wróciły owe czasy dawne, gdy w katakombach odprawiano mszę świętą... A w tem zagrzmiało, runęło z mosiężnych trąb kapeli górniczej ukrytej na galeryi kaplicy: Lulaj że Jezuniu, moja perełko, a potem Jakaż to gwiazda świeci na wschodzie i tyle różnych ślicznych kołęd, że się wszystkim chce wtórować, aż im serca

w takt tej muzyki słodkiej biją radośnie. Msza się skończyła, ale zamiast iść do wyjścia spieszą wszyscy ku wykutej w kaplicy niszy, gdzie już nie tylko szopka, ale Betleem i Nazaret cały wykonany został przez pracowitych górników tak dokładnie, z tylu domkami, figurkami, ludźmi, zwierzętami, z taką prawdziwą słomą krytą strzechą i żłóbkiem, w którym się Chrystus Pan narodził, że Jędrzek oczu od tego cudu oderwać nie może.

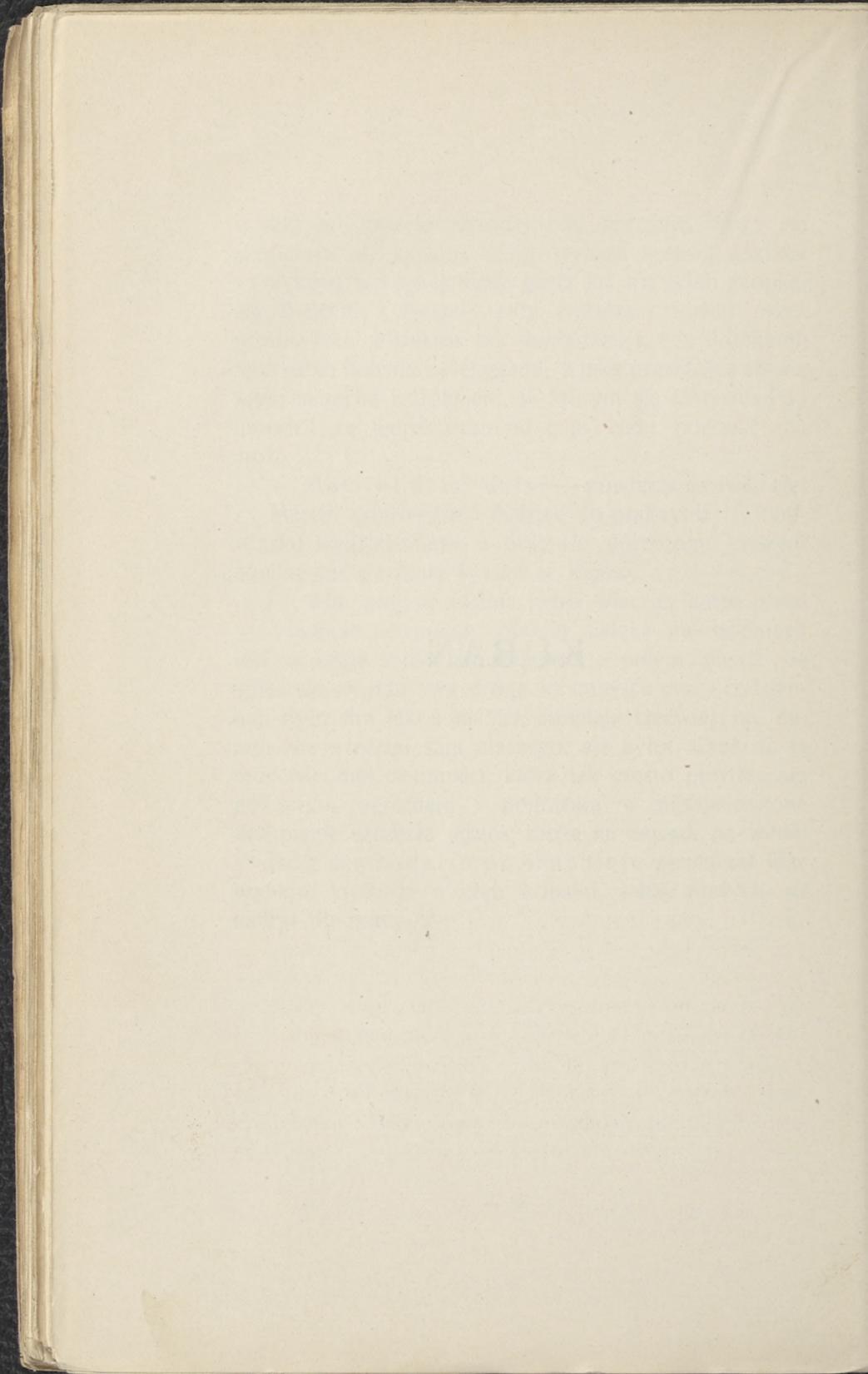
— Matsiu! dzis? dzis? — powtarza ustawicznie!

Marcin odprowadził rodzinę do podszybia i z obowiązku wydziałowego w bractwie górniczem poszedł dopilnować gaszenia świec w kaplicy.

Po dniu jasnym została jedna wieczna lampa przed wizerunkiem Chrystusa. Marcin ukląkł na stopniach ołtarza krzyż zrobił na piersiach, a potem puścił się spiesznie zwykłą swą drogą ku miejscu pracy codziennej. Było mu jakoś raźniej, weselej, rzeźwiej na duszy. Nie wiedział sam dlaczego, ale było. Czuł, że ta moc wiecznej ciemności, która tak często przytłaczała go swym ogromem i pogrążała w niewysłowione zwątpienie szczezła gdzieś, może na zawsze, na wieki!

Bóg się rodzi moc truchleje powtarzał idąc szybkim krokiem w głąb kopalni, jakby nowych sił nabrał do pracy.

KUBAN



O Włodzimierzu Rewiczu można powiedzieć, że właściwie stanu kawalerskiego wcale nie zaznał. Zakochał się, będąc studentem w czwartej czy piątej klasie i co jest rzeczą niezwykłą: został swej wybranej wiernym. Nie zbyt trudne miał Rewicz, co prawda pod tym względem do spełnienia zadanie, bo Hela była ślicznem, jak obrazek dziewczęciem i z pewnością nie wiele spotkał w życiu takich, któreby jej wdziękowi dorównać mogły. Panna Helena pochodziła tak, jak Włodzimierz z tej sfery urzędniczej, która według trafnego określenia: wprawdzie nigdy nie ma *nic*, ale to *nic* ma zapewnione do samej śmierci. Poznali się przy pierwszej lepszej okazji, których tyle się zdarza w małym miasteczku, gdzie kilka rodzin urzędniczych stanowi ów niewielki światek inteligencji, żyjącej i obcującej ze sobą. Z początku oczywiście była to miłość ogromnie sielankowa, platoniczna, idealna, z kwiatkami, wierszykami i wzdychaniami bez końca i miary, które to oznaki potęgującego się i wzrastającego stale uczucia, powierzane były w ciągu roku szkolnego, gdy Włodzimierz „bawił“ w stolicy — z całym zaufaniem poczcie, a za to w czasie wakacyj przybierały formę bardziej konkretną. Rodzice patrzyli się przez palce na tę „sielankę młodości“ nie wątpiąc wcale, że kiedy oboje

podrosną, wywietrzeją im z pewnością z głowy dziecinne amory. Tymczasem nie zanosilo się wcale na to. Hela, choć wyrastała na czarującego wprost podlotka i choć już niejeden człowiek ze stanowiskiem zaczął na nią baczną zwracać uwagę, ani spojrzeć na niego nie chciała i widocznie trwale i stale jedną myślą była zajęta. Więc kiedy pan Włodzimierz po zdaniu matury przyjechał na wakacje i mimo dojrzałości był ciągle tak samo w Heli zakochany po uszy, powiedzieli sobie rodzice, patrząc na tych dwoje tak wiecznie siebie szukających wzrokiem tęsknoty pełnym, że widocznie już taka wola Boża, której się sprzeciwiać nie trzeba; że kiedy on jest chłopcem pilnym i pocziwym, a ona dziewczyną dobrą i gospodarną i kiedy już chcą czekać tak długo na siebie, to niech się pobiorą i niech będą szczęśliwi.

Chodziło teraz o to: jaki zawód ma sobie obrać pan Włodzimierz, ażeby co prędzej zdobyć samoistne stanowisko, któreby mu pozwoliło połączyć się na wieki z ukochaną Helą. Włodzimierzowi już oddawna uśmiechał się zawód górniczy, więc gdy na odbycie studyów montanistycznych za granicą otrzymał krajowe stypendyum, wyjechał pełen różowych na przyszłość nadziei. Hela nie wątpiła ani przez chwilę, że Włodziu mimo, iż był ładnym chłopcem, na którego z pewnością niejedna Niemka kokietującym oczkiem rzucić ze chęci, wróci do niej z tem samym nieskażonym sercem, bo ona poznała dobrze to serce czyste i przejrzyste, jak kryształ. Włodzimierz nad wszystko ukochał prawdę, kłamstwem każdym brzydził się, niecierpiał go nawet w figlach, nawet w żarcie. Do śmieszności to nieraz posuwał, bo ludzie tak są do kłamstwa nawykli, tak żyć bez niego nie mogą, że im się śmiesznym i dzi-

wakiem wydaje człowiek, który odważa się wyminąć konwencyonalne, utarte koleje blagi. Będąc jeszcze studentem, Włodzimierz nie starał się nigdy od żadnej zasłużonej nagany uwolnić zmysleniem, udaniem, lub kłamstwem. Gdy spóźnił się, opuścił godzinę szkolną, lub nie nauczył lekcji, nie starał się nigdy praktykowanym ogólnie przez studentów zwyczajem wykręcić pozorną słabością: paluszkami, lub główką, lecz wprost mówił zawsze:

— Zaspałem, panie profesorze, bo czytałem do późna wieczór.

— Nie nauczyłem się, bom myślał, że nie będę jeszcze dziś pytany.

Pamiętali wszyscy ogromnie zabawny epizod, kiedy profesor filologii zdziwił się, że Rewicz, który do greki nie okazywał zbyt wielkiego zamiłowania, zrobił bez błędu zadanie szkolne.

— To nie moja zasługa — rzekł Włodzimierz — opisałem po większej części od kolegi.

Profesorowie jednak i koledzy lubili Rewicza za tę szczerłość i prawdomówność, która sięgała tak daleko, że byłby nawet swój grzech śmiertelny bez wahania każdemu wyjawiał.

Rewicz nie miał zbyt słodkiej egzystencji w czasie studyów na akademii górniczej. Koszta utrzymania były znaczne, a stypendyum niewielkie, z którego jednak Rewicz musiał wyżyć koniecznie, bo rodzice ze szczupłej pensji ledwie na opłacenie mu kosztów podróży dalekiej i taks akademickich, zdobyć się mogli. Więc Rewicz klepał biedę, która szczególnie przy końcu miesiąca, gdy wypróżniony zupełnie z szczupłego balastu korab, ostatnim wysiłkiem płynął ku *pierwszemu*, uczuwać mu się dotkliwie dawała.

Koledzy, nie wiele lepiej od niego sytuowani, radzili sobie w takich krytycznych wypadkach kredytem, przyrzeczeniem późniejszej zapłaty, na co zamożni gospodarze, ciągnący znaczne zyski i z bogaceni po większej części na akademikach, chętnie się godzili i niezbyt natrętnymi byli wierzycielami. Rewicz jednak tą drogą życia sobie ułatwiać nie chciał. Obliczył dokładnie, że jeżeli w tym miesiącu żyć będzie a conto, w drugim, gdy odda, uszczupli się pensya i trzeba będzie ten proceder już wcześniej zaczynać, co rychło wytrąciłoby go mogło z równowagi, bo z żadnej strony niespodzianek w pomocy nadzwyczajnej spodziewać się nie mógł. W takich dniach krytycznych nieraz można było w porze obiadowej spotkać Rewicza, jak po wypiciu herbatki z bułeczką szedł na daleki spacer by uzupełnić resztę *menu* widokiem pięknej przyrody. Koledzy narzucali mu się nieraz sami z kredytem, wyłapawszy mizeraka na takiej przechadzce.

— Masz Włodek, oddasz mi później.

— Nie oddam, bo nie będę miał z czego.

— No to, jak będziesz miał.

— Kiedy ja nigdy nie będę miał więcej, bo się sukcesyi nie spodziewam.

I poradź tu sobie z takim kozłem upartym, napęczniałym prawdomownością, który z zaciętością maniaka powtarzał wciąż w kółko jedno i to samo.

Raz jednak ten jego upór i ta kłamstwowość, doprowadziły wszystkich do pasyi.

W dzień wolny od wykładów urządzili koledzy gremjalną wycieczkę w górę do *Katarinenruhe*, gdzie była gospoda, słynąca ze znakomitej wiejskiej kawy. Rewicz zdecydował się na zrobienie w budzecie swoim tego niezwykłego wyłomu i wziął udział w wycieczce,

z czego ucieszono się niezmiernie, bo był towarzyskim, wesołym, lubym kolegą. Humory sięgały do zenitu, zwłaszcza, że w *Katarinenruhe* znalazły się dwa ładne buziaki, córki gospodarza: *Fräulein Kati i Resi*, które, dowiedziawszy się, że Rewicz już jest narzeczonym, nie na żarty zagięły parol na ładnego chłopca i jak dwie *Nixy* alpejskie kokietowały go przez cały wieczór, na co jednak snać bardzo pobłażliwy *fater*, zwany powszechnie „Starym Żorzem“ wcale gniewnem nie rzucił okiem.

Wracano po zachodzie słońca, patrząc długo z zachwytem na złoto purpurową kulę, zniżającą się zwolna z towarzyszeniem wszystkich tęczowych refleksów w opalowych toniach rozlanej szeroko mgły, ponad, którą szczyt *Katarinenruhe* wznosił się, jak rafa nadmorska.

Byli już wszyscy prawie u stóp góry, kiedy po śpiewach wesołych i licznych próbach wielokrotnego *echa*, zeszedł dyskurs na pyszną kawę, która mimo trudnych warunków egzystencyi w tak wysoko położonej gospodzie, kosztowała tylko 32 centy.

— Jakto 32! — zawołał Rewicz — dwadzieścia ośm, nie 32; zapłaciłem tylko 28 centów.

— Boś ty miał może protekcyjną cenę przez Kati i Rezi.

Ale Rewicz spoważniał ogromnie.

— Jakżeście wy liczyli? — zapytał.

Kawa 28, bułki cztery, razem 32.

Rewicz spąsowiał, jak piwonia, tarł czoło ręką, jakby chciał skupić myśli i bełkotać zaczął trzęsącym, głosem:

— A ja zapomniałem, ja zupełnie zapomniałem powiedzieć o bułkach.

— No, to zapłacisz innym razem.

— Nie, ja zaraz skoczę i zapłacę, idźcie, ja was dogonię.

— Zwaryowałeś, czy co? Skoczysz do góry, gdzie się drapać trzeba dwie godziny.

— Ażeby zapłacić 4 centy? Nie, ty masz stanowczo kiepsko w głowie.

Zmrok gęsty już zapadał i Rewicz mógłby dosięgnąć szczytu ledwie wśród nocy ciemnej, a choć droga była wytkniętą, jak niemal wszędzie w alpejskich górach, iść samemu o takiej porze nie było ani zbyt bezpiecznie, ani przyjemnie. Starano się więc wszelkimi sposobami odwieść go od szalonego zamiaru.

— Mój kochany! Nie baw no ty się w Jana Kantego, bo ci to sławy nie przyniesie — rzekł któryś.

— Wierzcie mu! to hipokryta, udaje, że idzie bułki zapłacić, a z pewnością chce się o szarówce zobaczyć z Rezą. Czekaj! napiszę ja do narzeczonej — dogadywał mu drugi.

Ale on już tych kpin i docinków nie słuchał, tylko szedł zamaszystym krokiem prosto ku górze.

— Bądź zdrow! — krzyczał ktoś za nim — a każ się tam komu pozbierać, gdy zlecisz na łeb w przepaść.

Mimo, że wszyscy byli pomęczeni i zziębnięci, żadnemu nie przyszło na myśl zostawiać Rewicza samego. Rozpalono ognisko i czekano na powrót tego fanatyka prawdy.

Mniej-więcej po dwu dopiero godzinach, dojrzano w górze migocące światełko, słyszeć się dały kroki i — co wszystkich niemało zdziwiło — głośna rozmowa. Ponieważ, jak zwykle u młodych humory obniżone trochę aferą Rewicza, znowu wróciły w całej pełni, więc zaczęto snuć przypuszczenia, że Włodek dostał bzika, sam ze sobą gada i zapewne oblicza

głośno, czy jeszcze czego nie zapomniał zapłacić, by — jak drugi Syzyf — znowu dźwignąć do góry ciężki blok prawdy.

Za chwilę ukazał się oczom zdumionych stary Żorż, który aż do stóp góry sam odprowadził Rewicza z latarnią, więc i jego także dosyć drogo kosztowały owe zapomniane 4 centy.

— *Hier haben sie schon geraden breiten Weg, mein lieber Herr* — mówił Żorż miękkim głosem, ściskając go mocno za rękę.

Rewicz nie przypuszczał wcale, że na niego koledzy czekać będą, więc ucieszony był tą niespodzianką ogromnie :

— Jacyście wy poczciwi! — powtarzał.

— Powiedz lepiej: jacy głupcy, że na większego od siebie czekali.

— Ale na drugi raz, pozwolisz Włodziu, że już sam za ciebie zestawię rachunek — dopiekl mu jeszcze ktoś na ostatek.

Mimo jednak, że wszyscy z powodu tego wycieczkowego epizodu źli byli na niego, Rewicz chwycił każdego tą ogromną miłością szczerości i prawdy za serce i wbrew utartej maksymie: że tego ludzie nie znoszą, kto im prawdę mówi, Rewicz był lubiany ogólnie. Helena mogła Włodzimierzowi zaufać zupełnie. Wiedziała, że pokryjomu, chytrze, podstępnie, on zdradzać jej nie będzie w stanie, że jeżeliby Włodzio — w co trudno jej było uwierzyć — zakochał się tam w innej, to sam pierwszy z pewnością zwierzyłby się przed nią. Dostała też od niego raz w tej kwestyi list następujący:

Moja słodka Heluś!

Byłem w niebezpieczeństwie, ach i w jak ogromnem!
Nie wyobrażałem sobie, że mogą być dwie kobiety tak

do siebie podobne jak Joanna, która — nie gniewaj się, luba Heluś, bo to przecież uchybić ci nie może, — tu od dni kilku przyjętą została na kelnerkę do akademickiej kawiarni — i Ty. Ten sam owal twarzy, ta sama blado-różowa cera, te same włosy, oczy, nawet ruchy te same. Podobieństwo jest tak wielkie, że gdym ją ujrzał po raz pierwszy, skoczyłem, jak szalony, by cię powitać. Pomyśl, złota Heluś, co za radość i jakie rozczarowanie! Siadywałem jednak przez kilka dni w zakładku kawiarni i patrząc na nią, łudziłem się, że to Ty jesteś. Bliższe dopiero poznanie rozwiało złudzenie. To nie te oczy dobre, to nie te usta słodko uśmiechnięte, to nie ten głos mój ukochany, to tylko lichy plagiat arcydzieła. Ale, ale swoją drogą, żal mi tych kilku dni, w których tak brzydka rzecz, jak illuzya (t. j. nie prawda) dały mi tyle szczęścia“...

Wiele, wiele takich listów z podpisem Włodzimierza i Heleny wymienili narzeczeni w ciągu czteroletnich studyów Rewicza. Aż nareszcie nadszedł ów upragniony, oczekiwany z tęsknotą moment, kiedy Rewicz, otrzymawszy *absolutoryum*, mógł się starać o posadę, by rzucić granit pod tęczę tyloletnich marzeń, to jest, by się z Helą ożenić.

* * *

Z widokami jednak i ze spodziewaną karierą ma się rzecz często tak samo, jak z *fata morgana*. — Ślicznie wydaje się na odległość, przed rozpoczęciem studyów, a po ukończeniu spostrzegasz, żeś trafił niezbyt szczęśliwie, że już są na świecie przed tobą inni, którzy pozajmowali posady i że dla ciebie na razie nigdzie miejsca nie ma!

Napróżno Rewicz wnosił podania na wszystkie strony, chodził, starał się, ubiegał, prosił. Gdzie zapukał, spotykał odmowę.

— *Na razie* przyjętym pan być nie może, na razie cały status urzędników mamy wypełniony, może później.

Niektórzy wprawdzie oferowali mu miejsce bezpłatnej praktyki, uprawniającej po roku zadowalniającej służby do starania się o posadę płatną, ale na to Rewicz nie chciał się zgodzić, bo oni z Helą dość długo byli rozłączeni, dość długo się naczekali i natęsknili, odbywszy tyloletni nowicyat swej miłości, ażeby teraz jeszcze mieli czekać dalej. Zniecierpliwiony długą szukaniną Rewicz, przyjął wreszcie pierwszą posadę dozorczy kopalni z małą pensyjką, które jednak dla dwojga wystarczyć mogła. Wiele mu tylko kłopotu i troski sprawiało wyekwipowanie się jakie takie i urządzenie mieszkania, bo Hela mogła otrzymać z domu to tylko, co było do wyprawy najkonieczniejsze. Trzeba więc było już na samym wstępie do życia w spółności małżeńskiej zaciągnąć na pokrycie tych wydatków w górniczej kasie pożyczkę, na którą odciągać mu zaczęli odrazu ze szczupłej, miesięcznej pensyi. Mimo jednak tych małych dochodów, byłyby im obojgu, przywykłym do skromnych wymagań, spływały miodowe miesiące szczęśliwie, gdyby nie ogromne zmartwienie, które spotkało Rewicza na samym wstępie służbowej kariery...

Rewicz od dłuższego czasu nie mógł zdać sobie z tego sprawy, dlaczego, kiedy on ze szczupłej pensyi dozorczy zaledwie wyżyć może, inni dozorczy, mimo, że mają liczne rodziny, nie uczuwają wcale niedostatku; urządzają zabawy, libacye, ba nawet z zaoszczędzonego grosza nabywają ziemię i kupują domy.

Rzecz cała rychlej, niż przypuszczał, miała się wyjaśnić. W czas jakiś po objęciu posady, został przez dozorców zaproszony na poufne zebranie, którego celu nie przeczuwał wcale.

— Proszę pana — zaczął jeden z najstarszych — czy pan z nami, czy przeciwko nam?

— Nie rozumiem panów i nie wiem, co ma znaczyć to pytanie — odrzekł Rewicz.

— Czekajcie, weźmy sprawę z innej beczki — odezwał się drugi.

— Czy pan myśli żyć dalej w biedzie i w nędzy tak, jak pan żyje, czy nie?

— Sądzę, że każdy tak żyć musi, jeśli chce wyjść ze szczupłej pensyi...

— A pan — sądzi — zapytał trzeci — że pan, mając kilkoro dzieci, wogóle z takiej mizernej jałmużny, która się chyba dla szyderstwa płacą nazywa, rodzinę utrzymać potrafi?

— Trudno, to prawda, dziwię się też, jak panowie...

Głośny śmiech był odpowiedzią na słowa Rewicza.

— My kochany panie, wyzdychalibyśmy dawno z głodu, gdybyśmy sobie inaczej nie radzili.

— A to w sposób? — spytał Rewicz.

— W sposób, że każdy robotnik w naszym rewirze musi nam od dziennej płacy dawać procent, inaczej nie znajdzie się dla niego robota i to jest nasz stały dochód, nasze utrzymanie. Pan w swoim rewirze dotychczas jeszcze tego nie zaprowadził, więc nam pan przez to psuje, bo najgorzej chłopą odzwyczajając od tego, co się komu należy, tembardziej, że i im i nam z tem dobrze. Niechże pan więc odtąd będzie koleżeński; prosimy o to pana w naszym i jego własnym interesie.

Rewicz, to bladł, to czerwieńał naprzemian, zanim wybuchnął:

— Ależ to jest okropne! to niesłychane! — zawołał — jakim prawem śmiecie uszczuplać biednym robotnikom ich dzienną płacę!? Ten wasz brudny, nikczemny wyzysk, to nie jest dochód, — to podłość!

Trzasnął drzwiami i wyszedł. Tego samego dnia podziękował za posadę.

Ostatni miesiąc, który według kontraktu musiał dośłużyć, był dla niego przykry nad wyraz. Otoczenie patrzyło nań, jak na wroga, za posadą nową trzeba się było dobrze rozglądać, a tu właśnie w takiej porze bocian przyniósł mu — córeczkę. Przyszła na świat w dzień św. Jana, więc ją nazwali Janinką. Śliczna córuś modrooka, jasnowłosa, wykapana mamusia. Ale z pojawieniem się takiego gościa, wydatki znacznie wzrosły, więc trzeba było znowu starać się o pieniądze w formie pożyczki a conto przyszłej pensji, która nie miała być o wiele większą, bo Rewicz po długiej szukaninie otrzymał posadę praktykanta przy urzędzie probierzczym w Tryjeście. Irytowało go to trochę, że jako górnik, zamięłowany, takiemu zawodowi musi się poświęcać, ale nie było w czem wybierać i nie można się było długo namyślać, bo już teraz o byt dwu istot ukochanych musiał mieć pieczę i staranie.

By opłacić koszta dalekiej podróży i zaspokoić choć w części dłużników, wysprzedał wszystkie, jakie miał, sprzęty, których transport nadto wiele przysporzyłyby mu wydatków i posadziwszy żonę z jej miniaturką naprzeciw siebie w coupé III klasy, ruszył wesoło w drogę. Ach, jak on kochał, jak ubóstwiał tę miniaturkę swej drogiej Heli. Od chwili, gdy to ukochane dziecko przyszło na świat, życie miało dla niego urok zupeł-

nie nowy ; do walki, do zdobycia kawałka chleba przybył nowy bodziec.

Rewicza w Tryjeście przyjęto bardzo życzliwie, kłedzy za jego szczerość i otwartość polubili go ogromnie, mimoto wszystko jednak w najpomyślniejszym nawet składzie rzeczy, prędzej, jak za lat pięć, nie mógł spodziewać się awansu. Tymczasem u niego ciągle były w rodzinie zmiany, co rok, to prorok. Po Jance przyszedł Włodzio, potem Staś i Witoldek, więc Rewicz, jak zbawienia, wyglądał awansu, który zazwyczaj w takich razach się opóźnia.

Rewicz ani się spodziewał, że zdarzenie pewne, drobne napozór, wyrwe stanowczy wpływ na ten spodziewany awans.

Odbierając raz do spieniężenia od stron przedmioty złote, Rewicz już według przyjętego procederu miał je stłuc w moździerz, gdy wśród breloków od zegarka ujrzał medalionik z Matką Boską Częstochowską. Żał mu się zrobiło niszczyć ten medalionik z obrazkiem, tak bardzo sercu drogim. Odważył medalion na podręcznej wadze, przypadającą należytość sam uiścił, a medalionik zatrzymał dla siebie. Właśnie w tym dniu przybył niespodzianie na wizytację przełożony, który lustrując biura, ujrzał medaljon na stole Rewicza.

— Skąd pan to ma? — zapytał.

— To zapewne pamiątka familijna — rzekł bezpośredni przełożony Rewicza — poddając mu w ten sposób myśl do wytłumaczenia się.

— Nie — odrzekł Rewicz — ja to kupiłem od partyi, bo mi żał było rozbić w moździerz.

— Co? pan kupiłeś? — i pan to tak sobie poprostu mówisz, jak gdyby nic nie zaszło?! A czy pan wie o przepisach: że urzędnikom nie wolno z partyami

robić interesów i nabywać od nich preciozów? Panie Rewicz — rzekł z naciskiem — takie postępowanie bardzo, bardzo źle pana kwalifikuje.

Po skończeniu wizytacyi wpadł do Rewicza naczelnik urzędu, który go ogromnie lubił.

— Coś pan narobił? coś pan najlepszego urządził?!

— Nic, powiedziałem tylko prawdę.

— A niech pana dyabli wezmą z pańską prawdą, ona pana zabije.

— Czy w tem co uczyniłem, jest co złego?

— Nie ma nic, ale przepis jest przepisem i tego się wszyscy trzymać muszą. I cóż panu szkodziło powtórzyć — to co panu poddałem, że medalik jest rodzinną pamiątką. Dyrektor byłby przyjął takie wytłómaczenie, bo to nie jest żadnem przestępstwem, jest rzeczą ogólnie przyjętą, a w ten sposób, w imię prawdy zarznięłeś się u nas z kretesem.

I znowu Rewicz musiał rozglądać się za posadą.

Otrzymał ją tym razem przy urzędzie okręgowym górniczym. Był to pierwszy kreowany w tych stronach urząd rewirowy, umyślnie dla kontroli ze strony rządu, odbudowy nowo powstałej gałęzi przemysłu górniczego: nafty i wosku ziemnego.

Stosunków, jakie tu panowały, żadne absolutnie pióro opisać nie jest w stanie. Była to gospodarka rabunkowa, tak okropna, że nikt dziś pojęcia mieć o tem nie może. Odkrywszy w zakupionym terenie pokład nafty, lub wosku ziemnego, rzucali się właściciele, tknięci febrą rychłego wzbogacenia nazwaną dobrze: febrą naftową i woskową, na znaleziony przez siebie skarb i za każdą cenę z zupełną ignorancją ludzkiego życia starali się ten skarb, który ni to kamień filozoficzny w krótkim czasie dawał im złoto wy-

dobyć na świat. Kopano bez wszelkiego zabezpieczenia otwory pionowe, które nie zasługiwały ani na nazwę studni, ani szybu. — Ponad takim otworem stawiano najprymitywniej skleconą z krągłaków winde, zawieszano na linie konopnej najzwyczajniejsze wiadro i w to wiadro stawał robotnik zjeżdżający w głąbiny, a towarzyszył jego (często sam właściciel małego terenu) obracał korbą i spuszczał go w dół. — Szyby te były krzywe, często zupełnie wichrowate. Zjeżdżający górnik musiał się podczas takiej jazdy odtrącać od ścian szybu rękami i nogami, by nie uderzyć głową o kamień, lub wystający belek, bo wtedy mógł zginąć na miejscu. To samo czekało go także, gdy spuszczałemu wysliznęła się z ręki korba, lub gdy lina psująca się z łatwością na wilgoci, pękła podczas zjazdu. Na „dole“ jeszcze okropniejsze panowały stosunki. Nie były to wcale chodniki, lecz krecie nory, w których górnicy w najlepszym razie pracowali zgarbieni, albo jak męczennicy na kolanach, pokrytych od długiego nacisku strupami, lub w pozycji leżącej. Łoże Prokrusta z pewnością gorsze być nie mogło od pracy w takiej pozycji.

O zabezpieczeniu robotnika podczas zjazdu i o dostarczeniu mu powietrza, zachowaniu ochrony przeciw wybuchającym gazom, o wentylacji — ani się nikomu z właścicieli tych kopalń nie śniło! I zdawałoby się że tacy właściciele w warunkach tak potwornych nie znajdują wcale chętnych do pracy. Tymczasem czegoż nie zrobi pieniądź, to czarodziejskie, to potężne słowo, pieniądź, który dla biedy jest nieprzyzwyczajonym magnesem, który ją nęci chwilą życia i użycia, choćby po tej chwili już śmierć nastąpić miała! — Lud słysząc o wysokich zarobkach, jakie tu płacono, zarobkach, o których żaden dotychczas nie marzył, szedł i ginął

często bez śladu, bez wieści, w okropnych krecich nocach. Byli tu także i więksi właściciele rozleglejszych i nieco lepiej urządzonych kopalń. — I najlepsza z nich jednak daleko odbiegała jeszcze od tego, co nakazywały przepisy ustawy górniczej, zabezpieczającej robotnikom życie i zdrowie.

Helena powitała wiadomość o przeniesieniu swem na nowe miejsce służbowe Włodzimierza smutkiem. Wiedziała, że ich czeka nowy wydatek, na który trzeba będzie nowy dług zaciągnąć i spłacać później z wyższej nieco pensyi adjunkta inspekcyjnego, która znowu do minimum zredukowaną zostanie. A ona tak już oszczędzała, tak pracowała okropnie. Całe gospodarstwo prowadziła przy dochodzącej tylko słudze, prócz tego trzeba było po nocach obszywać dzieci, a często i niedosypiać także przez dzieci. Zmizerniała, pobladła, oczy miała podkrążone głębokimi sinymi pierścieniami, około ust wytworzył się grymas bolesny. Włodzimierz ile mógł tylko, starał się jej pomódz, wyręczyć. Czuwał po nocach przy dziecku najmłodszym, karmił je sam flaszeczką, ażeby tylko żona wypocząć sobie mogła. Ona to wiedziała, czuła, że on by dla niej serce wydarł z piersi i dlatego z żadnym nigdy ze strony żony nie spotkał się wyrzutem. — Wieść o kreowaniu posady adjunkta inspekcyjnego, gruchnęła jak piorun wśród właścicieli i wszystkich obleciał strach paniczny:

— Co to będzie? co to będzie — powtarzali, wiedząc o tem z góry, że stosowanie przepisów do ich kopalń, urągających wprost wszystkiemu, co się ustawą nazywa, jest rzeczą niemożliwą, wymagającą reorganizacji całej kopalni.

A kiedy zobaczyli, jak Rewiczowie z czworgiem dzieci, bardzo wymizerowani, licho, ubogo ubrani, wjeź-

dźali dużą furą na nową swą sadybę, powiedział zaraz pan Goldfinger do właściciela kopalni wosku pana Feinkorna:

— Już my sobie z nim damy radę — i miny się znacznie rozpogodziły.

Rewicz nie przedstawiał sobie nigdy takiego stanu rzeczy. Słyszał, że jest źle, ale nie przypuszczał, by było tak okropnie. Gdy spojrzął na te pola woskowe, całe pokryte, jak targowica kramami, daszkami chroniącymi otwory szybowe przed deszczem, gdy zobaczył wynurzające się z ziemi pod daszkami czarne zakopcone, oblepione gliną postacie raczej do szatanów, do duchów z Erebu, niż do ludzi podobne, dreszcz go przeszedł na myśl, że on tu ma zaprowadzić ład i porządek. Oczyszczenie stajni Augiasza wydawało się obok tej pracy, która go tu czekała, czynem niegodnym Herkulesa! — Mimo to wszystko jednak i może właśnie dlatego, że zadanie było tak ciężkie, że odpowiedzialność tak wielka, bo od jego poleceń i zarządzeń zależało bezpieczeństwo i życie tylu ludzi, wziął się do dzieła z ogromnym zapałem. Zjeżdżał do szybów codziennie w prostych kiblach, suwał się na czworakach w kopalniach, sam swoje życie narażał, przychodził do domu tak osmolony i brudny, że od stóp do głowy przebierać się musiał — nim się rodzinie pokazał, ale w krótkim już czasie zbadał stan wszystkich kopalni. Zaczęły teraz iść zarządzenia i rozkazy jedne za drugimi, a wszystkie z oznaczeniem terminu:

....„Jeśli do tego dnia nie poczynisz pan zmian następujących, dla bezpieczeństwa robotników koniecznych, zostanie kopalnia pańska bezwarunkowo zamknięta“.

Po otrzymaniu takiego rozporządzenia szli właściciele kopalń do pana adjunkta z prośbą o przedłuże-

nie terminu. Kiedy Rewicz o zwłoce słyszeć nie chciał, towarzyszyło prośbie znaczące mruganie i stosowny gest ręką. — Ale gdy Rewicz kilku takim panom pokazał drzwi, stanęli wszyscy bezradni.

— Co jest? — rzekł pan Feinkorn do Goldfingera, *er ist meschige!* on nie chce nic brać. — Widząc, że ta droga nie doprowadzi do celu, starano się w inny sposób uzyskać wpływ na Rewiczu. Nie trudno im było dowiedzieć się, że Rewicz ma długi i gdzie je pozaciągał. Starano się wykupić pretensje licznych wierzycieli i z tej strony wyrzucić presję na niego. — Rewicz był w ciągłych opałach, nowo zaciągniętymi długami musiał zaspokajać dawne, z miesięcznej pensji spłacał raty wekslowe w przepisanych terminach, a na utrzymanie rodziny robić musiał nowe długi.

Stosunki służbowe stawały się także dla niego coraz przykrzejsze. Dla bezpieczeństwa pracującego ludu pozamykał liczne kopalnie, które nie posiadały przepisowych urządzeń, a tymczasem ten lud, zamiast odpłacać mu za to wdzięcznością — nienawidził go, bo przez niego tracił zarobek. — Co mu niebezpieczeństwo? co śmierć? Śmierć i życie zawisło od Boga; zresztą śmierć raz przyjść musi, niechże więc przed nią choć człowiek trochę tego życia użyje. Górnicy naftowi mieli niestałe wprawdzie, ale znaczne zarobki, które też szły na ciągłe uczty, pijatyki, zabawy, odbywające się całymi nocami w rozlicznych szynkowniach i lupanarach, gęsto w całej okolicy rozsianych.

On zamknięciem wielu kopalń zagraadzał im drogę do tego dobrego życia, więc też nie dziw, że uważali go za wroga. Nie mniejszym wrogiem był dla właścicieli, których wskutek zamknięcia kopalń narażał na wielkie materialne straty. Z nienawiścią patrzyli się na

tęgo, jak go nazywano „sekanta“ i „paragrafenreitera“, który przyszedł, ażeby ich męczyć i do którego żadną drogą nie można było znaleźć przystępu. Doszło do tego, że Rewicz musiał się bardzo pilnować, ażeby nie zginąć w jakiejś zasadzce, przygotowanej na niego w czasie inspenkcyi kopalni.

Tymczasem w domu bocian go znowu odwiedził. Urodził mu się czwarty z rzędu syn — Kazik. Żona nie mogła patrzeć, jak bez niej cierpi całe gospodarstwo domowe, wstała za wczesnie z łóżka, by się jąc pracy i odtąd zapadała ciągle na zdrowiu; była zniszczona ogromnie, blada i przeźroczysta, jak opłatek. By im kłopotów jeszcze przysporzyć, zaczęły dzieci drobne chorować na szkarlatynę odrę i dyfteryę, więc też doktor coraz częstszym był gościem. Jedna tylko Janinka, córeczka najstarsza, pierworodna, jedyna, trzymała się dzielnie. Jakaż to była dla ojca pociecha, prawdziwy anioł pocieszyciel biednych rodziców. Nie raz kiedy Rewicz usiadł przy biurku, gdy po inspekcyi kopalni zajęty był pisaniem do władz raportów i relacyj, Janinka przychodziła cichutko na paluszkach, stawała koło krzesła ojca i czekała, aż na nią zwróci uwagę.

— Mój tatusiu — mówiła słodko cieniutkim, jak niteczka jedwabna głosikiem — można teraz troszkę, troszeczkę usiąść na kolankach?

— Mam dużo do roboty, ale niech stracę, można.

Wtedy ona, gładząc go drobną rączką po zoranem troską czole, mówiła z pieśczołą:

— No, rozchmurz czołko, rozpogódź. Po co te zmarszczki? Czy ty się gniewasz na nas, tatusiu? Wiesz, jakiś ty niedobry, już tyle masz włosków siwych, a tyś przecież jeszcze młody, tatusiu! Dlaczego ty nas teraz już tak nie kochasz, jak przedtem?

— Ależ kocham, kocham zawsze tak samo dzieciątko moje złote, ja dla was przecież tylko żyć pragnę.

— Ale nie kochasz tatusiu mamusię już tak samo, nie kochasz, nie całujesz jej tak często.

— Nie mam czasu na pieszczoty, dziecino i mamusia nie ma czasu, ot słyszysz, jak ją tam teraz te chłopcy urwisze męczą.

— No to ja pobiegnę do nich, a ty mamusię pocałuj. Wybiegała i prowadziła matkę za rękę do ojca.

— No pocałujcie się zaraz tu przy mnie.

Rewicz dotykał pospiesznie bladych ust Heleny.

— Ależ nie tak troszeczkę, tak jak to dawniej było, mocno i długo.

I oboje musieli wykonać polecenie ukochanego dziecka.

Do Rewiczów zastosować można było parafrazę słów poety:

„Rzecz dziwna, zamiast ich połączyć bieda obojgu im rozdarła łono, zaczęła jakieś jady w serca sączyć“.

I ten smutek zaczynał coraz bardziej podobnym być do nienawiści. Helena coraz częściej przychodziła do męża ze skargą.

— Mój drogi, radź, co począć, bo ja już dłużej tego brzemienia znieść nie jestem w stanie, to przechodzi miarę sił moich.

Rewicz patrzył na żonę, wycieńczoną pracą, zmordowaną dziećmi drobnymi, o których dzień cały pamiętać musiała i czuł, że w tych słowach jest prawda, że żona także popaść może w ciężką bez wyjścia chorobę. Lekarz radził mu koniecznie, by wysłał ją do kąpiel, ale o tem mowy być nie mogło.

— Gdybyż to tylko kłopot z dziećmi i sama praca — ciągnęła Helena przerywając mowę płaczem —

byłoby jeszcze pół biedy, ale te długi okropne, dręczące nas ustawicznie, te pretensye, te zaległości, którym opędzić się nie można to już jest wprost nie do zniesienia.

Włodzimierz starał się żonę uspokoić, pocieszyć, ale wszystko nie na wiele się przydało.

— Powiedz mi, czy to się nigdy nie skończy? — pytała go głosem, pełnym bezgranicznego zwątpienia — bo jeśli się nigdy niema zmienić na lepsze, to w takim razie powiedz mi, po co ta straszna męka i czem ja zawiniłam, że mam tak cierpieć i po co żyć? po co?

Wyrzuty takie kończyły się zawsze wybuchem szmatycznego płaczu i szaloną migreną.

Raz wieczorem właśnie, gdy dzieci były chore na szkarlatynę, zapukał ktoś do mającej łączność z mieszkaniem kancelaryi Rewicza.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał Rewicz wsuwającego się cicho Goldfingera.

— Przychodzę się tylko poinformować, co do tych inwestycy w mojej kopalni.

— Wyjaśniłem panu wszystko dokładnie — rzekł Rewicz i z góry panu zapowiadam, że nie na dzień, ale na godzinę terminu panu nie przedłużę, tylko kopalnię zamknę.

Goldfinger stał przez chwilę u drzwi milczący.

— U pana podobno dzieci chorują — zaczął mówić zwolna. Ja także miałem dzieci chore na szkarlatynę, ale wyzdrowiały wszystkie, niech się pan nie martwi.

— Kto je leczył? — zapytał Rewicz.

Goldfinger rad, że mógł nawiązać rozmowę, jął opisywać długo i szeroko chorobę swoich dzieci i udało mu się w ten sposób przełamać lody, o co mu prze-

dewszystkiem chodziło. Gdy cel ten osiągnął, postąpił krok bliżej i zaczął mówić przyciszonym głosem!

— Panie inspektorze, niech pan odemnie przyjmie kilka słów z serca. Niech mi pan wierzy, że ja panu dobrze życzę. Co pan robi? co pan takiego robi? i gdzie pan na ten sposób zajdzie? Pan myśli, że my nie wiemy, w jakiej pan biedzie, my wszystko dobrze wiemy. My wiemy, jakie pan ma długi, my wiemy, że panu z pensyi odciągają dużo, że żona pańska się pracą zamęcza, że zdrowie traci i że dłużej tak ciągnąć nie będzie mogła. A czy pan myśli, że to koniec? że pan tylko takie małe będzie mieć zawsze wydatki? Pan ma czterech synów i wszystkich musi pan nietylko wychować, ale i wykształcić. A co pan z nimi robi, za co pan ich utrzyma w szkołach w mieście? Niech się pan mnie spyta, ja panu powiem, co to kosztuje. I co pan wtedy pocnie? — czy pan potrafi być zawsze taki sam niedostępny, jak teraz?

A choć mu Rewicz dawał przeczący gest ręką, że słów tych słuchać nie chce, Goldfinger mówić nie przestał.

— I pomyśleć, że to od pana, wszystko tylko od pana zależy, ażeby było inaczej. Ażeby pan żył w dostatkach i dobrym bycie, ażebyście mogli trzymać sługi, ile wam się podoba, ażeby żona pańska mogła chodzić w jedwabiach, stroić dzieci, wyjeżdżać do kąpiel, mieć co tylko zapragnie, wszystko tylko od pana.

Panie, niech pan się opamięta. Co panu z tej całej zaciętości. Nas dręczysz, ludziom odbierasz zarobek, za co cię nienawidzą i wierz mi, że gdyby się nie lekali kary, z czystym sumieniem zgładziliby cię ze świata. Sam żyjesz jak żebrak w biedzie i niedostatku. Po co to wszystko? po co? Zastanów się pan tylko, bądź rozsądnym. Tobie panie i nam będzie z tem lepiej.

Rewicz nie słyszał już słów ostatnich, wzniosł dłonie w górę, jakby chciał uszy sobie zatkać, podskoczył potem ku drzwiom mieszkania i zatrzasnął je za sobą.

Goldfinger pokiwał głową, jak człowiek, który daje znać, że kogoś zrozumieć nie może i wolnym krokiem biuro opuścił.

Gdy Rewicz na drugi dzień wrócił z inspekcji kopalni do domu, powiedziała mu żona, że Janka jest słaba. Dziecko od kilku dni nie miało humoru i skarżyło się na cierpienie wewnętrzne, którego jak zwykle u dzieci zlokalizować nie mogło. Wezwany doktor przez dłuższy czas nie mógł dać sobie rady z trudną dyagnozą, aż gdy cierpienia i bole dziecka zaczynały się potęgować z każdą niemal godziną — zawyrokował, że jestto prawdopodobnie zapalenie kiszek i że może się okazać potrzebne zrobienie operacji, do czego jednak koniecznie specjalistę wezwać należy.

— Specjalistę!

To słowo przedstawiało dla Rewicza wydatek co najmniej setki guldenów, których nie miał i których nigdzie pożyczyć nie mógł. A ta jego Janeczka droga, dzieciak jego najmilszy, pociecha życia, osłoda, wiję się na łóżku w okropnych męczarniach i czeka zmiłowania Bożego.

— Co począć? co tu począć? Już nie ból, ale rozpacz wyciągała po niego straszne swe szpony. Patrzył na żonę, która z szklanemi oczyma, blada jak cień siedziała przy łóżku dziecka i zdawało mu się, że ona i on zmysły postradają.

W tej chwili usłyszał w pokoju kancelaryjnym głucho stąpanie. Otworzył drzwi i spojrzął do wnętrza. Na białem tle drzwi w półmroku wieczoru odcinała się mocno ostra sylwetka Goldfingera. Przez szparę

w pół otwartych podwoi padała smuga światła prosto na jego przysłonięte szklami oczy, które zdawały się wtedy Rewiczowi oczami szatana.

— Czego pan tu chcesz? — spytał Rewicz matowym głosem.

— Pan adjunkt każe mi jutro zamknąć kopalnię. Przyszedłem prosić o kilka dni zwłoki, tylko dni kilka. — Mówiąc te słowa, przybliżył się cicho do Rewicza i wsunął mu w rękę zwój papierków. — *Za to*, tylko kilka dni zwłoki — nic więcej — wyszeptał.

Rewicz uczuł szelest banknotów i aż syknął z bólu, zmiął je w ręce i chciał rzucić Goldfingerowi w twarz — tym kubanem, ale w tej chwili dał się słyszeć z drugiego pokoju głos chorego dziecka:

— Tatusiu!

Poskoczył i ukląkł koło jej łóżka.

— Tatusiu! tak boli, tak strasznie boli! Czemu wy mi nie poradzicie?

Pocieszał ją jak mógł.

Za chwilę, jakby sobie coś przypomniał, zerwał się i wbiegł do kancelaryi. Goldfingera już nie było. Wtedy bez pamięci, bez przytomności prawie pochwycił za kapelusz i popędził do biura telegraficznego, by wezwać specjalistę ze stolicy.

* * *

W kilka dni później siedział Rewicz przy łóżku Janki, która już powracała zwolna do zdrowia. Bez operacji się obeszło, przebieg choroby był szczęśliwszy niż się spodziewano. Przybyły ze stolicy lekarz orzekł, że dziecko będzie za kilka dni zdrowe.

— Mój tatusiu złoty — mówiła rekonwalescentka,

której już teraz wracał dawny, dobry humorek, więc i języczek bardziej był ruchliwy. Już jest mi lepiej, już nie umrę, zostanę z wami; — dlaczego wy jeszcze teraz tacy smutni oboje jesteście? — smutniejsi niż przedtem. Tyś tak pożókł tatusiu, tyle masz włosków białych, już prawie całkiem siwy jesteś. Mama w kąciku płacze. Co to się stało? Ja nie chcę żeby tak było, bo znów chora będę. — No, powiedz mi, że się poprawisz na przyszłość — mówiła z oczami łez pełnemi.

— Przyrzekam ci przyrzekam, słodka moja, tylko ty nie płacz.

— Będiesz wesoły.

— Będę, będę.

— I śmiać się będziesz?

— Będę, dziecko drogie.

— No to się uśmiechnij, jak mnie kochasz.

Rewicz starał się zrobić pogodną minę, uśmiechał się, silił na wesołość... gdy nagle zwrócił jego uwagę niezwykle ruch na ulicy. Ludzie ze wszystkich stron biegli w kierunku kopalni Goldfingera. Chciał wyjść z domu, by się zapytać, co takiego zająć mogło, gdy w tej chwili wszedł do jego kancelaryi z raportem kierownik Goldfingera.

— Panie adjunkcie, nieszczęście! — zawołał zdyszany. — Gazy w kopalni wybuchły! i dziesięciu ludzi już zginęło, wszystko sami starsi górnicy, obarczeni liczną rodziną. Liczba ofiar jeszcze nie znana, bo ratunek ogromnie utrudniony. Przez szyby dostąpić nie można. Ja przybiegłem tylko z raportem i wracam.

Rewicz po odebraniu tej wiadomości stał długi czas bez ruchu.

Załamał ręce i patrząc w próżnię, powtarzał cicho, jakby sobie chciał zwierzyć okropną tajemnicę.

— Tylu... tylu zginęło... i to ja... ja jestem ich morderca... ja sam... ja ich zabiłem...

Chodził długo dużymi krokami po pokoju, potem zamknął cicho drzwi na klucz od strony mieszkania.

* * *

Na drugi dzień, we wszystkich dziennikach ukazała się następująca notatka:

Włodzimierz Rewicz, adjunkt inspekcji górniczej, odebrał sobie wczoraj życie, wystrzałem z rewolweru. Nieszczęśliwy był człowiekiem nieposzlakowanego charakteru, to też pozostałej rodzinie: żonie z pięciorgiem drobnych dzieci, towarzyszy ogólne współczucie. Powód samobójstwa nieznany.

====

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

DLA DOBRA LUDU

DI. A. DOBRA LUDU

Karwicki objął dzierżawę kopalni węgla brunatnego w Horsku nie dla tego, ażeby zrobić na eksploatacyi w krótkim czasie znaczny majątek, bo pokłady były wązkie, kopalnia zaniedbaną, wymagającą ogromnego nakładu pracy i wielkiej oszczędności w administracyi. Karwicki miał inny cel na oku, ofiarowując i ryzykując na tę dzierżawę skromny swój kapitalik. Cała okolica, w której znajdowała się kopalnia, miała nad wszelki wyraz ubogą glebę: piasek, żwir i opoka, na której owsy się nawet rodzić nie chciały. Przeludnienie było ogromne, lud był ciemny i biedny, o zarobek niezmiernie trudno. Była to jedna z tych okolic w naszym kraju, które w ostatnich czasach dostarczały najwięcej materiału emigracyi w ludziach, szukających na obcej ziemi lepszej doli.

Dać temu ludowi źródło zarobku, dać mu chleb powszedni, było to samo, co ocalić go, co zatrzymać na ziemi rodzinnej, którą on tylko z musu, z konieczności, jak ptak swe gniazdo, porzuca. Karwicki miał tę ideę przewodnią, biorąc dzierżawę Horska i w imię tej właśnie idei wziął się żarliwie, gorąco do pracy. Sam był dyrektorem i inżynierem kierującym, sam sztygarem i instruktorem robotników. Ileż to razy chwycił

za kilof i jak prosty żeleźnik*) rąbał twardą skałę, by pouczyć nowo przyjętych, jak należy pracować z pożytkiem. Miał siłę i wytrwałość młodzieńczą i pomimo, że większą część życia nad książką spędził, z piórem w ręku, nie było kto mógł się z nim mierzyć. Płace górników w kopalni Horsko były więcej niż skromne, i oczywiście nie mogły się równać z zarobkami innych uregulowanych kopalni, gdzie obfitość pokładów tudzież zbyt ustalony wyrobionego węgla pozwalały z łatwością na wymiar znacznego akordu i mimo tego jeszcze napełniały bez zbytnich wysiłków kieszenie licznych akcyonaryuszów. Horsko wymagało pod każdym względem oszczędności. Pokłady były wązkie i głębokie, wskutek czego eksploatacja ogromnie utrudniona i kosztowna. Prócz tego trzeba było czynić rozliczne inwestycje, mieć na oku bezpieczeństwo całego personelu robotniczego, a przy tem pamiętać o przyszłości, odkrywać nowe działy kopalni, szukać nowych pokładów i przygotowywać ich odbudowę. Wszystko to pochłaniało lwią część dochodów, absorbowało kapitał, który ulokowany w ten sposób stawał się co prawda: „posłaniem jutra“, ale na razie żadnych nie przynosił procentów.

Karwicki to wszystko miał na oku, wszystko dobrze rozważył. Ze skrupulatnością buchhaltera zestawiał sam bilanse swej kopalni i śmiał się nieraz serdecznie, kiedy po dokładnem obliczeniu dostawał w rezultacie czysty dochód generalnego dyrektora i kierownika kopalni, równający się płacy zwykłego robotnika. Ale jemu to wystarczało zupełnie, żenić się na razie nie myślał, a kwota, która mu przypadała w udziale, na skromne jego potrzeby i wymagania, aż nadto była wy-

*) Nazwa górnika pracującego kilofem.

soką. Zajmowała go natomiast myśl inna: ażeby skromny poziom płac robotniczych podwyższyć co rychlej.

Chcąc przeważną część robotników wyrwać z rąk niesumiennych kramarzy wyzyskiwaczy, założył stowarzyszenie spożywcze, gdzie sprowadzał towary z najwłaściwszego źródła i sam się tem wszystkim zajmował. A nie łatwe to do spełnienia zadanie, gdy kopalnia liczy przeszło kilkuset robotników. Ale dla energii, dla silnej woli Karwickiego nic zbyt trudnem nie było. Wkrótce stał się prawdziwym ojcem tej całej wielkiej górniczej rodziny. Znał nie tylko każdego swego robotnika, ale znał także jego żonę i dzieci, ich sposób życia, ich wady i zalety. Jak dobry ojciec musiał także surowo karać krnąbrnych i opieszłych w robocie, bo oczywiście wiedział o tem doskonale, że wszelka pobłażliwość pod tym względem, że tak zwana „dobroć fałszywa“, która jest tylko maską braku energii i choroby woli, prędzej czy później skończy się musi: anarchią, bezrządem, rozkładem, wyzyskiem ze strony tych ludzi chytrych, przebiegłych, tych wilków w owczej skórze, którzy tę pseudo-dobroć dyrektora, będącą w rzeczywistości tylko słabością, z krzywdą tych, co prostą iść zwykli drogą, na swoją korzyść wyeksploatować potrafią. Karwicki nie był nigdy pobłażliwym dla opieszłych w robocie, dla próżniaków i zazwyczaj pijaków, no i w tej sferze naturalnie nie spodziewał się mieć przyjaciół. Ale na resztę, na tę lepszą resztę, liczył zupełnie; wiedział, że tak jak on przylgnął do nich tem gorąco miłującym lud sercem i oni także kochać go muszą, wierzył najzupełniej we wzajemność tych dusz prostych, nieskażonych, i wierzył w to, że oni bądź co bądź musieli zdać sobie z tego sprawę: czego on pragnie, i że on dla nich

tego pragnie; musieli z pewnością dojrzeć ten cel, który mu jak gwiazda jasna przewodnia wśród ciężkiej pracy przyświecał.

Karwicki był górnikiem: ciałem i duszą. Wstawał o świcie i przed świtem, zrywał się na pierwszy odgłos sygnałowego dzwonka, który donośnym, szerokim echem z wieży szybu „Jutrzenki“ o wczesnej godzinie wzywał do pracy. Narzucał wtedy kitel czarny, brał łaskę z kagankiem i szedł pospiesznym krokiem ku szybowi, ażeby z pośród migocących w około, zdążających ku temu samemu celowi lampek górniczych, które w czasie poranków ciemnych i mglistych zdawały się być rojem gwiazd spadłych na ziemię — najpierw stanąć u mety. Był też prawie zawsze pierwszy na posterunku, t. j. w ordynacyjnej izbie robotniczej szybu, gdzie po wydaniu rozporządzeń wraz z robotnikami klękał do wspólnej modlitwy przed ołtarzykiem szybowym. Karwicki nie czynił tego dla zachowania pozorów, dla przypodobania się ludziom: był szczerze i prawdziwie pobożny i przed rozpoczęciem tej pracy, pełnej grozy, w głębokich podziemiach, gdzie nikt niebezpieczeństwa przewidzieć nie zdoła, polecał się Boskiej Opiece. Często po odmówieniu modlitw sam intonował pieśń: Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi — i przy śpiewie tej pieśni zjeżdżał wraz z robotnikami w szybu głębinę. Serdeczna Matko — śpiewał szyb cały. Jak gdyby z jednej potężnej piersi szły z początku rozgłosne tony z gardzieli szybowej, ni to z otworu trąby Archanioła, później stawały się coraz cichsze, coraz bardziej przygłuszone, jak głos tłumiony sordiną, aż do momentu, w którym ostatnie: Szczęśliwy kto się do Matki uciecze — słabem tylko echem wznosiło się ku górze, ku światłu

dziennemu, jak ptak mrący, któremu już sił braknie do wzlotu, aż wreszcie słowo ostatnie modlitwy gasło zupełnie, nie wydostało się już z głębin, wpadając jak perła najdroższa w ocean wiecznej ciemności. Było to znakiem dla dozorującego zjazdu w szybie robotnika Wojciecha Grzeli — że „na dół“ zesli już wszyscy górnicy. Karwicki w czasie codziennej inspekcji kopalni starał się zwiedzić wszystkie głównejsze miejsca pracy, by mieć nie tylko dokładny przegląd postępu robót, ale zarazem, by się przekonać, czy znajdują się wszędzie potrzebne zabezpieczenia dla ochrony życia ludzkiego. — Znał górników dobrze, wiedział, że nikt więcej od nich nie lekceważy sobie niebezpieczeństwa, że są z natury fatalistami i wierząc w przeznaczenie, trzymają się wygodnej maksy: „co ma Bóg dać, to i tak da“. Wiedział, że trzeba czuwać nad nimi często jak nad dziećmi, gdy na oślepie lecą w niebezpieczeństwo.

— Mój Ignacy — mówił, spostrzegłszy u jednego ze starszych robotników taką właśnie zupełną nieświadomość wszelkiego niebezpieczeństwa — czy to Ignacy nie widzi, że powała jest usypista, że trzeba ją podstemplować i podeprzeć, bo runie na głowę?

— Eh — przez woli Boga, proszę pana dyrektora, nic się nie stanie.

— A czy Pan Bóg ma także pamiętać o tej pękniętej poręczy? Ignacy chce, żeby ktoś w przepaść wleciał?

— Niechże Pan Bóg uchowa, co też wielmożny pan za myśli dopuszcza?

— To dopuszczam, co się stać łatwo może, bo tylko strzeżonego Bóg strzeże, a Ignacy wie dobrze, że zbytnia ufność w miłosierdziu boskiem jest ciężkim

grzechem. Jeżeli do jutra wszystko nie będzie w porządku, to Ignacy zapłaci karę do kasy brackiej.

W innem miejscu zastał robotnika tak zajętego i zacierzwionego w pracy, że nawet kroków jego nie słyszał.

— Szczęść Boże! — zawołał kilkakrotnie głosem donośnym.

— Szczęść Boże! — odrzekł nareszcie górnik, spuściwszy kilof.

— Cóż to pan Maciej już tak teraz zhardział, że na pozdrowienie nie odpowiada?

Chłop stanął przed nim wyprostowany, śmiejąc się dobrotliwie.

— Trza pracować mocniej, proszę pana dyrektora, bo trudno z familjom wyżyć ze szczupłej pensyi.

— A dużo tam teraz tego drobiazgu u Macieja? Pono znowu był bocian, jak mnie słuchy dochodzą.

— Był, proszę jegomości, ha, no, jak wola boska... jest znowu jeden chłopak więcej, to już razem sześcioro.

— A nie obchodził tam Maciej chrzcin nadto uroczyście?

— Gdzie zaś, trochę się ino, co koniecznie, skropiło.

— No, no, niech Maciej przyjdzie w niedzielę do Zarządu, to się tam może jaka zapomoga znajdzie.

Karwicki nie był gadułą, ale i mrukiem też nie był, znał usposobienie ludu, wiedział, że ciepłe, serdeczne słowo przełożonego, jest mu czasami więcej od chleba i grosza potrzebne. Gdzie należało, był w swych rozkazach stanowczy i kategoryczny.

W czasie przeglądów kopalni spotkał pociąg kolei konnej. Niesumienny, nieludzki woźnica sprzągł razem

długi szereg wózków z ciężarem i bił niemiłosiernie konia, który mimo nadmiernego wysiłku pracy tej podołać nie mógł.

— Stój! — krzyknął na woźnicę, który zrozumiał zaraz, o co chodzi, gdy głos dyrektora usłyszał.

— A to Cepiak? To ty się ładnie sprawujesz! — Ty piękny jesteś człowiek, co się tak znęca nad biednym zwierzęciem.

— To tylko ten jeden raz tak było — proszę wybaczyć. To ino dla tego....

— Dlatego, żeby prędzej wywieść to, co do was należy, a potem siedzieć z założonemi rękami przez resztę szychty. Dlatego: niech koń się męczy i niech zdechnie, bo to i tak nie wasz koń — prawda? — Ten raz mi wystarczy. Degraduję Cepiaka do niższej kategorii. Od jutra idziecie do innej roboty.

Przechodząc obok komory, którą wyprawiano grubymi kłocami, spostrzegł, jak jeden z młodych robotników podnosi olbrzymi pień bez użycia przepisanego drażka dźwigarowego. Była to lekkomyślność ogromnie wśród robotników rozpowszechniona, wskutek której wielu z nich cierpiało na przepuklinę.

— Woźniak! jak śmiesz tak sobie lekceważyć przepisy — zawołał gromkim głosem dyrektor.

Woźniak, wypuścił z rąk pień, który uderzeniem o ziemię stwierdził ogromny swój ciężar.

— Zapłacisz karę za nieposłuszeństwo, bo was dopiero karą do tego zmuszać trzeba, żebyście pamiętali o swoim życiu i zdrowiu.

Kiedy szedł z pośpiechem przez jeden ze starszych oddziałów kopalni, w oddali wśród absolutnej ciemności zamigotało mu drobne światełko. Poskoczył w tę stronę, ale w tej chwili ktoś, przyłapany na

gorącym uczynku palenia tytoniu, zaczął przed nim w ciemności uciekać. Puścił się w pogoń i dogonił go właśnie w chwili, gdy chciał w kąć rzucić niedopalonego papierosa.

— Jędek! Ty łotrze jeden! — zawołał, chwytając go za kołnierz — czy masz pojęcie o nikczemności, którą popełniasz, narażając na pewną śmierć życie tylu ludzi dla zaspokojenia twego nałogu? Wynoś mi się w tej chwili, tak jak jesteś, i niech noga twoja więcej tu nie postanie, boś ty niegodzien być górnikiem!

Zirytowany do żywego, szedł ku wyjazdowi w szybie i dopiero widok Wojciecha Grzeli, którego bardzo lubił, rozchmurzył jego oblicze.

Grzelę można było polubić. Sprytny, zwinny, przytomny, do każdej roboty chętny. Ogromnie służbisty i skrupulatny w wypełnianiu poruczonych mu obowiązków. Nic dla niego nie było za trudne, żadnej roboty się nie lękał, przed wykonaniem żadnego polecenia nie zawahał, wszystko obmyśleć umiał doskonale swoim prostym chłopskim rozumem. Karwicki znał jego punktualność i przekonawszy się wielokrotnie, że mógł na nim najzupełniej polegać, powierzał mu stanowisko dozorczy, używał do pomiarów kopalniowych, w ogóle Grzela był jego alterego, jego siłą pomocniczą w zawiadywaniu kopalnią, jego ręką prawą.

— I nad czymże to Grzela znowu tak kalkuluje? — rzekł do pilnującego wyjazdu szybowego robotnika, widząc, że Wojciech trze zawzięcie czuprynę płową i dużymi krokami mierzy wewnątrz szybu, co u niego było zawsze oznaką wielkiego zamyślenia.

Wojciech zamiast odpowiedzi zaczął się uśmiechać i jeszcze mocniej tarł czuprynę.

— No, śmiało, śmiało, niech i ja wiem: co tam znowu się kombinuje w tej głowie?

— Kiedy bo pan dyrektor może się ze mnie wyśmiej.

— Czy postąpiłem tak kiedy?

— No, nie, ale ja się teraz wziąłem nie do swojej roboty, to jest inżynierska rzecz takie pomysły.

— O cóż chodzi?

— O ten pokład w najniższym poziomie. Ja sobie tak kalkuluję, panie dyrektorze, że jeśli my jeszcze niżej pójdziemy i w tej samej godzinie*), to my go tam koniecznie znaleźć musimy i to już znacznie grubszym, bo on się przecież ku spodowi rozszerza. Tak to widzę wszystko jak na dłoni i szedłbym po niego na pewniaka.

— To Grzela dobrze widzi, bo tak jest w istocie, tak z obliczeń moich wynika i w tym właśnie kierunku w odbudowie tego pokładu widzę przyszłość kopalni.

Wojciech, aż spłoszował, tak się ucieszył tem wysokim uznaniem dla swego projektu. Przesępował jednak z nogi na nogę, naciągał palce u rąk, miał minę wielce frasobliwą, słowem zachowaniem swem dawał do poznania, że mu coś ważnego leży na sercu, czego wypowiedzieć nie śmie, choć ma do tego ogromną ochotę.

— Kiedy bo... proszę... pana dyrektora — zaczął wreszcie nieśmiało, patrząc w oczy Karwickiego, — mnie we wszystkim, co chcę skombinować, tego brakuje, bez czego ani rusz na świecie.

— Wiem, czego ci brakuje: nie umiesz czytać — ale to wy wszyscy cierpicie na tę okropną chorobę,

*) Oznaczenie podziałki na kompasie.

która się analfabetyzmem nazywa, i nie wasza w tem wina, że was tak ojcowie w świat puścili.

— A ja bym się tak bardzo chciał nauczyć czytać. Tam tyle cudnych rzeczy, tam całe skarby, tam wszystkie tajemnice i wszystkie odkrycia muszą być w tych grubych księgach, których już tyle, tyle tak mądrzy napisali ludzie. Panie dyrektorze! ja przy służbie nad szybem lub w podszybiu mam w czasie dozoru chwile wolne, kiedy zamiast patrzeć w próżnię i myśleć Bóg wie o czem, mógłbym przeczytać niejedną księgę i niejeden z niej dla siebie, a może i dla drugich, wyciągnąć pożytek... Gdybym ja umiał czytać!

— Więc ja cię będę uczył, Wojciechu.

Grzela nie mógł się powstrzymać w wybuchu wielkiej radości: chwycił dyrektora za rękę i pocałował go, nim mu ją wyrwać zdołał.

— Czem ja się panu za to wywdzięczę? czem wywdzięczę?!

— Tem tylko, że będziesz drugich uczył, że im będziesz to odczytywał, z tem zaznajamiał, co poznania jest warte. Założymy później „Czytelnię“ i w wolnych chwilach, w niedziele i święta, będziecie mieli wspólne ognisko, gdzie się kształcić możecie i gdzie ty Grzela przy tych, które ci Bóg dał, zdolnościach wiele, wiele zdziałać możesz dobrego.

W wolnych od pracy chwilach, których dyrektor miał bardzo nie wiele, uczył się Grzela od niego czytać i pisać. Namozolił się co prawda dosyć Karwicki, nim grubą ciężką rękę Wojciecha przyzwyczał do pióra, ale za to czytać nauczył się Grzela bardzo prędko litery połykać się zdawał, wchłaniał zdania całe, tak był spragniony, tak chciwy nauki. Od chwili gdy posiadł sztukę czytania, nie rozłączał się prawie z ga-

zetą i książką. Materiału dostarczał mu po części Karwicki, a prócz tego Grzela sam gdzieś wyszukał sobie różne źródła, z których dostawał książki i gazety.

* * *

Kopalnia rozwijała się prawidłowo, mimo, że Karwicki z uregulowaniem zbytu horskiego węgla nie mało miał jeszcze kłopotu. Kosztowało go także ogromnie wiele badanie pokładów węgla i przygotowanie przyszłej odbudowy, którą Niemiec tak dobrze terminem: Hofnungsbau nazywa. Cieszyło go to jednak niezmiernie, że ta Hofnungsbau, z takim prowadzona wysiłkiem i nakładem, okazywała znakomite rezultaty i dawała mu istotnie wiele, wcale nie płonnych na na przyszłość nadziei. Pokład odkrywany nową poprzeczną w najniższym kontyngencie okazywał grubość znaczną i mógł postawić Horsko w przyszłości w rzędzie najpierwszych kopalń w kraju. — Z rozszerzeniem kopalni miał też Karwicki i pracy znacznie więcej. Większą część dnia spędzał na inspekcji i pomiarach w kopalni, a wieczorami do późnej godziny płonęła lampa w jego pokoju, gdy siedział nad rajsbretem, lub przy zestawianiu rachunków. Myśl jedna dręczyła go przy tem ustawicznie i nie dawała spokoju. Wiedział, czuł to dobrze, że płace robotników są za małe, że zarobki akordowe za niskie, ale mimo najszerszych chęci, mimo licznych utyskiwań z ich strony, nic się na razie w tym kierunku na lepsze zmienić nie dało. Gdyby oni wiedzieli, ile on sobie zostawiał na życie! Wstydziliby się przyznać do tego przed kolegami z akademii, którzy już od dawna mieli dobrze płatne posady kierowników w różnych rentu-

jących się kopalniach, gdzie technicy z fachową wiedzą górniczą bardzo byli poszukiwani. Koledzy nazwaliby go może waryatem gdyby się zwierzył przed nimi ze swoich marzycielskich projektów. Bo on przecież mimo swego zawodu, który na zmyśle praktycznym się opierał, był na wskrós duszą marzycielską. Nieraz, usiadłszy na odłamku skały w bezludnym kątku kopalni, zmęczony długim chodzeniem, postawiwszy u stóp swoich kaganek i wpatrując się w jego migotliwe światło, dawał folgę tym marzeniom, które rozsnuwał jak złote nici na czarnem tle kopalni, haftując niemi w tej ciszy podziemnej wdzięczne przyszłości obrazy. Widział wtedy Horsko jako olbrzymią, już sławną szeroko w świecie kopalnię, z mnóstwem kominów dymiących i wyrzucających parę maszyn rozlicznych, widział pobudowane wzorowo domy robotnicze, łaźnie, szpitale, wszystko, tak jak by on to urządzić pragnął, gdyby mu na ten cel wystarczały fundusze. Widział liczny zastęp swych robotników w dostatku i dobrym bycie, w porze, gdy po ukończonej szychcie w ogródkach swych przed domkami używają zasłużonego wywczasu. Horsko, skąpane w jasnych promieniach jego marzeń, wydawało mu się ni to olbrzymia falansterya, którą by rajem na ziemi nazwać można. A i siebie także widział wśród tej falansteryi inaczej! Wiecznie przecie tak samotny żyć nie będzie. Ożeni się, będzie miał liczną rodzinę, założy własne ognisko, będzie prowadził dom na stopie dostatniej, bo mu na to wtedy jego znaczne dochody z łatwością pozwolą. Na myśl o żonie zamajaczyła mu przed oczyma znana twarzyczka, którą zawsze widział w takich momentach: błękitnookie dziewczę z buzią różową w otoczeniu jasnych kędziorków. Serce mu zaczyna

marli poprostu z głodu, albo szli szukać zarobku po za granicami kraju, albo rzucali ziemię macochę, która ich żywić nie chciała i zebrawszy z trudem grosz ostatni na daleką wędrówkę potrzebny, żegnali na zawsze z krwawiącym się z bólu i tęsknoty sercem rodzinne strony, by za morzem znaleźć już nie lepszą dolę, bo na zdobycie wymarzonego szczęścia wielu z nich sił żywotnych czuło w sobie za mało, — lecz by mieć przynajmniej chleb pewny dla siebie i rodziny.

Taki był stan rzeczy, gdy on objął Horsko. I on ich przecież z tego wydzwignął. On staraniem, pracą gorliwą, przechodzącą czasem siły i odporność ludzkiego organizmu i tym zapałem ogromnym dla tak ukochanej przez siebie sprawy doprowadził do tego, że mogą dalej pozostać na drogiej ziemi ojców, bez której nie ma życia, tylko ból, tęsknota i rozpacz! Więc, jeżeli nie na wdzięczność, to przynajmniej na uznanie, na zrozumienie celu, dla którego pracował, liczyć miał prawo.

Zmiana w usposobieniu robotników dotykała go tem mocniej, że on się zżył z nimi jak z rodziną jedną. Uważał tych maluczkich duchem za dzieci swoje, z którymi łączyło go tyle nici serdecznych. Znał ich wady nie małe, ale i zalety znał wielkie i wiedział, że to jest materiał, z którego najwspanialszy gmach zbudować może człowiek, gdy się do dzieła wziąć umie, gdy ich dla dobrej sprawy zjednać potrafi i gdy pójść za nim zechcą gromadą. Więc bolało go mocno, że się te nici serdeczne z niewiadomej przyczyny naprężyć i rwać zaczynają.

Dawniej, gdy zjawiwszy się w pośród nich przed rozpoczęciem szychty o rannej godzinie witał zgromadzonych słowami: Szczęść Boże! — spostrzegął

na otaczających go obliczach wyraz uszanowania dla przełożonego, ale i życzliwości zarazem i tej sympatii, którą się ma dla duszy bratniej i pokrewnej. Dziś uniżoność i czołobitność były większe może niż poprzednio, ale dawny wyraz znikł zupełnie, a natomiast coraz częściej spostrzedz się dawał pewien rodzaj sarkazmu, który najwidoczniejszym był na pełnem inteligencji obliczu Grzeli.

Czyżby i Grzela także miał mu co do zarzucenia?

Pochylony nad obliczeniami, które co wieczór zestawiał, puścił wodze złym myślom, dręczącym go od dłuższego już czasu. Głowę wsparł na dłoni i zapomniawszy zupełnie o zaczętej robocie siedział, jak posąg nieruchomy. Czuł, że zaczyna go coraz częściej nawiedzać ta hydra stugłowa, ten krab wstrętny, który znienacka zapuszcza ssawki swe zabójcze w serce i duszę człowieka, co najpotężniejszą wolę, najszlachetniejsze zamiary w niwecz obrócić potrafi, a nazywa się — zwątpieniem.

— Przecież ja tu dla nich pracuję, dla nich jedynie wyrzekłem się wszystkiego i oni mnie koniecznie zrozumieć powinni! — powtarzał w duchu.

Z odrętwienia zbudził go niezwykle o tej porze gwar, który aż do jego samotnego na wzgórzu doleciał mieszkania.

Spojrzał przez okno i zauważył, że gospoda „Pod kilofem“, w której zbierali się górnicy, była rześście oświetlona, gwar więc i krzyki stamtąd pochodzić musiały.

— Czemuż to oni jeszcze do tak późna i taką gromadą uczują? — myślał — prawda, dziś po wypłacie, na zarobki się narzeka, ale dla szynkarza zawsze się jeszcze dosyć grosza znajdzie.

Pokiwał smutnie głową i wziął się na nowo do czekającej go pracy.

* * *

Tymczasem w gospodzie „pod kilofem“ działy się ciekawe rzeczy.

Na ławie obok szynkwasu stał Grzela z jakąś gazetą w ręku i czytał głosem donośnym. Nietylko cała izba była tak szczelnie górnikami nabita, że się ruszyć nie było można i że szynkarz ani części obsłużyć nie był w stanie, ale i po za obrębem gospody stało mnóstwo górników i przez otwarte okna słuchało mowy Grzeli, przerywając ją często okrzykami i potakiwaniami. Stentorowy głos Grzeli, którym akcentował każde słowo dobitnie, słychać było bardzo daleko. Grzela snać reasumował dłuższą przemowę:

Towarzysze!

Jeżeli porównacie teraz zarobki, które pobierają górnicy, pracujący w kopalniach niemieckich, francuskich, angielskich i amerykańskich, z temi płacami, jakie my tu dostajemy, to się wam dopiero przedstawi ta ogromna krzywda nasza. Tam robotnik niejedyn więcej przez dzień zarobi niż my tu przez tydzień, bo nasza płaca to nie jest zarobek godny górnika i jego ciężkiej pracy bez światła Bożego i z ciągłym narażeniem życia. To nie jest płaca, to jest nędza!

— Prawda, dobrze gada — odezwały się liczne głosy.

— Z takiej pensyi ledwie wyżyć można — dorzucił któryś.

— Górą Wojtek! — wołali podnieceni wódką.

— Dajcie mu tam arendarzu na przepłukanie gardła — wystąpił ktoś z propozycją.

Grzela skinął ręką, by się uciszyli, i mówił dalej:

— A jeśli wam zestawię obecne ich zarobki z tem, co mieli przed laty, to dopiero poznacie różnicę. I oni dawniej brali mało co więcej niż my teraz bierzemy, ale oni umieli sobie poradzić, bo na wszystko jest sposób, tylko trzeba się umieć wziąć do tego dobrze. A wiecie, jak się nazywa ten sposób?

Wśród zasłuchanych zapanowała przez chwilę zupełna cisza.

— Strajk!! — zawołał Grzela.

Słowo to, rzucone w tłum, zaczęło się powtarzać, rosnać, olbrzymieć, przeszło jak błyskawica setki głów [rozpalonych i wstrząsnęło niemi jak huragan.

— Strajk — Strajk — Strajk — podawano sobie z ust do ust.

Nikt z otoczenia zrazu] nie zauważył, że Ignacy, który przez cały czas mowy Grzeli przeczącym giestem ręki dawał do poznania, że się z jej treścią nie zgadza, wyskoczył na drugą ławę i chciał przemówić. Dopiero kilkakrotne:

— Bójcie się Boga ludzie! — Opamiętajcie się! — przyciszyło gwar na chwilę.

— Bójcie się Boga, ludzie, co wy też robić chcecie?! Czy was rozum opuścił? — mówił Ignacy, trzęsąc rękami. — Jakże można tę naszą biedną kopalnię porównać z kopalniami w Anglii i Ameryce? Przecież on nam tego płacić nie może, co oni tam dają, bo sam nic nie ma, sam jest chudziak.

— A ty skąd wiesz, że nic nie ma? Siedzisz w jego kieszeni? czy co? — zainterpelował go wypędzony

Jędrrek, który, chociaż już w służbie nie był, włókł się zawsze za górnikami.

— Gdzie widzicie na nim te bogactwa?

— Czy to nie może dać do kasy?

— Albo dla zamydlenia oczu kupić sobie gdzie indziej dobra, na Węgrzech lub w Szwajcaryi?

— Ja wam mówię, że to lis i kutwa, z pewnością dobrze siedzi na pieniądzach, uciulanych z waszej krwawicy — syknął znów Jędrzej.

— Ty tak mówisz, bo¹ masz złość na niego, że cię ze służby nagnał — wmieszał się do dyskursu Maciej, a ja mówię, że to człowiek godny, zacny, jakich mało na świecie i że on dobrze, z serca dla nas chce.

— Gadacie Macieju, boście wzięli kilka razy za pomocę i to wam tak gębę miodem zalepiło.

— Dobry, godny człowiek — powtarzał Maciej.

— Dobry, dobry, jaki mi ta dobry! — odezwał się już pijany Cepiak. — Za lada głupstwo — zaraz: kara! Koń trochę więcej wózków pociągnął, zaraz! „płać karę“, bo u niego zwierzę ważniejsze niż człowiek?

— A ja może sprawiedliwie zapłacił?! — krzyczał Woźniak. — Dla tego, żem przy dźwiganiu kłoca mógł dostać ruptury. Dyabli mu do mojej ruptury! Dostanę to moja rzecz, a jemu zasię do tego!

— A nie „zasię“, bo jest człowiek uczciwy i pamięta o ludziach. Zresztą karę ściąga nie dla siebie, tylko dla nas, do kasy brackiej — argumentował Maciej.

— Co tu gadać! moja krzywda z wszystkich² największa — zawołał Jędrrek.

— Czym mu kopalnię podpalił, czy³ co, żeby mnie jak psa zaraz wyganiał?! — Ja wam mówię ludzie strajk! — to jedyna na takich panków rada.

W gospodzie się zaroilo jak w ulu. Zaczęto zbierać głosy, kto jest za strejkiem, a kto przeciw, i okazało się, że większość decydowała się nie wrócić do roboty, dopóki nie podwyższą znacznie płacy dziennej i akordowej. Najbardziej czynnym w organizowaniu całego strajku był Grzela. Kiedy się tak uwijał wśród górników, zbierając głosy, przystąpił do niego nagle Maciej i wstrząsnął nim mocno.

— Wojciechu i ty także przeciwko niemu? On tak cię lubi, odznacza, tyle zrobił dla ciebie!

— Lubi? bo wie, że za takie psie pieniądze, takiego, jak ja nie dostanie dozorca — bo gdzie indziej takiemu, jak ja dozorca pięć razy tyle płacą — odrzekł z sarkazmem Grzela.

Była już czwarta rano, gdy został większością głosów uchwalony strajk, od którego pod przysięgą nikt się wyłączać nie śmiał.

* * *

Kiedy Karwicki o zwykłej godzinie wyszedł ze swego mieszkania z kagankiem w ręce, zdziwiło go mocno, że nie dostrzega, jak zwykle, dokoła mnóstwa ruchliwych płomyków, które o tej porze z wszystkich stron zdążyły ku szybowi.

Sądząc, że wstał za wcześnie, spojrzął na zegarek: minęła piąta. Dlaczegoż nie słyszał dzisiaj sygnałowego dzwonka z wieży? Spojrzął ku szybowi: okna „Jutrzenki“ były zupełnie ciemne. Cóż to ma znaczyć? Jakieś złe przeczucie ścisnęło mu serce.

Ranek był mglisty, jesienny, więc przypuszczał, że to gruby opar tak mu światła zakrywa, i szedł dalej pospiesznym krokiem.

Przed szybem stanął, jak wryty, nie zdając sobie sprawy z tego, co się stać mogło. Drzwi od szybu były zamknięte. Budynek stał czarny, bezludny. Poskoczył do wejścia, gdy wtem kaganek jego rozświetlił cały zbity tłum, z którego przygłuszony pomruk dochodził.

— Co to?! co to ma znaczyć? — zawołał — Dlaczegoście tu stanęli? Czemu nie idziecie do izby ordynacyjnej?

— Nie pójdziemy do roboty — odezwały się głosy.

— Nie pójdziecie?! dlaczego? co się stało?

— My chcemy podwyższenia płac i zarobków — rzekł Grzela, występując przed tłum górników — i jeśli tego nie osiągniemy, rozpoczynamy strajk.

Karwicki osłupiał. Przez chwilę zbierał myśli, zda wało mu się, że śni.

— Wy chcecie podwyższenia płacy?! zawołał po chwili, zdając sobie sprawę z tego, co zaszło. — I to ty? ty, Grzela, występujesz z takim żądaniem?! Ależ ja tego zrobić nie mogę teraz! — w żaden sposób nie mogę! Zechciejcież mi ludzie uwierzyć, że ja tylko waszego dobra pragnę, ja chciałem wam dać zarobek, chciałem was utrzymać przy tej ziemi i dlatego jąłem się pracy, która czasem siły moje przechodzi. Ty, Grzela, powinienes to być pierwszy zrozumieć i na ciebie liczyłem najwięcej. Ja nie żądam od was wdzięczności, chcę tylko zrozumienia waszego własnego interesu. Nie idźcie za głosem bezrozumnych podżegań, zaklinam was: wróćcie do pracy, a da Bóg będzie z czasem lepiej, kiedy tę konieczną kryzys przetrwamy, którą kopalnia nasza przejść musi. No, Grzela — mówił już głosem miękkiem i łagodnym, stań teraz przed

nimi i tak jakeś do strajku nakłonił zaprowadź wszystkich pierwszy do pracy. — Ufajcie mi i wiercie, że ja sam o was pamiętać będę, bom was pokochał jak dzieci własne! — dokończył, czując, że wzruszenie ściska mu gardło.

Ale ze zbitego tłumu nikt się nie ruszył. Usłyszał tylko głuchy pomruk — protestu. Wtedy krew młoda zakipiła w żyłach Karwickiego i uderzyła mu falą do głowy. Na usta cisnęły się słowa:

— To gińcie marnie! — ale tych słów nie wypowiedział. Bez pożegnania odwrócił się od tłumu i szedł wolnym krokiem ku swemu mieszkaniu. W oczach miał wyraz beznadziejnego smutku, jak człowiek patrzący na gmach swoich marzeń zwalony w gruzy, z których nikt go już dźwignąć nie zdoła.

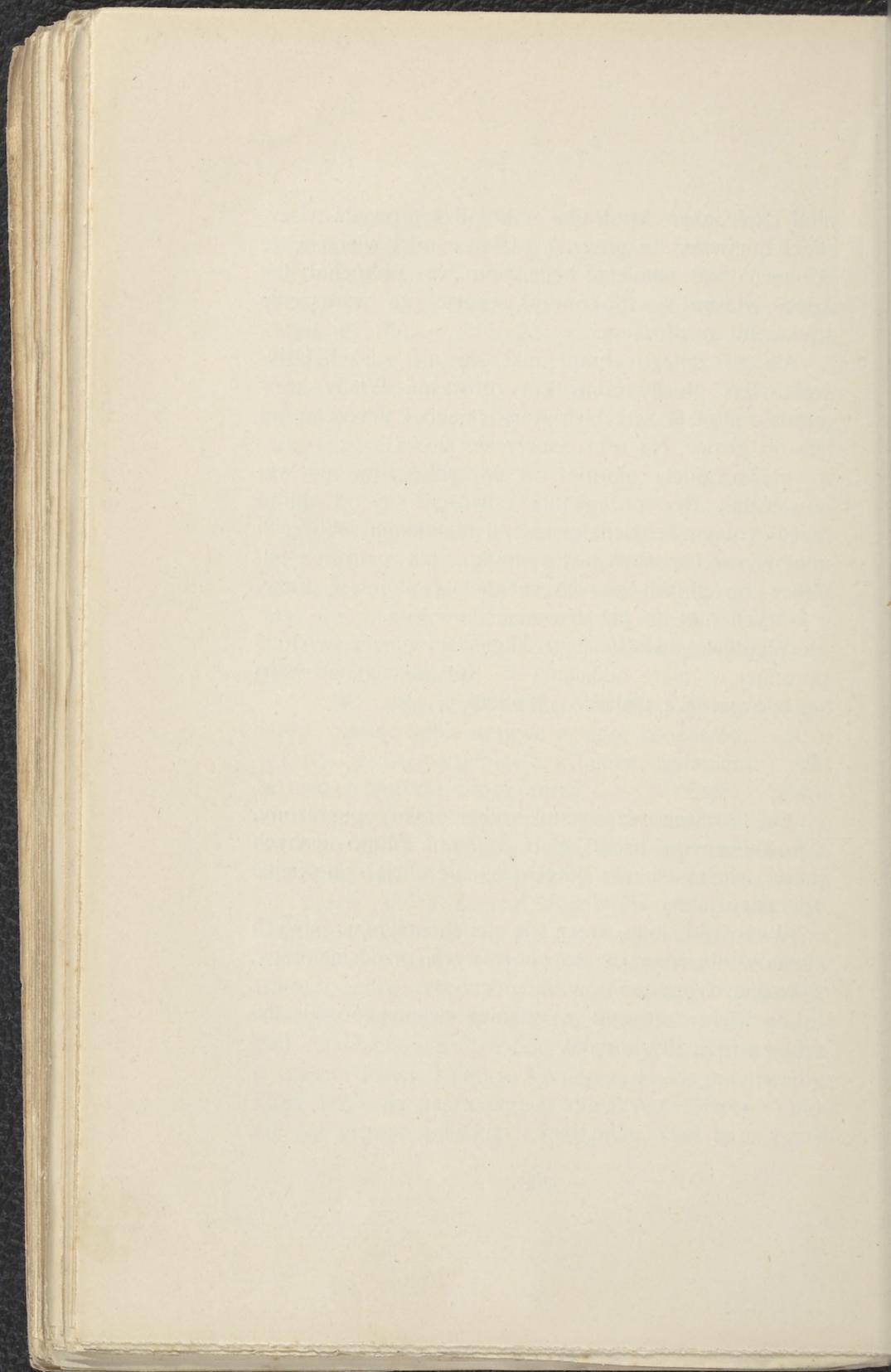
Migotliwe światło jego kaganka, ginące w mgle porannej w miarę oddalania się Karwickiego, zdawało się być gasnącą gwiazdą „Jutrzenki“.

* * *

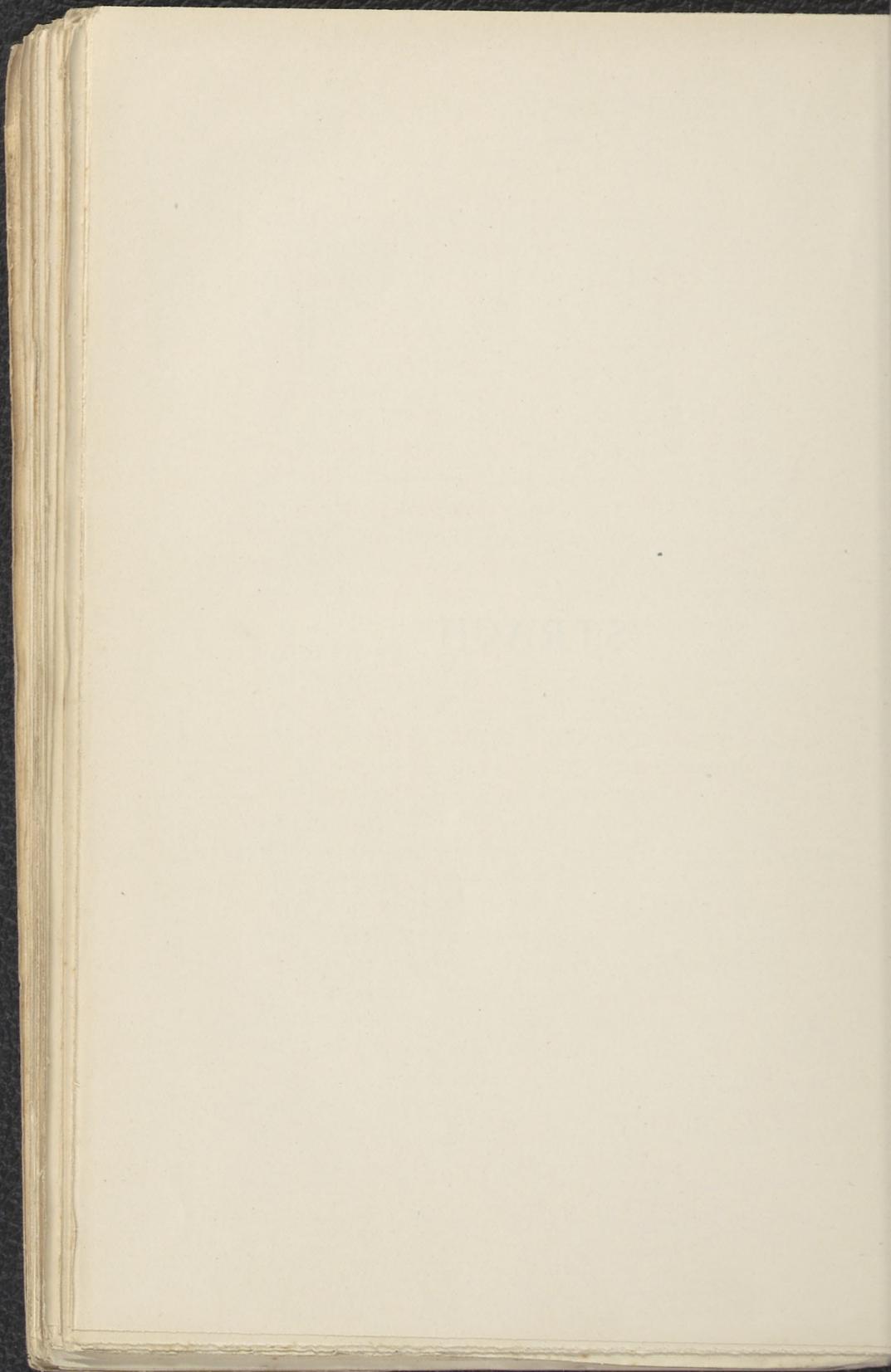
Od dłuższego czasu stoi szyb Horsko opuszczony, z powybijanemi przez wiatr szybami. Mimo licznych starań właścicieli nikt dotychczas nie chciał się podjąć dzierżawy takiej kopalni.

W pośród ludu kręca się ajenci, znajdując łatwych klientów dla różnych transportowych przedsiębiorstw, wywożących emigrantów za morze.

Karwicki otrzymał za granicą świetną posadę dyrektora rozległej kopalni.



STRACH



Ażeby prędzej przybyć do szybowego wyjazdu, Jan Kostka, młody górnik puścił się „na bliższe drogi”. — Nie znał jeszcze dobrze kopalni, mimo to jednak, tak mu spieszno było „na świat“, tak się serce rwało do tej, która tam na niego z równem utęsknieniem czekała, że odważył się na krok tak ryzykowny, jakim jest droga przez „stare działa“*).

Jemu jednak ani przez myśl nie przeszło jakieś niebezpieczeństwo; był młody, krzepki, pełen sił żywotnych w tym szczęśliwym wieku, gdy najtrudniejsze przedsięwzięcia zdają się być niczem w obec olbrzymiego zasobu energii i woli. Szedł rączym krokiem z wesołą na ustach piosenką, która dzwoniła o ściany chodnika, uderzała echem rozgłośnionem o ciemne otchłanie komór, jak gdyby nagle gromada wesołych elfów wizytę złożyć przyszła gnomom kopalni. Wszystko szło z początku bardzo pomyślnie, tem lepiej, że chodnik był prosty i obszerny i że Kostka przypominał sobie dokładnie drogę, którą raz przebywał w towarzystwie starych górników. Już się też cieszył naprzód, jak to on pierwszy po szychcie stanie w podszybiu u wyjazdu i jak potem jednym skokiem znajdzie się tam, gdzie go tak bardzo serce ciągnie.

*) Ustronia kopalni.

Idąc w ślad wesołym myślom swoim huknął teraz z całej piersi:

— Maryś, moja Maryś!!

Aż mu echo dalekiej komory odpowiedziało tak rozgłośnie, jakby to ona z nim się przekomarzała powtarzając:

— Ma-ryś!!

Pierwsze zakłopotanie sprawiły Kostce rozstajne drogi, któremi się długi chodnik zakończył. Wiedział, że ma iść na zachód, ale zdać sobie nie mógł sprawy: w której stronie ten zachód leży?

Chodniki wszystkie były niskie i ścieśnione. Podpory z drzewa i dyle stropowe zostały miejscami tak zmiażdżone, że pień gruby zmienił się w drobne patyczki. Belki pionowe podostawały kolan, przez które sterczały wyłupane trzaski i wyglądały, jak karyatydy zmuszone pod naciskiem olbrzymiego ciężaru do przybrania kłęczącej pozycji. Kostka po dłuższej chwili namysłu skręcił w jeden z mniej wygodnych chodników i zaczął się szybko między wąskimi ścianami przesuwac. Po dłuższej wędrówce wszedł do komory i bacznie się po niej jął rozglądać. Komora ta wydała mu się obcą zupełnie. Ściany miała z wilgoci oślizgłe, powała była miejscami zabezpieczona belkowaniem i wsuniętymi po za belki deskami, ale snąć i tu musiał być nacisk ogromny, bo drzewa były zdruzgotane, deski poprzelamywane i wszystko w takim wydawało się stanie, jak gdyby wraz ze stropem, na którym znać było duże szczeliny, każdej chwili runąć miało na ziemię. — Z komory, która ciągnęła się w szerz daleko tak, że część jej całkiem znikwała w mroku, — wiódł jeden tylko chodnik kręty, pochyły. Kostka zapuścił się jeszcze w ten chodnik, ale i tu zorientował się

łatwo, że on tą drogą nie przechodził nigdy, że zbłądził i że mu trzeba wrócić do głównego chodnika i skrócić w inną poprzeczną*) na drogach rozstajnych.

Przy wejściu do komory chciał się rozglądnać raz jeszcze, wzniosł do góry kaganek, by ją lepiej oświetlić, ale w tej samej chwili upadło kilka kropel z powały wprost na płomień kaganka, który pryskając, sycząc i walcząc zawzięcie z wodą, musiał wreszcie uleść przeważającej sile drugiego żywiołu i zgasł.

Kostka został w ciemnościach.

Pierwszą myślą, która mu głowę przeszła, było: czy ma przy sobie zapałki? i na samo przypuszczenie, że mógłby ich nie mieć, już go lęk obleciał. Ażeby kaganek mieć tuż przy sobie usiadł na ziemi i rozpoczął pilne przeszukiwanie całej odzieży. Ręce mu drżały, jak w febrze. Po każdym bezskutecznym zapuszczeniu palców w kieszenie zimny dreszcz go przechodził. Nareszcie gdzieś w samym rąbku długiej kapoty namacał jedną jedyną zapałkę. Ręce miał zmoczone obcieraniem zalanego wodą knota, więc je starannie wytarł o poły kapoty i ostrożnie siarnik zapalił. Ale przy błękitnym pierwszym płomyku ujrzał coś takiego, co mu odrazu strachem okropnym włosy zjeżyło na głowie. W odległości kilku kroków od niego stał ktoś w rozpostartym szeroko długim białym płaszczu. Kostka, aż zadygotał cały; zbliżył zapałkę do knota, by co prędzej światłem odpędzić widmo, ale czy to wskutek drżenia ręki, czy też z powodu przesylenia opadłą z powały wilgocią knot rozświecić się nie dał i Kostka znalazł się naraz w zupełnej i beznadziejnej ciemności.

*) Boczna ulica.

W pierwszej chwili nie mógł zdać sobie sprawy: co począć; bezużyteczny kaganek wypuścił z ręki i chciał iść po omacku w kierunku chodnika, którym wszedł do komory. Rzucił się naprzód, ale uderzył zaraz w głaz, który go z nóg powalił. Starał się otworzyć szeroko oczy, by przecież coś dojrzeć w zupełnej ciemnicy, ale na czarnym odmęcie ani jedna nie odcinała się linia. Zdawało mu się tylko, że widzi białą postać bliżej siebie; zaczął drzeć mocniej na całym ciele, zaciskał silnie powieki i stał. Czuł jednak, że słabnie, że coraz mocniej uginają się pod nim kolana, więc przykucnął i siedział nieruchomy z oczyma zamkniętymi. Podrażniona i wyczulona wyobraźnia poczęła mu teraz nasuwać na pamięci wszystko co kiedykolwiek słyszał od starych górników o dobrych i złych duchach kopalni. Widział jak najwyraźniej owe brodate dyabliki, co to płaczą się wszędzie w podziemiach i górnikom rozliczne wyprawiają psoty, a najchętniej siedzą w starych działach. — Nie wątpił, że muszą być gdzieś niedaleko i że się wkrótce wezmą do niego. Ale Kostka był pobożny, więc zaczął odmawiać Zdrowaśki i żegnał się często... To mu znacznie ulżyło. Siedział teraz przez chwilę spokojnie starał się zmysły skupić i jął zastanawiać się nad tem, czy przecież nie byłoby jakiego sposobu wydostania się z tej komory.

Z pierwszego kroku w ciemności przekonał się jednak, że mógł tylko posuwać się na czworakach, lub czołgać się macając rękoma przed sobą. Przeżegnawszy się raz jeszcze, chciał rozpocząć trudną wędrowkę, gdy wyciągnięta dłoń jego dotknęła śliskiej ściany, która wydała mu się ścianą grobu. I wszystko, co pod wpływem modlitwy ucichło na chwilę, odezwało się

w nim na nowo. Lęk go chwycił w ramiona i trząść nim zaczął, jak potężny wichur wstrząsa drzewami osiki. — Odrzucił się od śliskiej ściany i zaczął pełzać w przeciwnym kierunku i wtedy mu przyszło na myśl, że on wprost idzie na tę postać białą, którą ujrzał przy świetle zapałki. — Wyciągnął rękę i krzyknął okropnie; czuł najwyraźniej, że mu ktoś dłoń uchwycił w zimne żelazne szpony. Czasu dłuższego potrzebował zanim rozpoznał, że była to rękojeść kaganka porzuconego na ziemię. To go trochę opamiętało; zaczął raźniej posuwać się dalej, ale zaledwie zrobił kilka poruszeń, usłyszał nagle jakiś szum i huk odległy. Huk ten pochodził od strzałów min podziemnych, ale jemu się wtedy zdawało, że takiego odgłosu nigdy jeszcze w kopalni nie słyszał. Przycupnął, zaparł dech w piersiach; był najpewniejszy, że to tuż po za ścianą coś nieustannie tak huczy i szumi. Wtedy przypomniał sobie co mu opowiadał raz górnik stary: o pożarze kopalni.

— Może to pożar wybuchł? Ogień chwycił się podpór drewnianych i oto wałęsają się stare stropowiska i z tego taki huk powstaje. Płomień skacze od belki do belki, trzeszczą suche odwieczne drzewa rozłupane na cienkie trzaski, które płoną jak smolaki, dym gęsty wali kurytarzami i wkrótce pewnie tu wpadnie, by go udusić. Wszystko widział żywo w podnieconej lekkiem wyobraźni. Rzucił się naprzód, jak szalony, krwawił sobie kolana, kaleczył ręce, rozbijał głowę o ścianę: szedł naprzód, a natrafiwszy na przeszkodę, cofał się, by za chwilę znowu iść w innym, jak mu się zdawało, kierunku.

Na raz wyciągnął rękę i struchlał cały: ręka utonęła w próżni; wyciągnął drugą i druga nie mogła

znaleść oparcia: był nad skalistą przepaścią lub nad otworem podziemnego szybu. Chciał się cofnąć, ale doznał takiego zawrotu głowy, że po chwili nie mógł sobie zdać sprawy, w którą stronę ma skręcić, by do przepaści lub szybu nie upaść, gdzie czekała go śmierć pewna. Zimny pot wystąpił mu na czoło, trwoga przedśmiertna odebrała mu resztę zmysłów. Zdawało mu się, że słyszy jakieś przygłuszone stapania, jakieś dzikie głosy i śmiechy szatańskie — ani wątpił, że to już idzie zgraja dyabłów brodatych, by zawlec jego duszę, co bez spowiedzi schodzi ze świata — prosto do piekła. — Już ich słyszy wyraźniej, coraz bliżej i bliżej; idą gromadą i wkrótce pochwyć go za włosy, które mu strach zjeżył do reszty. Wtedy odezwała się w nim ostatnim wysiłkiem żądza życia, chciał krzyknąć, co sił stanie, ale głos łamał mu się w gardle.

— Ratun!... ludzie!... wołał ochrypłym głosem.

— Ratunku!

Tymczasem kroki złych duchów słyszeć się dały coraz bliżej. Już — już stali tuż po nad nim, więc się rzucił gwałtownie, zarył twarzą do ziemi, żeby się bronić do ostatka i nie dać tak łatwo pochwyć złemu. Ale oto już — już sięga któryś po niego ręką, targa go za włosy i krzyczy:

— Wstań!!

Kostka niechce podnieść głowy, lecz szarpną go mocno, więc się odważył bokiem zerknąć i odrazu siadł na ziemi:

— Rany boskie!! — to wy?! zawołał — widząc dwóch znajomych górników.

— Jasiek! cóż ty tu robisz?

— Ano... chciałem iść na bliższe drogi... i światło mi zgasło.

— Jakżeś ty się mógł tędy puścić? Gdzie-byś był zaszedł tą drogą?

— Szedłem raz tylko i pomyliłem.

— Gdzież twój kaganek? Cóż to nie miałeś zapalek?

— Miałem — ino jeden.

— Ino jeden? — to z ciebie tęgi górnik!

— A niebażesz się Jaśku? spytał śmiejąc się stary górnik.

— Nieee... i czegoż bym się miał bać? — odrzekł Jasiak przeciągle.

— No, to dziękuj Bogu, żeśmy cię tak rychło znaleźli, bo byś tu był pewnie albo wpadł do szybu, albo długą postną nowennę odprawiał.

— Zkądżeście wy się tu wzięli?

— Przyszliśmy po strzelce odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam z dymu zaduch ogromny.

Jasiak już miał wytłomaczone wszystkie huki i szумы, które wśród lęku brał za skutki pożaru. Pewna tylko rzecz jeszcze była mu niejasna. Więc wziął od jednego z górników rozjarzony kaganek i obchodził zwolna ściany komory. Zobaczył znów płaszcz biały, ale teraz zbliżył się do niego bez lęku i dotknął rękami wapiennego nacieku, który w tem miejscu w takiej ludzkiej wzrok formie skałę pokrywał.

— Cóżty tam szukasz Jasiak? — pytali go górnicy.

— Rzuciłem tu gdzieś kaganek, a ot jest — rzekł wesoło... — Śmiać mu się teraz chciało z siebie okrutnie i z tych duchów brodatych i ze strachu samego, ze wszystkiego, całym sercem; więc dając wyraz swej radości krzyknął, aż zadudniała komora:

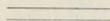
— Do domu bracia!! bo tam jadło czeka, a ja mam dyabli apetyt!

— Zdaje się, że ciebie jeszcze coś tam czeka, —
rzekł jeden z towarzyszy.

Wtedy Jasiak wziął się pod boki i zaśpiewał do-
nośnie:

— Maryś moja, Maryś!

I z tą wesołą piosenką, rozlegającą się szerokim
echem, opuścili komorę, gdzie przed chwilą gościła —
śmierć.



MIĘDZY ZIEMIĄ A NIEBEM

WIEDZY ZIEMIA A NIEBEM

Panno Maryniu!

Ujrzał ją w szarym płaszczyku z płótna, który zupełnie krył jej suknię; w czapeczce męskiej, tak była zmienioną, że w pierwszej chwili nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego tu w głębi kopalni tak niespodziewanego zjawiska, więc powtórzył tylko półgłosem:

— Panno Maryniu!

Ależ nie! — to nie pomyłka! To te same niezabudki z pod długich rzęsów rzucają na niego swe błękitne, słodkie spojrzenie! ta sama kaskada splotów złotych, które pod czapeczką pomieścić się nie mogą, te same usta, jak świeżo zerwane jagody, z znamienym grymasikiem półuśmiechu, odsłaniającym biały rąbek ząbków!... To być nie może kto inny!

— Panno Maryniu! — czy to pani? — powtórzył głośniejsze.

Stojąc na małym wzniesieniu w głębi komory wyglądała, jak posąg z kamienia wykuty, jak Afrodyta, w podróżnym płaszczyku, klasnęła w dłonie i zawołała śmiejąc się serdecznie:

— Tak, to ja, proszę pana! w całej mej okazałości!

— Jezus Marya! czy być może?

— Stało się proszę pana...

— Ależ to cud nad cudy — mówił inżynier — zatopiony zupełnie w jej spojrzeniu. My górnicy oswojeni dosyć jesteśmy ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Odwiedzają nas przeróżne duchy: Skarbniki, Gnomy, Koboldy, Świstaki, ale Rusałek, Świtezianek dotychczas w kopalni nie było!...

— Komplementy...

— Jakimże to sposobem pani się tutaj zjawiła?

— Najzwyczajniej — koleją.

— Zapewne zwiedzić sławną kopalnię?

— Trochę dlatego, a troszkę i dla przysłowia: „nie chciała góra do Mahometa“...

— Panno Maryniu!

— No, no, pogadamy jeszcze o tem. — Pan się ogląda: kto czuwa nademną. Są, są aż dwa stróże Anioły, dwie ciocie, które jak widzę już pilnie czynią za mną poszukiwania.

— Marie! — dał się słyszeć głos piskliwy — *au nom de Dieu! ou est elle? Est-ce possible?* — Marie! — *elle cour comme un diable.*

— Jestem, ciotuniu droga, jestem! — wołała Marynia.

Dwie starsze panie wyglądające trochę śmiesznie w nadto obszernych płaszczach i za małych czapczkach sterczących na czubku głowy, prowadząc się pod ramię torowały sobie z trudnością drogę przez ściśniony tłum zwiedzających, śledząc z daleka bacznym wzrokiem rozmawiającego z Marynią obcego pana.

— To inżynier górniczy pan Zdzisław Miński — przedstawiła Marynia, a to: ciocia Kamila i ciocia Józia.

Obydwie panie uśmiechnęły się do Mińskiego przyjaźnie.

— Słyszałyśmy wiele o panu — mówiła ciocia Kamila — więcej może niż pan przypuszcza. Prawda Maryniu? Cieszymy się niezmiernie, że towarzyszyć nam będzie tak znakomity cicerone.

— Moja Kamilciu — ciągnęła ciocia Józia — musimy prosić także pana inżyniera, by otoczył swą specjalną opieką Marynię. Ona nam się ciągle gubi. Więc jeżeli to pańskim urzędowym czynnościami przeszkadzać nie będzie, prosimy bardzo by jej pan podał rękę i poprowadził w tem królestwie nocy.

Zdzisław zbliżył się do Maryni, której oczy się śmiały, gdy na życzenie ciotki wsunęła pod jego ramię małą rączkę. A jemu się zdawało, że na tle czarnego kitla tuż przy jego piersi wykwitnął tu, pod ziemią kwiat wiosniany, wonny, pełen czaru, przepojony ciepłem słońca, o pięciu białych listkach z różowemi kończynami, kwiat, który on posiadać będzie długo — może wieczność całą.

— My tam wracamy do towarzystwa znajomych z Zakopanego, zupełnie już spokojne o nasz skarb, pod taką dzielną opieką — prawda Józiu? — rzekła ciocia Kamila.

— Prawda Kamilciu — tylko przepróż odrazu pana Zdzisława, że na wypadek, gdyby nam trzeba było, jakiegoś fachowego wyjaśnienia ponudzimy pana troszeczkę.

— Najchętniej! — odparł inżynier — nie słysząc nic zupełnie, cały zawładnięty posiadaniem tej drobnej rączki. Cisnął ją mocno do piersi, chcąc się wśród tłumu przesunąć ku oświetlonej oliwnemi lampkami kaplicy świętego Antoniego pełnej kamiennych, wykutych w soli figur, którym migotliwy płomień nadawał pozory ruchu i życia. Gości, wchodzących do kaplicy

wprost od szybu spotykał pewien zawód; zdawało im się, że ujrzą świątynię z białej, kryształowej soli, a tymczasem ta sól była raczej do brązu podobną. Mimo licznych lampek, chłonna światła ściany prawie czarne, bez żadnego refleksu nie zdołały rozprószyć cienia, który zalegał grubą warstwą wnęki i nisze kaplicy, krył i zatracił kontury sklepienia, gdzie w postaci czarnego gołębia unosił się Duch święty. Gdyby nie światła ustawione poza figurami, które przeświecały, jak alabaster przyćmiony, trudnoby było wierzyć, że te rzeźby są istotnie z najczystszej soli, tak je pokryła mocno patyna wieków. Zbyteczne tu światła bengalskie lub łukowe! Po wilgotnych ścianach lśniących miejscami, jak z polerowanego spiżu ślizga się połysk krwawy z lamp oliwnych świecących w aureoli mgły podziemnej. Na płomienie padają ze sklepienia krople ciężkie — lży ziemi. Jedna tylko lampa wieczna pali się przed ołtarzem spokojnie — snuć, że ona tylko sama tu płonąć powinna, by w tym półmroku właśnie mógł górnik całą duszą oddać się modlitwie i całe serce otworzyć przed tym Chrystusem, który już tyle wieków patrzy na jego dolę.

— Ot, pierwszy etap! — zawołała ciocia Kamila — to też zaraz poprosimy pana inżyniera o wyjaśnienie.

— Służę... więc najpierw trochę historii. Kaplica wykutą została za królowania Jana Sobieskiego w jednej bryle solnej, odkrytej tuż obok szybu Daniłowicza.

Figury te z jednolitych brył solnych przez nieznanych rzeźbiarzy ciosane, zanim je zań czasu wyszczerbił i wilgoć podziemi zdeformowała i zniszczyła, przed stawały podobno kiedyś nawet artystyczną wartość, jakby ze słów Franciszka Wężyka wnioskować należało. Niestety cytatem służyć nie mogę.

— Otóż ja panu dam zaraz dowód, że przybyłam do sławnych kopalń Wieliczki należycie przygotowana — rzekła Marynia — i stanąwszy na schodach u wejścia do kaplicy zaczęła deklamować skandując wyrazy:

Na samym wstępie w kręte min rozległych ściany,
Stoi z soli przybytek Bogu zbudowany,
Kunsztowne arcydzieło pracowitej ręki...
Tu człowiek najpierw Twórcy korne złożył dzięki,
Gdy z pochodnią przeczucia w ziemię zapuszczony
Odkrył soli pożywnej skarb nieprzeplacony.
Tam od wieków bezlicznych niekształtne bryły
Bez życia i bez ruchu w ciemnych lochach tkwiły,
Lecz ta, co świat w dowcipne przyozdabia dzieła,
Słonych głazów swym rylcem sztuka się dotknęła:
Wnet (o dziwy!) sól twarda zmienia się w ołtarze,
W kolumny i posągi i żyjące twarze,
Te wierne wziętym kształtem stoją w głębi ziemi
A krocie lat i ludzi przemija nad niemi.

Miński nie spuszczał z Maryni oka, gdy skończyła zaimprovizował półgłosem, tak że ciotce zajęte oglądaniem figur nic nie słyszały:

Lecz czy ten twórca myślał wtedy,
Gdy szedł w podziemne światy,
Że może kiedyś w tych głębinach,
Aniołek być skrzydlaty?
Lecz czy ten twórca myślał wtedy,
Gdy kuł tę słoną skałę,
Że takie cudna usta będą.
Tu głośić jego chwałę?!

— Pan poeta? — szepnęła Marynia.

— Każdy górnik jest poetą, choćby rymów dobrać i wierszy składać nie umiał; żyjemy i pracujemy na przełęczy dwóch światów, a to samo już otacza nasz zawód urokiem poezji.

— Prosimy o szczegółowe objaśnienia! — wołały ciotce — kto są te dwie figury obok kazalnicy?

— Po prawej stronie św. Paweł, po lewej św. Piotr — odparł inżynier — a kiedy już jestem w roli cicerona — rzekł wchodząc do presbiteryum — to proszę słuchać dalej cierpliwie. W czworograniastej niszy za wielkim ołtarzem Matka Boska, trzymająca Dzieciątko Jezus, jakby je podać chciała stojącemu obok św. Antonienn Padewskiemu.

— Ciszej trochę — rzekła krótkowidząca ciocia Józia — oto jacyś dwaj mnisi klęczą przed ołtarzem zatopieni w modlitwie — nie przeszkadzajmy.

— Ależ kiedy oni tu weszli? — spytała ciocia Kamila.

— Mniej więcej przed trzema wiekami pani dobrodziejko, bo to dzieła sztuki tego samego, co i kaplica, nieznanego artysty — odparł inżynier.

— Więc z soli? — Boże mój, jak żona Lota — zauważyła ciocia Kamila dotykając zakonniczego kaptura klęczącej postaci.

— Po lewej stronie presbiteryum — objaśniał dalej inżynier — statua św. Franciszka Ksawerego, po prawej św. Kazimierza, a tam obok w ozdobnej niszy posąg króla Augusta Mocnego, który po otrzymaniu od arcybiskupa zezwolenia na odprawianie Mszy świętej w kopalni, ustanowił dla saliny osobnego kapelana. Pierwszym kapelanem był ks. Marcin Kurowski, który w roku 1698 odprawił pierwszą Mszę w tej kaplicy.

— A te świeczniki i pająki z perełek i kryształów solnych czym są dziełem? — pytała Marynia — i jak te perełki powstały.

— Na to taka odpowiedź — rzekł Zdzisław.

Skąd się wzięły te perły? — jest o tem podanie,
Godne by je opisał ktoś mową wiążaną:
Z łez powstały tych, które tutaj wyplakano!...
Tam z ołtarza Antoni święty patrzył na nie.
I szedł do nieszczęśliwych i łzy ciężkiej doli
Sam nizał na niteczki — dziw czyniąc nad dziwy,
Bo górnik zbywszy tutaj wszystkiego co boli
Wracał na światłoienne: wesoly, szczęśliwy.

Dokoła inżyniera zgromadziło się wiele osób by posłuchać opowiadania w skutek czego ciocie zostały ludzką falą odsunięte daleko... Szli teraz oboje chodnikiem tak wąskim, że dwie osoby ledwie obok siebie poruszać się mogły i tak niskim, że trzeba było pochylać głowy, w skutek czego Zdzisław dotykał czasem skronią włosów Maryni, co było powodem, że przeklinał w duchu rozmiary innych chodników kopalni wielickiej, gdzie można przejść swobodnie, jak w kurytarzach obszernych.

Weszli teraz do komory „Urszuli“ słabo tylko oświetlonej tak, że z rozmiarów jej nie można było zdać sobie sprawy. Towarzystwo całe czekało tu na tych, którzy się opóźnili zwiedzając kaplicę. Marynia wskutek ścisku musiała oprzeć się mocniej na rękę swego opiekuna. Mrok gęsty zalegał tę stronę komory, w której stali; czasem tylko zabłąkany z oddali refleks kaganka oświecał ich źrenice, które płonęły jak cztery gwiazdy — w zodiaku miłości. Pod wrażeniem tej chwilowej ciemności zapanowała cisza zupełna, której nikt głośniejszem słowem przerywać nie śmiał... A im się zdawało, że zatracają powoli bytowanie ziemskie i jak para elizejskich cieni szczęśliwi i połączeni iść będą odtąd razem przez wieczność całą...

Wtem z kąta komory dał się słyszeć, jakby syk węża. Z brutalną, druzgocącą ciemność siłą: stało się

światło, buchnęła orgia bengalskich płomieni, tak, że musiano przysłaniać oczy blaskiem rażone. Zamiast jednak zyskać, komora straciła na tem świetle; występowały plamy od kopciu na ścianach i powale, harmonię jednolitości psuło opierzenie z belek i desek, rozmiary komory można było wzrokiem obliczyć; a tylko niedoścignione i nieobliczalne nęci nas swym urokiem.

Światło zgąsło, napełniając komorę żrącym dymem i czarnym, jak kir odmętem, w którym przez chwilę nic widać nie było.

— To tak, jak błysk wielkiego szczęścia — rzekła Marynia — oślepia i mrok zostawia w duszy. Chodźmy stąd, bo słyhać znowu syk płomiennego węża.

— Jeszcze zabawimy tu chwilę przed tym portalem. Brama ta wyciosana została, a po części ułożona z kwadrów soli, w roku 1831 przez górników rekonwalescentów, którzy w czasie grasującej w tych stornach epidemii cholery od śmierci się uratować zdołali.

— Ot i tutaj, jest także w zagłębieniu ściany wykuty krzyżyk — zauważyła Marynia — wszędzie przy drodze widać takie kapliczki, a przed nimi światła płonące. Górnicy są pobożni — prawda panie?

— Górnicy żyć i pracować muszą z myślą o śmierci, bo każdej chwili są narażeni na niebezpieczeństwo, które przewidzieć się nie da, więc też stawiają sobie, gdzie mogą ołtarzyki, by przed nimi, gdy przyjdzie ostatnia godzina pojednać się z Bogiem... — odparł inżynier.

Schodzili po wygodnych stopniach wykutych w soli, w szerokim chodniku, który uważać było można za westybul wiodący do komory „Michałowice“. Na ciemnem tle chodnika, jak w dużym wybitym oknie

ukazała się nagle w purpurowym świetle — otchłań. Z galeryi obok schodów można było spojrzeć w głębinę na dno komory, z kądem od szarej ludzkiej rzeszy dolatywał gwar rozmów i okrzyki podziwu.

— Komorę tę, to znaczy, tę jednolitą bryłę soli zaczęto wydobywać w roku 1717, a ukończono w roku 1761, gdy kopalnia była pod zarządem Michała Czarnockiego i dla tego nazwano ją „Michałowice“ — objaśniał inżynier. Wydobyto ztąd około milion centnarów soli, wszystko pracą ręczną: żelazem, kilofem. Oto rezultat pracy, która trwała blisko pół wieku!

— A ten ogromny świecznik tam u szczytu sklepienia?

— Z kryształów solnych; dzieło naszych górników.

— Tyle na nim świeczek, że wygląda, jak olbrzymie drzewko Boże, niewidzialną ręką anioła trzymane w przestrzeni.

Komora ta...

— Niech pan nie używa dla tak wspaniałego kościoła tej brzydkiej fachowej nazwy. Słowa te wyrzekła Marynia, gdy po kilkuset schodach zeszli na spód komory i stanęli tuż przed rusztowaniem, wiązanem tak kunsztownie z całych pęków pni olbrzymich, odartych z kory, że zdawały się być nie podporą, za którą służyły chroniąc splekany strop od zawalenia, jeno misterną kratą w olbrzymich wrotach gotyckiego tumu, rozdzielającą nawę od presbiteryum.

— Oto świątynia wykuta krwawicą górnika dla bóstwa — Pracy! — zawołał inżynier.

— I pomyśleć, że to arcydzieło trudu i mozołu — ciągnął dalej z rosnącym zapałem — skazane jest na zagładę. Strop pęka z każdym rokiem więcej. Próżno silimy się, by go podpierać coraz mocniejszymi, kun-

sztowniejszymi filarami, wszystko napróżno; trudno się oprzeć myśli, że coraz spieszniej zbliżamy się do chwili, w której ta świątynia wspaniała, wytrwałą pracą mrówki ludzkiej stworzona — istnieć przestanie!

W tej chwili purpurowy promień ogni bengalskich zatopił całe presbiterium w krwawym blasku, na którego tle gigantyczne białe filary rusztowania zdawały się być dziełem Tytanów.

— Marność nad marnościami i wszystko marność! — zawołał inżynier.

— Serce się krwawi — dodała Marynia — że człowiek taki bezsilny...

— Przychodzi mi na myśl pewna analogia — rzekł inżynier — oto świątynia ludzkiego serca opromieniona żywym blaskiem miłości. Wszystko wygląda cudownie, zdaje się, że trwać będzie wieki całe niezmiennie.

Wtem — zwątpienie działać zaczyna... Na stropie komory ukazują się rysy, z początku drobne, potem coraz większe. Napróżno podpieramy je belkami: pocieszenia, otuchy, nadziei, wszystko na próżno! — kres już nie daleki — dokończył smutnie.

— Tylko, że między tą, a tamtą świątynią zachodzi pewna różnica — rzekł.

— Jaka? — spytała Marynia.

— Świątynię serca można ocalić jednym szczerem słówkiem...

— Dlaczego? — spytała Marynia, przystając na chwilę i patrząc mu głęboko w oczy — dlaczego pan wyjechał ze stron naszych i wcale nie dał znać o sobie?

— Po co? — wszak nie otrzymałem od pani, ani jednego marnego słówka, któreby mnie upoważniało do tego.

— JAKO? — więc pan chciał, ażeby panna dobrze wychowana...

— Otóż to ten nieszczęsny konwenans, ta uniwersalna politura towarzyska zawsze na jedną modłę! — Kawaler z mniej lub więcej dobrą posadą bywa w domu w roli konkurenta, może odejść z kwitkiem, lub ewentualnie zostanie przyjęty. Następują uroczystości oficjalne: ślub i wesele, poczem żonie wolno już męża kochać. Wszystko ściśle według przepisów i prawideł. Niech Bóg broni, żeby się przedtem, jakim gorętszem, słówkiem zdradzić kiedy!

— Tak, a wy na to słówko czekacie? — ażeby zdobywszy serce naiwnej, odejść z miną tryumfatora odepchnąć, porzucić, zapomnieć! Stare, znane, dzieje!

— Może... ale ja nie pojmuję miłości, gdzie niema pewnego choćby chwilowego tylko zdania się na łaskę i nie łaskę losu. Nie wierzę w takie krępowane konwenansem uczucie, chociażby nawet miało dużo pozorów szczerości.

Marynia spoważniała, nieznacznie odsunęła swą rękę i trzymała się sztywnie z daleka.

— Zeszliśmy na drażliwy temat... może przerwiemy — odezwała się po chwili smutnie.

— Wracam znowu do roli cicerona — rzekł inżynier — oto komora „Drozdowice“, której strop był do niedawna bez wszelkich podpór.

— Świątynia miłości *szczęśliwej* — rzekła Marynia, jakby do siebie.

Komora „Drozdowice“ tak się przedstawia, jak gdyby ktoś westybul olbrzymi z wykutymi na całą szerokość w litej skale stopniami odwrócił sufitem na dół. Stąpając po równej, jak stół powale mamy wysoko nad głową odcinające się przy jasnym świetle bengalskim z plastyką silną obszerne, masywne schody, po których mógłby kroczyć swobodnie kolos rodyjski.

To wręby powstałe z wyłamania brył solnych, które górnik nazywa: „bałwanami“.

— Co to za łuki, półkola i linie równe idące obok przez wszystkie ściany, od góry aż do dołu? — spytała Marynia.

— To runy wypisane na ścianach solnych kilofem górnika, który te bryły odwalał. Spróbujmy je odczytać... Oto duży taki wręb jeden mamy tu przed sobą. Robota się zaczyna żelazem od góry... Widzi pani te równe, regularne łuki, kreślone silną pewną ręką — ku dołowi. Te same i tak głębokie wręby czynione kilofem widzi pani po drugiej stronie, na górze i na dole. Teraz już pół roboty skończone. „Bałwan soli“, jest od korpusu bryły macierzystej, ciężką i długą pracą odcięty, trzeba go jeszcze tylko od ciała solnego odłączyć, odłupać.

Tu już przychodzi zmyślność, pracy z pomocą. Zaczyna się wbijanie klinów stalowych rzędami w przyrośnięty jeszcze plecami do bryły bałwan solny. Górnik wyzyskuje łupliwość soli i doskonale rozróżnia po dźwięku, jak rychło bałwan się oderwie... Czasem tylko słuch go zawiedzie... Wtedy urwany nagle i niespodziewanie „bałwan“ przewala swe olbrzymie cielsko i przygniata całym swym ciężarem niebacznego górnika, który się w porę usunąć nie zdołał, spełniając w ten sposób choć bezwiednie akt zemsty na tym, który go śmiał oderwać od pnia macierzystego.

— Czy zaszedł kiedy podobny wypadek? zabiło tak górnika? — spytała Marynia.

— Gdybyż choć zabiło od razu! Spłaszczyło mu nogi obie, tak, że się męczył długo, za nim ksiądz przybył ze „świata“ i pojednał go z Bogiem. Działo się to właśnie w tem miejscu, gdzie jakiś rzeźbiarz

nieuczony wyciosał na pamiątkę wieczną, w ścianie solnej monstrancje.

— Jakie te wasze dzieje są wszystkie smutne!

— Dlatego, by rozchmurzyć czoła zwiedzającym urządzamy zawsze w kopalni huczną muzykę... Słyszysz ją pani.

Weszli na oświetlony rzeźbionymi kolorowymi lampionami most długi, który prowadził do dwóch obelisków z soli z napisami złotymi, gdzie się przeważnie skupiała publiczność. Most zaopatrzony w wysokie poręcze przedzielał wzdłuż głęboką komorę. Dno komory rozświetlało mnóstwo rozstawionych w różnych odstępach i z nierówną siłą płonących kaganków.

— Kaganki życia! — rzekł Miński.

— Znam je trochę z cudnego obrazu Stachewicza.

— On tu do tego właśnie obrazu czerpał natchnienie.

— Ten z żywym płomieniem — to pani, a ten gasnący: to mój — rzekł Miński i mówił dalej półgłosem patrząc w dół na światła:

Na dnie komory tak, jak na ludzkim padole
Świecą kaganki życia jasno — świecą żywo,
Przędziwo nasycone krwią młodą, oliwą,
Bujnie płonie, złocistą tworząc aureole...

Idą lata, przychodzą troski, smutki bole,
Wichry i burze życia... płomienia przędziwo
Zaczyna schnąć, przygasać, pali się leniwo,
Łez wilgoć tłumi rychło energię i wolę!

Jeszcze się broni śmierci, jeszcze chwyta tchnienie,
Jak konający, gdy mu oddechu zabraknie...
Ostatnie rzuca błędne dokoła spojrzenie.

Życia! życia! wyschniętą piersią kropli łaknie.

Na próżno! Zgon przychodzi... jeszcze wzrokiem toczy...
Błysk... Dym... i ciemność wieczna... zgasy drogą oczy.

— Wie pan, że jest coś, co mnie dla tych kaganków wcale nieżyczliwie usposabia — rzekła Marynia. Ogromnie wiele w nich egoizmu, odosobnienia... Dlaczego właśnie mocą samego tylko przeznaczenia mam płonąć i wtedy także żywo i jasno, gdy już zgasły te dla mnie drogie bratnie oczy?!... I ja równocześnie chcę razem z niemi zapaść się w ciemność wiekuistą.

— Ktoby tam mówił o takich smutnych historyach, gdy muzyka gra skoczego walca — zawołał Zdzisław wesoło. Pokażę zaraz pannie Maryni, coś wielce oryginalnego. We framudze skalnej ukryta piramida z najczystsze go kryształu soli. A gdy za nią postawić kaganek to prześwieca i widać litery pamiątkowego napisu. Ciekawa rzecz, gdybym tak serduszko panny Maryni przeświecić zdołał: czy i jakie wyczytałbym tam litery?

— Łatwo odgadnąć jakie: K. i J. t. j. ciocia Kamila i Józia; nie mam rodziców, więc prócz tych dwóch kochanych opiekunek... nikogo więcej na świecie! „Smutno jest każdemu człowieku samemu, lecz stokroć samotnej kobiecie!“ — mówi poeta. Ale a propos tych opiekunek moich: gdzie one się podziały?

— Znajdziemy je z pewnością na podziemnym dworcu kolei, dokąd teraz właśnie zdążamy — rzekł Zdzisław, a przyciskając mocno do piersi rękę Maryni, dodał:

— Zresztą, powierzono mi opiekę nad panią więc ciocie są zapewne spokojne zupełnie.

Całe towarzystwo szło przyspieszonym krokiem, w kierunku, z kąd coraz mocniejszym odbity echem dochodził odgłos kapeli górniczej...

Nagle, jak po zaklęciu Sezama otwarły się wrota chodnika i przedstawił się oczom zdumionych pałac z tysiąca i jednej nocy, jak z białego wykuty marmuru, płonący tysiącem lampek, które w girlandach i liniach

równych tworzyły jasne, świetliste kontury koronkowej budowli podziemnego dworca kolei. Muzyka umieszczona na galerji wysoko u stropu komory, rzucała z trąb mosiężnych pełne, odbite z wyborynym rezonansiem od skał kamiennych tony, na płynące nieustannie fale publiczności, która wesoło gwarząc skupiła się przy suto zastawionym bufecie.

— *Marie! au nom du ciel — ma chérie!* — gdzieś ty się podziała? — krzyknęła ciocia Kamila.

— Sądziliśmy, że pan popełnił *raptus puellae!* — zawołała ciocia Józia.

Obydwie panie były ogromnie rozbawione, buzie miały pełne kanapek, piły piwo w otoczeniu licznych znajomych, którzy wprost zachwyceni byli dworcem kolei.

— Ot, to mi naprawdę imponuje — mówił jakiś zażywny jegomość — światła mnóstwo, muzyka wyborna, bufet pyszny!

— I to wszystko kilkaset metrów pod ziemią — zauważył drugi.

— A mnie panie bdziu nic nie imponuje! — rzucił jakiś malkontent. Jama jest jama, czy ciemna, czy oświetlona. Przy tem panie bdziu, co krok to oszukaństwo. Gadali: sól, sól, wszędzie sól, sama sól, a ot, gdzie rusz, to drzewo.

— Ciszej trochę, bo tu inżynier stoi.

— Niech słyshy panie bdziu, co mi tam.

— *Marie! n'as tu pas faim? prenez donc quelque chose* — mówiła ciocia Kamila, ciągnąc Marynię do bufetu.

— Dziękuję cioteczce i proszę bardzo niech cioteczka do mnie mówi po polsku, bo pan Zdzisław nie lubi mocno edukowanych panien.

— Nie wierz no ty tak wszystko panu Zdzisławowi — rzekła ciocia grożąc palcem — *les mineurs sont flatteurs* — mówi podobno przysłowie.

— To ktoś bardzo złośliwy wymyślił pani dobrodziejko — bronił się inżynier. Te twarde skały, w których pracujemy, nie są symbolem prawdy szczerej?

Nowa fala przybyłych prac ku bufetowi rozdzieliła rozmawiających. Kapela zagrała hucznego mazura, gwar podsycany napojami, potęgował się z każdą chwilą.

Marynia i Zdzisław znaleźli się wśród natłoku tuż koło bocznego chodnika.

— Przyznam się panu, że ta część kopalni najmniej mi się podoba — rzekła Marynia.

— Jeśliby to wogóle było możliwe, jeśliby z zasadami dobrego tonu i *savoir vivre'u* nie weszło w kolizję, jeśliby pani miała na tyle odwagi, to ośmieliłbym się wystąpić z propozycją niedalekiej podziemnej wycieczki.

— Z góry zgadzam się na każdy projekt mego opiekuna.

— Oto, zamiast przebywać w tym ścisku i gwarze jeszcze przeszło pół godziny, pójdziemy tą drużyną w ustronną część kopalni i tam zobaczy pani tak zwane „pustki“, t. j. miejsca, w których już nie pracuje się od kilku wieków... Zobaczy pani rzeczy zajmujące, ale i niebezpieczne trochę.

— Chodźmy, chodźmy, co prędzej mówiła gorączkowo Marynia, żeby tu czasu nie tracić daremnie... Szli z początku szeroką, wygodną „podłużnią“, mурowaną z kwadrów solnych. Przez chwilę jeszcze padała w chodnik łuna z rześście oświetlonego dworca i biegły za nimi tony mazura. Skręcili w boczny chodnik, który był wąski i niski, z powalą podtrzymywaną bel-

kami, spoczywającymi na długim szeregu ściennych filarów. Zostali sami z jednym tylko ruchliwym światłem kaganka, który rzucał ich długie cienie, zbliżał je ku sobie i łączył w jedną postać podobną do widma, skradającego się za nimi przez skał załomy... Jeszcze dołatywało ich z oddali echo muzyki, ale powoli, jak ptak zmęczony długą drogą, ton każdy coraz słabsze miał skrzydła, przysiadał we wnękach i zagłębieniach ścian, aż wreszcie najsilniejszy z nich uderzył o skręt chodnika i — skonał.

Zwrócili się teraz ku górze „pochylnią“ dosyć stroma, śpiesznie, bo, do pustek było jeszcze dosyć daleko. Szli oddychając ciężko w milczeniu takim, że słychać było przyspieszone uderzania ich serc. Nagle, przed wejściem do obszernej komory, inżynier przystanął i rzekł wskazując ręką:

— Jesteśmy u celu, oto jedna z najstarszych „pustek“, z której ścian patrzy na nas przeszło dziewięć wieków.

Widzi pani co to tam się dzieje?

Marynia spojrzała w górę... Jakby pod naciskiem olbrzymiego ciężaru, który zwałił się na słabą powagę komory, strop cały był pokryty gęstą siecią rysów i pęknięć. Podtrzymujące go na całą długość grube pnie drzew, złamane zostały w połowie, jak słabe patyczki i trzymały się na kilku tylko włóknach zwrócone ku sobie iglicami drzazg. Prócz tego tuż nad wejściem widać było szeroką na kilku decymetrów i głęboką szczelinę, która zdawała się być otwartą paszczą potwora, gotowego każdej chwili pochwycić w czeluść czarną intruza, zakłócającego mu swem zjawieniem się ciszę i spokój — pustkowie.

— Ależ to każdej chwili runąć może! — zawołała Marynia.

— To też do tego tylko miejsca prowadzę tych, którzy pragną widzieć „pustki“.

— A tam moja świątynia dumania — rzekł śmiejąc się inżynier i wskazał w dal ręką; tam jest ławeczka moja nad wiecznie szemrzącym strumieniem, zupełnie jak w zielonym gajku. Tam idę pomarzyć czasem, gdy mną zawładnie tęsknota.

— Jaby tak chciała zobaczyć tę ławeczkę.

— Pani! ależ to niebezpiecznie! można zginąć pod zwaliskiem — rzekł wskazując na strop splekany.

— Z panem poszłabym zaraz.

— A zatem chodźmy, dzielna, odważna panno Maryniu!

Wziął ją pod rękę mocniej i za chwilę byli już przy ławeczce.

Patrzył teraz na nią zupełnie innemi oczyma. Więc to nie jest ta zwyczajna tuzinkowa, ta tylko dobrze wychowana panna na wydaniu, za którą ją dotychczas uważał; ta lekliwa, licząca się z formami, uważająca na krok każdy dzierlatka, nie zdolna, by pójść za popędem serca? — jeno nie zwykle odważna dziewczyna, co niebezpieczeństwu i grozie śmierci śmiało, w oczy, spojrzeć umie! Pierś wezbrała mu takim uczuciem radości, że gdyby nie konieczność panowania nad sobą byłyby tę swoją dzielną Marynię pochwycił w ramiona i w gorącym, długim uścisku wypowiedział wszystko, co mu się teraz z serca gwałtownie do ust cisnęło.

Marynia dostrzegła w Zdzisławie tę przemianę i uczuła się bardzo szczęśliwą.

— Siadajmy teraz tu nad strumykiem, na ławeczce marzyciela — rzekła — i niech nam się zdaje, że jesteśmy w zielonym gajku... Słuchajmy, jak szemrze ten strumyk...

Zdzisław mówił:

Głęboko w ziemi w skał twardej osłonie,
Strumień się sączy nieznany dla świata,
Szmer wody uszu ludzkich nie dołata,
Mętne, jak kiry czarne, jego tonie.

Nigdy ponad nim tu słońce nie płonie,
Obcą mu tęcza motyli skrzydlata,
Zefiru tchnienie, kwiatów barwna szata...
Nie patrzy w niego lazur w gwiazd koronie...

Przez długie wieki ciche wody cieką,
Nikt o istnieniu nie myśli strumienia...
Nagle, dopływem tajemny wezbrany,

Strumień się staje wielką rwącą rzeką
Podmywa komór filary i ściany,
Tytanów dzieła w zapadlisko zmienia.

— I to wszystko pan przemyślał tu na tej ławeczce? — spytała Marynia.

— Ach, znacznie więcej jeszcze; ot tam na zrębie skały jest wyryty tytuł, cudnego niedokończonego jeszcze poematu.

Marynia przeczytała wyciosany młotkiem górnym napis: MARYNIA.

— I to, to czupiradło ma być takim ładnym poematem? — zawołała śmiejąc się głośno, aż echo zadzwoniło o ściany.

— Z tak trudnym do spamiętania tytułem, że musiałem go często powtarzać. Widzi pani:

Ich schnitt'es gern in alle Rinden ein,
Ich grüb'es gern in je-den Kieselstein
Ich möcht'es sän auf je-des frische Beet.

zanucił Zdzisław:

- Zna pani tę śliczną piosnkę Schuberta?
— Znam i zachwycona jestem jej refrenem:

Dein ist mein Herz!
Dein ist mein Herz!
Und soll es ewig, ewig, ewig bleiben!

— Ale czas nam zfinalizować wycieczkę naszą! — rzekł Zdzisław. Jezus Marya! już dobre pół godziny minęło! — zawołał. Musimy spieszyć bo co sobie Cioteczki pomyśla.

— Prawda! a zatem gonitwa za ciocią.

Ujęli się za ręce, jak rozbawione dzieci i biegnąc prawie spieszyli ku dworcowi zkad ich wkrótce doleciało echo górniczej kapeli, jednak już, jakby ostatnie, poczem cisza zapanowała zupełna; gońcem ich tylko był w chodniku odgłos własnych, przyspieszonych kroków.

— Ile czaru prawdziwej poezyi jest w takim pustkowiu — rzekła Marynia przystając i zwalniając kroku, by odetchnąć swobodniej.

— A jednak rzecz niepojęta, tylu poetów z iskrą bożą, tylu mistrzów słowa i tonów bawiło w tych podziemiach, a przecież nie stworzyli ani jednego utworu, któryby świadczył o silnem wstrząsającym wrażeniu, jakie sprawiła na nich kopalnia.

— Któż tu był?

— Pierwszy Goethe w r. 1790.

— I tu może po raz pierwszy zawołał: *mehr Licht!* — więc nie dziw, że on do podziemnego świata wiecznych cieni zapalić się nie zdołał. Może w tem właśnie szukać należy ogólnej przyczyny braku poetyckich utworów.

— Może... Z wybitniejszych oprócz poezyj Körnera, który był górnikiem z zawodu, znam tylko jeden dłuż-

szy wiersz Ibsena p. t. „Górnik“, który napisał prawdopodobnie nie będąc wcale w kopalni:

W głębi, gdzie króluje noc
Wabi skarbów, bogactw moc
Dyamenty i klejnoty,
A dokoła kruszec złoty.

Gdy tam wszedłem pierwszy raz,
Gdzie bez troski mija czas:
Gnomom chciałem wziąć z ukrycia
Utajoną prawdę życia.

Żaden nie wyjawiał mi,
Co tam w głębi ziemi tkwi...
Jeszcze żaden blask płomienia
Nie zmógł takich głębi cienia.

Cóż to złuda? któraż z dróg
Wiedzie tam gdzie prawdy próg?...
Młocie, otwórz mi zaporę
W tajną serca skał komorę!

Nie przestańmy młotem bić,
Aż się życia starga nić...
Gdzież jutrzniane blaski słońca?

.....
Ciemna wieczna noc bez końca...

— Jakie to ogromnie smutne i beznadziejne — rzekła Marynia... Szkoda, że nie zwiedzał kopalni ktoś z naszej wielkiej trójcy: Adam, Juliusz, lub Zygmunt.

— Byli za to mistrze tonów: Karol Kurpiński w r. 1819 i Moniuszko w roku 1865, niestety jednak żaden nie zostawił nam w spuściźnie ani jednej piosenki górnika. Był także w r. 1883 druh Adama — Odyniec.

— A z młodszych...

— Przed kilku laty: Paderewski, Wyspiański, Tetmajer...

— Kto wie: czy widok tego strumienia, nie natchnął Tetmajera do napisania: Mistycznej rzeki?

— Wątpię, bo w tej części kopalni nie był z pewnością.

— Ot widzi pan i jest rozwiązanie zagadki. Trudno, ażeby taki dworzec kolei, przypominający pełne ludzkiego mrowia dworce „na świecie“ w porze nocnej, by ten krzyk, gwar, ścisk, tłum, zdołały wzbudzić natchnienie silne, głębokie.

— A może właśnie przeciwnie — rzekł inżynier:

Może poezją nie jest ciche śnienie,
Jeno: ruch, walka, czyn, siła i życie!

Weszli do komory, gdzie był dworzec kolejowy i gdzie górników kilku zajmowało się spieszenie gaszeniem lamp...

Całą komorę zalegał dym gęsty dławiący, kopeć i śwąd knotów po stłumieniu płomieni pobudzał do kaszlu.

— Tyle kaganków życia zdmuchnięto, jako zbyt-czne, gdy wysłużyły się przez chwilę dla ludzkiej igraszki — zauważyła Marynia.

— Proszę państwa naprzód! — wołał nie poznawszy z daleka inżyniera, pełniący inspekcje dozorca — już wszyscy wyszli.

Marynia i Zdzisław spotkali przecież poza bramą dworca jeszcze jednego z gości. Był to ów malkontent, widocznie już pod dobrą datą, który usiłował wrócić do bufetu irytując się, że mu nie pozwolono.

— Proszę pana, dobrodzieja naprzód, tam już wszystko pozamykane, zgaszone — tłumaczył przewodnik.

— Ale piwo jeszcze zostało.

— Już wywieziono na pierwszy horyzont na „salę“, proszę iść, tam się pan dobrodziej z nim spotka.

— Co mi tam wasze sale — oszukaństwo i tyle; zapowiadacie, że wszystko z soli, a tu gdzie rusz: kupa drzewa.

— A pan dobrodziej chciałby może i piwo z soli — mamy go tu dosyć w rżapiach szybowych.

— No, no, nie natrzęsaj się koboldzie jeden, masz tu obolus i prowadź mnie najkrótszą drogą do tej sali.

Młodzi, minawszy malkontenta, skrzyżowali w poprzeczną i znaleźli się tuż nad jeziorem.

— Znowuście się zawieruszyli! — zawołała ciocia Józia wstępując na prom z całym swym towarzystwem i jawicie się właśnie w chwili, gdy mamy odjeżdżać na drugą stronę; już tu miejsca dla was na czółnie nie stanie.

— *Ce vraiment superbe! magnifique!* — mówiła z emfazą ciocia Kamila. *Regardez ma chère!* Czy uwierzysz Maryneczko, że ja ni to niewierny Tomasz dotknęłam językiem ściany; jest sól, czysta sól.

— Ale i dużo kopcia także — zauważył śmiejąc się inżynier.

— Panie inżynierze! — rzekł jakiś znajomy cioci zwracając się do Mińskiego — proszę o wyjaśnienie trzech wątpliwości: czy prawdą jest, że w tych jeziorach są śledzie? — czy to rzeczywiście odnogi Czarnego Morza? i czy się tu kiedy kąpiecie?

— Nie, nie, nie! zapewniam pana — odparł inżynier.

— A czegoż ten jakiś „świecznik“ takie mi tu napłótl śmalone duby...

— Nic dziwnego — wtrąciła ciocia Józia — daje mu pan ciągle napiwki i żąda, by koniecznie coś ciekawego opowiadał, więc jak może wywiązuje się z trudnego zadania.

W tej chwili przy dźwiękach muzyki ukrytej na górnej galerii ruszył prom kołysząc się miarowo na czarnej fali popychany na bocznych linach przez górników.

Zdzisław i Marynia patrzyli długo w milczeniu na odjeżdżających, których silny barczysty górnik przewoził. Stali cicho przy sobie zapatrzeni w toń jezior... Przed nimi były dwie otchłanie rozpołowione dwoma czarnymi zwierciadłami wód, godnych Erebu... Postać każda odbita w lekko kołyszących się falach wyglądała w białym płaszczu, jak cień, który Charon przewoził w świat duchów.

— Nie wyobrażam sobie, ażeby Lete mogła inaczej wyglądać — rzekła Marynia. — A co na to poezya górnika?

Zdzisław mówił:

Jak dusze potępieńców zbliżone ku sobie
Tęsknotą i cierpieniem, bólem i rozpaczą,
Cicho w głębiach ziemi fale jezior płaczą
W beznadziejnej tęsknocie, w wieczystej żałobie.

Kir nocy je pokrywa tu o każdej dobie,
Czasem nad niemi krótko światła zamajaczą,
Które mi tu pobytu chwile ludzie znaczą
I znowu nieskończona ciemność w zimnym grobie.

Nienasycona żądza za niebios lazurem!
Nieukojone nigdy za słońcem pragnienie!
Moc żadna przeznaczenia więzów nie potarga!

Niezmiennie bytowanie w milczeniu ponurem,
Jedyni towarzysze: cienie, cienie, cienie,
Jedyny protest: cicha fal jeziora skarga...

— Czasem wydają mi się te dwa jeziora — mówił dalej Miński — niby dwie dusze bratnie pogrą-

żone w wielkiem wspólnem cierpieniu i zbliżone do siebie tym bólem, który, jak ów tunel wodny łączący jeziora przepływa z serca w serce niewidzialną strugą:

— I tworzy im ocean, po którym by chcieli
W łódce o złotych wiosłach pływać, jak anieli,

— dokończyła zacytowaniem „Sielanki“ Gaszyńskiego Marynia. — Nie panie Zdzisławie, ja teraz nie jestem do smutnych refleksyj usposobioną. — Wyobraźnia przenosi mnie teraz na widok girlandy świateł odbitych w kołyszącej się lekko wodzie do królowej morza — Wenecyi! Oto łódź już się po nas zbliża.

— Więc pójdź do gondoli rybaczko ty ma! — zanucił Zdzisław.

Muzyka grać zaczęła, jakąś bardzo rzewną melodyę. Płynęli patrząc w tonie swych oczu, głębsze niż owe podziemne bliźniacze wody... Z serc przepojonych uczuciem cisnęły im się na usta słowa dobre, słodkie, których wypowiedzieć nie chcieli, by nie skazać, nie zmącić głosem tej chwili cichego szczęścia. Dłonie ich tylko łączyły się w mocnym i długim uścisku.

— Czasem nie mogę zdać sobie sprawy, czy to marzenie czy rzeczywistość — rzekła Marynia.

Zdzisław przy wysiadaniu z łodzi podał Maryni obie ręce i wznosił ją lekko na stopnie ku górze.

Weszli do komory Steinhausera.

Jestto jedna z największych komór w kopalni wielkiej, 60 m. długa, 32 m. wysoka. Wydobyta stąd bryła miała około 25 tysięcy metrów kubicznych soli. Bryłę tę napotkali górnicy za królowania Augusta III-go idąc szybikiem w kopalni na trzecim poziomie. Wojewodą krakowskim był wówczas Teodor Lubomirski, zarząd kopalni sprawował radca królewski Steinhauser.

W komorze tej odbywa się t. zw. Jazda piekielna. Zwiedzających zatrzymano tuż przy wejściu. Komora oświetlona była słabem tylko światłem kilku kaganków, wskutek czego wydawała się nieskończenie wysoką i długą. Turyści przywykli do ciągłych efektów świetlnych, pozostawieni przez chwile w takiej zupełnej prawie ciemnicy zaczęli się niepokoić; niektórzy popisywali się dowcipem, inni próbowali siły echa, niecierpliwi żądali, by ich prowadzono do wyjazdu. Nagle dał się słyszeć głos pieśni, śpiewanej gdzieś daleko i głęboko, jakby przytłumiony grubą pokrywą ziemi. Ożywiona rozmowa wyczekujących i niezadowolonych urwała się... zaczęto nasłuchiwać... Pieśń stawała się głośniejsza... rozpoznać można było, że śpiewający są coraz bliżej i bliżej.

Serdeczna Matko Opiekunko ludzi...

słychać już było zupełnie wyraźnie...

W tem na czarnem tle tylnej ściany komory błysnęła najpierw w dole duża plama łuny krwawej, a wśród niej zawieszona na linie cztery czarne postacie górników, którzy wznosząc się zwolna ku górze poruszali miarowo pochodniami.

Ciebie płacz sierót do litości wzbudzi...

Już jak dzwon wielki pod sklepieniem rozkołysany, potężnym głosem z pełnej piersi biły o ściany komory, te słowa spływały wraz z kaskadą iskier sypiących się z pochodni, z niedoścignionego okiem stropu, na wzniesione ku górze głowy, oczarowanych, zapatrzonych, zdumionych widzów.

Do Ciebie dzieci, wygnańcy wołamy...

Postacie górników wydawały się coraz mniejsze, głos stawał się coraz cichszy — znów go przytłumiał wał ziemi, bo śpiewający wjechali w szyb górny.

Zmiłuj się zmiłuj niech Cię nie błagamy... już zdawało się być głosem z innego świata. Może zawieszeni u liny dostali się hen, przed tron Najwyższego, by prośbą tej pieśni serdecznej wybłagać dla siebie zmiłowanie...

Cisza zapanowała tak zupełna, że słychać było syk iskier gasnących na wilgotnych ścianach kopalni. ...wreszcie i ten deszcz złoty zaczynał się przeredzać.

.....
Wtem grom uderzył z pod ziemi: jeden potem drugi, rzucając w górę z wulkaniczną siłą, z wściekłością i dzikiem, rozpętaniem żywiołu, z hukiem i trzaskiem setki grotów złotych. Zdawało się, że całe piekło wstało, ażeby orgią płomieni pochłonać tych górników biednych, którzy z tą pieśnią świętą odważyli się wejść w państwo szatana. Próżne wysiłki z tego!... z oddali dochodzi jeszcze echo:

Zmiłuj się zmiłuj niech Cię nie błagamy...

W zamięcie, który powstał wskutek wstrząsającego wrażenia, jakie uczyniła na wszystkich jazda piekielna, Marynia została pchnięta falą tłumy z taką siłą, że znalazła się zdala od Zdzisława, wśród obcych. Szukał jej długo w natłoku, zaglądał pod każdą damską czapkę: czy nie ujrzy tych splotów jasných, tego słodkiego spojrzenia jej oczu. Czuł teraz, jak bardzo była mu drogą, poznał to serce czyste, jak ów kryształ, który rozświecał płomień, płomień miłości. A jednak mimo wszystko, mimo, że przed nią odsłonił całą głębię swego uczucia — nie usłyszał od niej przecież tak bardzo wyczekiwanego słowa. Dlaczego? Czy jeszcze mu nie ufa?... Wszystkie te myśli nurtowały w nim, kiedy wzrokiem niespokojnym, gorączkowym szukał jej wśród ścisku. Może spostrzegły

ją ciotce i urażone tym brakiem opieki z jego strony zabrały ze sobą ku górze.

Przebiegał z miejsca na miejsce i już straciwszy nadzieję chciał się puścić w stronę szybu, gdy usłyszał za sobą słowa:

— Jestem tu — jestem...

Pochwycił ją za rączki obie, tak mocno tak serdecznie, jakby skarb stracony odzyskał; nie mógł się powstrzymać, by tych rąk lubych nie ucałować gorąco.

— Ładny opiekun — rzekła Marynia — poskarżę ciotce.

— Mary!... Pani droga!

— Szukaliśmy się i znaleźli, bo tak było przeznaczone — rzekła.

— I nie rozłączymy się już więcej — mówił patrząc w jej oczy.

— Aż do wyjazdu — szepnęła.

Zdzisław uczuł ściskanie w piersiach.

Zamilkli oboje.

— Czy dużo jeszcze mamy do zwiedzania? — pytała Marynia głosem, w którym znać było trwogę przed rychłym końcem.

— Jeszcze tylko jeden ostatni etap na pierwszym poziomie: sala tańców, a potem.

— A potem?

— Wyjazd — rzekł z tak z szczerym i głębokim smutkiem, że Marynia sparła się mocniej na ramieniu, które ją wiodło.

W ogromnej sali z wysokimi ościennymi filarami z długą galeryą i wspaniałym transparentem na całej tylnej ścianie, rozbrzmiewał walc na dobre. Tańczono, jak na balu. Tuż obok głównego portalu, gdzie się znajduje wyrzeźbiony z solij: Neptun i Pluton — stał malkontent. Prowadzący go pod ramię świeczny wskazywał na posągi i tłumaczył.

— To jest proszę dobrodzieja: Laptoń i Chlaptoń.

— A któż to był taki, żeście ich, aż z soli wyróżnili?

— Dwastraszne, przedpotopowe górniki proszę pana.

— Et, bajdurzysz, sam jesteś Chlaptoń, bo chlapiesz, masz tu obola i prowadź na piwo.

Obydwie ciocie znowu były przy bufecie zajęte. Zobaczywszy młodą parę tak zatopioną w sobie, tak nieświadomą, niczego, co się dokoła nich dzieje, spojrzały na siebie wzrokiem znaczącym.

— Maryniu — zagadnęła ciocia Kamila, ty się zapewne bardzo cieszysz, że to już koniec podziemnej wędrówki.

— Jaka ciocia niedobra! — rzekła Marynia zapłonią, jak zorza.

— A pan inżynier dopiero zadowolony być musi, że się raz wreszcie pozbędzie przyjętego na siebie obowiązku?

— Pani dobrodziejko! — nie godzi się znęcać nad biednymi ludźmi...

W tej chwili z grona zwiedzających przedstawił się inżynierowi pewien dziennikarz i prosił o daty dotyczące sali.

— Najchętniej! — rzekł inżynier. Sala ta ma nazwę Łętów, którą otrzymała od ówczesnego królewskiego radcy i inspektora kopalni Łętowskiego z Łętowa. Komora ta powstała z połączenia dwóch komór w jedną w roku 1750. W roku 1809 została komora na życzenie rosyjskiego generała Suwarowa, zamienioną w salę do tańców. W roku 1814 zrobiono z ciósów solnych portal sali i 6 pajaków na przybycie cara Aleksandra I., który z arcyksięciem Józefem palatynem węgierskim kopalnię zwiedzał...

— Panie wybierają! — brzmiała komenda aranżera.

— Wybieram pana — rzekła Marynia stając na przeciw inżyniera — i podała mu ręce.

Zdzisław ujął Marynię w silne swe ramiona i przycisnął jej kibić smukłą, której wdzięku płaszcz szary pozbawić nie zdołał — z taką tkliwością i mocą do swej piersi szerokiej, jak swój skarb najcenniejszy odkryty pod ziemią. Wir tańca porwał ich i uniósł... Migotliwe światła kaganków pozawieszanych przy wejściu do sali, białe filary ścian, rozchwiane kryształły solne pajaków, jaskrawe barwy transparentu... wszystko to zlało się w jedną smugę świetlistą i barwną i krążyło obok nich z szaloną szybkością...

Tak tańczył Werter ze swoją Lotchen... Zatracone zupełnie pojęcie o reszcie świata! nic, nic cię nie obchodzi, oprócz tych złotych splotów, które dotykają twej skroni!... Płynąć w przestrzeń bez kresu... czuć tylko bicie jej serca... zbyć się indywidualności własnej... żyć jedynie chwilą obecną dla niej i przez nią... zatonać w słodkiej nirwanie...

Muzyka grać przestała...

— Więc już? — spytała Marynia, schylając główkę, jak kwiat podcięty, gdy ją Zdzisław prowadził do ławek przy ścianie sali, by odpoczęła po tańcu — już po wszystkim?...

— Według programu już, ale — tu spojrzął na zegarek — mam znowu pewien projekt. Towarzystwo zabawi tu jeszcze czas dłuższy, a my pójdziemy zwiedzić kryształową grotę. Czy zgoda?

— I zgoda i radość wielka.

Znowu we dwójkę tylko przy świetle jednego kaganka puścili się drożyną wąską i stromą. Minęli cały szereg „dział“ starych po części zawalonych; szli przez szybiki i pochylnie, wspinali się po głązach dużych

i śliskich, tak, że Marynia czując drżenie nóg, osłabionych drogą nużącą, czasem, jak rozkapryszone dziecko wyciągała ręce ku Zdzisławowi i mówiła głosem zmęczonym:

— No niech pan teraz poratuje, nie mogę dalej, bo upadnę i zabiję się.

Inżynier brał ją wtedy na ręce i jak piórko podnosił na głaz wyższy.

Trud się jednak opłacił...

Kiedy stanęli w kryształowej grocie i Miński zapalił biały bengalski ogień, Marynia, aż oczy przysłonić musiała, tyle tam było lśnienia i blasków. Olbrzymie kryształy solne, zrosłe ze sobą, jak kostki lodu tworzyły grotę solną podobną do konchy perłowej. Rozczepiony w jednym pryzmacie biały promień światła wpadał w drugi i łamiąc się kolejno na tysiąc części przechodził wszystkie kryształowe stopnie od spodu, aż do stropu, który gorzał w świetle i sprawiał takie wrażenie, jakby tam już przebijały się z góry promienie słońca.

Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału
W sen ze srebra i kryształu:
Daj mi teraz marzyć, daj!

zacytowała Krasińskiego Marynia.

Zdzisław usiadłszy obok niej mówił:

Tu mieszka Dusza światła w kryształowej grocie!..

Kiedy górnik zmęczony podziemną robotą

Promyka słońca pragnie, wygląda z tęsknotą,

Tu w tym przedsionku świata ma ulgę w tęsknocie.

Tu o męce zapomni, o trudzie i pocie,

Tu światło go zalewa swoją falą złotą,

Tu świeżych sił zaczerpnie, by znowu z ochotą.

Mógł na chleb przez dnia resztę pracować w ciemnocie.

Przezysta Duszo światła bądź błogosławiona!
I ty błogosławiony bądź jasny promieniu!
Ku tobie prężę pracą zmęczone ramiona:

Wyzwól mnie z mroku, nie daj zginąć w wiecznym cieniu,
Spraw, gdy wykonam dzienną robotę do końca
Bym mógł znowu „na świecie“ ujrzeć blaski słońca...

Marynia znalazła u stóp swoich kryształ, na który patrzyła z podziwem. W środku kryształu była muszka, jak żywa, jak gdyby tam przed chwilą usiadła.

— Jak się to stało? — spytała.

— Pograżoną w śnie muszkę, zdołała sól okryształić wpierv nim się z twardego snu zbudziła. Gdyby to człowiek mógł się tak zamknąć w nieskażonem uczuciu, lub w ukochanej idei, jak w kryształ — na wieczność całą.

— Snać muszki są czasem szczęśliwsze od ludzi.

— Zwłaszcza, jeśli ci ludzie muszą wracać — rzekł smutnie inżynier.

Przybyli spieszenie do sali, gdzie już zaczęto gasić światła; goście wszyscy już wyszli. Przy szklance piwa siedział jeszcze tylko ostatni malkontent. Wiódł znowu spór ze świecznym.

— Panie dobrodzieju czas do „windy“ — mówił robotnik.

— Póki ostatni pajak nie zgasicie — zostanę, bo mam piwo.

— Ale, tam windę zamkną, trzeba będzie na „scho-
dy“, zresztą na „świecie“ też jest piwo.

— Dobrze gadasz — masz rację — więc pro-
wadź.

Inżynier usłyszawszy ostatnie słowa, skreślił co ry-
chlej w boczny chodnik i stanął tuż przed wyjazdem
szybu.

Szybowy otwarł im klatkę, pozdrowił hasłem górniczym: „Szczęść Boże“ i ruszyli ku górze.

— A więc już wszystko się skończy! — myślał — przeminie niepowrotnie cudny sen podziemnej nocy... Patrzył na Marynię, czuł, że to wybrana jego, że to istota, do której przylgnął całą duszą... A jednak czuł także, że była pomiędzy nimi jeszcze jakaś mglista nie przebyta, nierozświetlona droga. Serca, choć zbliżone ku sobie, jak kwiatów kielichy nie rozchyliło jeszcze słońce miłości... Czy ona go naprawdę kocha, czy to tylko chwilowa igraszka niewieściego serca?

A Marynia myślała:

— Jaki on jest przecież bez miłosierdzia, jaki nie dobry! Tyle dowodów uczucia otrzymał odemnie, widzę, że mnie kocha, a lęka się i unika szczerego wyznania.

Wznosili się zwolna ku „dniowi“.

Wtem winda drgnęła kilka razy i stanęła wśród szybu.

Mińskiemu przeleciała myśl, jak błyskawica...

— Co to jest? — spytała Marynia.

— To — rzekł biorąc ją za rękę — to może być... urwanie windy.

— Więc śmierć? nie lękam się jej wcale — odparła, chcąc go wzrokiem przeniknąć do głębi.

Stracił panowanie nad sobą...

— Panno Maryniu — mówił — teraz o to w takiej chwili, gdy do szczerości każdy jest obowiązany, niech mi pani powie nareszcie to słowo, na które czekam, którego pragnę więcej niż życia.

I ona także dała się porwać grozie tej chwili...

Zarzuciła mu rękę na szyję, przytuliła głowę do jego piersi i płacząc rzewnie szeptała:

— Kocham, kocham nad wszystko! — nad życie!
i pragnę umrzeć z tobą.

— Biedactwo moje jedyne — mówił Zdzisław tu-
ląc ją drżącą do piersi... moje... moje — powtarzał.

Klatka znowu drgnęła, po chwili osunęła się w dół
i zaczęła się poruszać ku górze.

Marynia podniosła ku niemu oczy łez pełne, pytające.

— Jedziemy!... jedziemy na świat! — do życia! do
szczęścia!... — zawołał.

Na ciemnych ścianach szybu ukazywały się już
białe plamy i smugi światła, coraz większe, aż je za-
topił zupełnie blask wpadający przez okna szybu.

— Po śnie cudownym — dzień... przebudzenie —
rzekła Marynia.

— Milsze może jeszcze niż sen przebyty...

— Bójcie się Boga! co się z wami stało? — krzy-
knęły ciocie *unisono* — myśmy już snuli najgorsze
przypuszczenia.

— Zawiśliśmy cioteczko między ziemią, a niebem.

— A ku której stronie szala się przechylała więcej? —
spytała ciocia Józia.

— Ku niebieskiej — rzekł inżynier, patrząc w modre
oczęta Maryni.

— No rusałko podziemna — czy jak cię tam pan
nazwał — mówiła ciocia Józia patrząc znacząco na
ramię inżyniera, który nie wyswobodził jeszcze ręki
Maryni... zdejmuj płaszczyk — jedziemy...

— Panie opiekunie proszę ją uwolnić z pod swojej
władzy.

— Nie! to nad moje siły! — zawołał inżynier —
nigdy! nikt mi tej rączki nie weźmie.

— Ależ to formalne oświadczyń panie inżynierze!
Cóż ty na to Maryniu?

— Nic ciotuniu... Kocham, Kocham bardzo — szepnęła.

— Więc: niech się dzieje wola nieba — rzekły ciotce udając nie źle, że im sprawiono niespodziankę.

Zdzisław i Marynia zdjawszy kopalniane ubrania wyszli przed wrota szybu. Firmament nieba bez jednej chmurki zdawał się spływać ku nim swym niepokalanym lazurem i zatapiał idących w powodzi jasnych i ciepłych promieni. Jakiś pył złoty zasypywał im nieprzywykłe do tak rześzystych blasków oczy. Szli ku górze w świetlanej aureoli, jakby — wyzwoleni z pęt ciemności ziemi mieli teraz przebyć wspólnie drogę — do nieba.



36-

2671/23



WYDAWNICTWA KSIĘGARNI POLSKIEJ we LWOWIE

- BRZozowski STANISŁAW. Kultura i życie. 1. W walce o światopogląd, 2. Zagadnienia sztuki i twórczości, K. 4.—
— Z dymem pożarów. (Poemat dramatyczny)
- BRANDES J. Rosya, K. 5.—
- GAŚIOROWSKI W. Pani Walewska, powieść histor. z epoki Napoleońskiej, 2 tomy, K. 8.—
— Orleńta. Wybór powieści wojskowych, K. 2.60
— Mrok. Sztuka współczesna w 3 aktach, K. 2.—
- IRZYKOWSKI K. Pałuba. Sny Maryi Dunin, K. 5.50
- JABŁONOWSKI WŁ. Wśród obcych. Szkice literackie, K. 3.—
- JEŻ T. T. Za gwiazdą przewodnią, 2 tomy, K. 6.—
- KONOPNICKA MARYA. Przez głębinę. (Poemat), K. 1.60
- KURCYUSZ ALEKSY. Studya socyologiczne, K. 1.50
- LORIMER JERZY. Listy wielkiego przedsiębiorcy do syna, K. 2.60
- MAETERLINCK M. Skarb pokornych, K. 1.60
- MAUPASSANT GUY DE. Przy świetle księżycy, K. 1.50
— Miłość. Nowele, K. 1.50
- MORRIS W. Wieści z nikąd. Powieść utopijna, K. 2.—
- NIEDŹWIECKI Z. Erotyki, K. 2.50, Nowe Erotyki, K. 3.—
- NIEMOJEWSKI ANDRZEJ. Polonia irredenta. Wyd. II. K. 2.—
- NOWACZYŃSKI A. N. Siedm dramatów jednoaktowych. K. 4.—
— Skotopaski sowizdrzalskie, K. 2.—
- PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ. Lekkomysłna siostra, komedya w 4 aktach, K. 1.50
— Aszantka, komedya w 3 aktach, 1.50
— Majowe słońce, komedya w 1 akcie, K. 1.—
- POE E. A. Morderstwo na rue Morgue i inne nowele, K. 3.—
- Przewodnik po Tatrach z 3 mapami, opracował J. Chmielowski, K. 6.—
- Przewodnik po Włoszech poł. i Sycylii, z planami miast, K. 6.—
- Przewodnik po Rzymie, z planem miasta, K. 3.—
- Przewodnik po Lwowie z planem miasta, K. 1.60
- Przewodnik po Wenecyi, z planem miasta, K. 3.—
- Przewodnik po Neapolu, z 3 planami, K. 3.—
- Przewodnik po Palermo, z planem, K. 1.20
- Przewodnik po Herculanium, Pompei i Capri, z planem wykopalisk Pompei, K. 1.20

Riana Avis
Kwota 15.07.98
36.00,-

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI POLSKIEJ we LWOWIE

- PRZYBYSZEWSKI STANISŁAW. Złote runo, K. 1.40
- Goście, K. —.80
 - Na rozstaju, K. 3.60
 - Po drodze, K. 3.60
 - W malstromie, K. 3.60
 - Na tym padole płaczu, K. 2.—
 - Dzieci szatana, K. 4.—
 - Matka, K. 1.50
 - Requiem aeternam, K. 2.—
 - Synowie ziemi. Powieść, K. 4.—
 - Taniec miłości i śmierci, K. 2.—
 - Dla szczęścia, K. 2.—
- RUFFER J. Posłanie do dusz, K. 2.—
- STAFF L. Dzień duszy, K. 2.60
- Mistrz Twardowski. Z ilustracjami E. Okunia, K. 6.—
 - Najmłodsza pieśń polska, K. 3.—, w ozd. opr. K. 5.—
 - Skarb, tragedia w 3 aktach, K. 4.—
 - Ptakom niebieskim, K. 3.50, w opr. 4.50
 - Sny o potędze. Wyd. II. Poezye, K. 2.60, w opr. K. 3.60
 - Godiwa, dramat w 3 aktach, K. 2.60
- STEFANYK W. Klonowe liście, K. 1.20
- SZARSKA H. Dyletanci grzechu, K. 1.—
- SZUMAN J. N. Fryd. Nietzsche jako człowiek i myśliciel, K. 2.—
- WAGNER RYSZARD. Latający Holender, K. —.80, Walkirya
K. 1.50, Parsival, K. 1.40.
- WILLY. Klaudyna w szkole. K. 3.—
- Klaudyna w Paryżu, K. 3
- ZAPOLSKA G. Fin-de-siècle'istka, K. 4
- Jak tęcza. Powieść, K. 4
 - Przedpiekle, K. 3.50
 - Menażerya ludzka, K. 3.—
- ZBIERZCHOWSKI H. Na złotej przełęczy, scherzo powie-
ściowe, K. 2.—
-

Kartę tytułową projektował Stefan Filipkiewicz, artysta malarz z Krakowa.
Odbito w Drukarni Słowa Polskiego we Lwowie, pod zarz. J. Ziemińskiego.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020642523